JAK LATALI SAMOLOTAMI PASAŻEROWIE W II RP

W TYM NUMERZE PŁYTA CD „PADEREWSKI. MAESTRO, LEGENDA EPOKI" – SŁUCHOWISKO RADIA GDAŃSK

Nr 11–12 (102–103)
LISTOPAD–GRUDZIEŃ 2021
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

BIAŁE PLAMY W HISTORII

NAPOLEON. TAJEMNICE GENIUSZA

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

SIECI

czytaj wygodnie

tygodnik SIECI *w wersji papierowej*

- prenumerata „Sieci” **do 30% taniej!** Tylko 75 zł za 3 miesiące
- tygodnik trafia **wprost do skrzynki**
- jest **bezpiecznie zafoliowany**

ZAMÓW NA:

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

e-wydanie SIECI *na komórce, laptopie, tablecie*

- tylko **1 zł za pierwszy miesiąc** (następnie 9,99 zł) lub **89,99 zł za 12 miesięcy** z książką w prezencie
- dodatkowo dostęp do e-wydania magazynu „**wSieci Historii**”

ZAMÓW NA:

www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl e761a75206

BIAŁE PLAMY W HISTORII

W latach 80. XX w., a zatem w okresie długiego upadania komunizmu, rozpoczynałem pracę jako nauczyciel historii w jednym z liceów warszawskich. W następnym roku przeniosłem się już do II LO im. Stefana Batorego, skąd trafiłem (w roku szkolnym 1985/86) do pobliskiego Studium Kultury Chrześcijańskiej. Poznaliśmy razem z moją żoną, Małgosią, m.in. śp. prof. Annę Sucheni-Grabowską, która w dużej mierze ukształtowała nasz pogląd na nauczanie historii w szkołach. Na bazie tych doświadczeń już w 1989 r. założyliśmy Katolickie Stowarzyszenie Wychowawców i kontynuowaliśmy formacyjne spotkania z nauczycielami z całej Polski. Konferencje, bo tak je nazywaliśmy, odbywające się w ramach SKCh, a potem KSW, koncentrowały się bardzo często wokół pytania o „białe plamy w historii". Już wtedy, na przełomie lat 80. i 90., pytanie to dotyczyło nie tylko kwestii przemilczania faktów, zakłamywania prawdy np. o stosunkach polsko-sowieckich, o Katyniu itd., ale także metodologii badań historycznych, tworzenia podręczników szkolnych czy też obciążeń ideologicznych skutkujących głębszym fałszowaniem prawdy o narodzie historycznym czy o człowieku w historii. W PRL uczono oficjalnie nie tylko nieprawdy, przemilczano fakty i tworzono mylne interpretacje, np. dotyczące rzekomo fundamentalnego znaczenia tzw. wielkiej rewolucji październikowej w odzyskaniu niepodległości w 1918 r. (oczywiście od czasu, kiedy można już było pisać, dopiero po 1956 r., że ten fakt w ogóle należy traktować pozytywnie; wcześniej rację mieli jedynie ci, którzy szli z bolszewikami na Warszawę). W PRL zarządzano umysłami nauczycieli i uczniów sprymitywizowaną metodologią marksistowską. Wedle niej należało de facto oceniać motywacje, wydarzenia i konkretne klasy-warstwy społeczne czy ludzi. Ponieważ, jak twierdzono, byt kształtuje świadomość, a egoizm grupowy miał wyznaczać cele i taktykę działania, wszystkie postawy i motywacje ludzi były poddawane krytycznej analizie wedle tego schematu. Ten pogląd nakładał się na definicję determinizmu historycznego, wedle którego ludzkość zmierzała ku Polsce Ludowej i sowieckiej doskonałości. Przykładowo Kościół katolicki w średniowieczu zajmował się oszukiwaniem poddanych, wtłaczaniem kłamstwa o istnieniu srogiego i karzącego Pana Boga, by dzięki temu utrzymać w ryzach społeczeństwo poddające się ślepo władzy, świeckiej czy duchownej. Pomazaniec Boży to przecież jedynie figura retoryczna potrzebna do tego, by tłamsić w zarodku postępowe, przedmarksowskie, odruchy społeczne w postaci światłego i szukającego sprawiedliwości Kostki Napierskiego. Tworzenie się ustroju I RP na podstawie wartości, jakimi były wolność i równość, zależność władcy i szlachty od prawa obowiązującego wielowyznaniowy i etniczny naród polityczny, zastąpiono gadką o egoizmie stanowym szlachty szukającej przywilejów politycznych czy sądowych. Nowoczesne prawo stawało się zatem synonimem bezkarności i anarchii. Podobnie rzecz się miała z lekcjami o oświeceniu, epoce, która za sprawą wielkich filozofów obnażyła rzekome kłamstwa duchowieństwa i Kościoła, jakby nie istnieli św. Augustyn czy św. Tomasz. Likwidacja zakonu jezuitów, a potem fala mordów w Wandei – jeśli w ogóle o tym dyskutowano – stawała się dobrą ilustracją hasła „cel uświęca środki". Wiek XIX i XX w wydaniu autorów podręczników szkolnych czasów Polski Ludowej to cała seria kłamstw i zafałszowań, czego nie sposób zilustrować w jednym felietonie.

Warto się jednak zastanowić, w jakiej mierze nasze pokolenie i kolejne – nauczycieli i autorów podręczników – są nosicielami (czasem bezwiednie) tych samych postmarksistowskich kłamstw o historii Narodu i o człowieku. Kim był zatem np. św. Wojciech, męczennik idący do Prusów w imię prawdy o Bogu, czy rtm. Witold Pilecki idący na śmierć do KL Auschwitz w imię miłości do Ojczyzny tak silnej, że gotów był na poświęcenie swego życia i najbliższych jako mąż i ojciec. Warto się zastanowić, w jakiej mierze nadal szkoła kaleczy kolejne młode pokolenie, z jednej strony nie ucząc wcale (tego nie można powiedzieć o szkole w PRL) lub przekazując fałszywy opis człowieka, Polaka – duchownego, rycerza, powstańca i polityka, pisarza.

JAN ŻARYN

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Autopromocja

eprasa.pl e761a75206

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
Nr 11–12 (102–103) LISTOPAD–GRUDZIEŃ 2021

25 CESARZ FRANCUZÓW NIE JEST JUŻ OBIEKTEM KULTU ANI NIENAWIŚCI, ALE FASCYNUJĄCĄ POSTACIĄ, KTÓRA WYWARŁA OGROMNY WPŁYW NA PRZEMIANY DOKONUJĄCE SIĘ W EUROPIE I NA ŚWIECIE W XIX w. – ZAUWAŻA JAROSŁAW CZUBATY

51 SAMOLOTY LOT POCZĄTKU LAT 30. ZAPEWNIAŁY WYSOKI KOMFORT PODRÓŻY, MIAŁY KAJUTY SZCZELNE I OGRZEWANE. DOZWOLONE BYŁO OTWIERANIE OKIEN, BY OBSERWOWAĆ KRAJOBRAZ Z WYSOKOŚCI OK. 1 000 METRÓW – PRZYPOMINA PIOTR ŚWIĄTECKI

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

6 CO BYŁO, CO BĘDZIE
PIOTR MAZUREK

10 POD ZNAKIEM ORŁA BIAŁEGO
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

12 OPAT KOMENDATORYJNY
MAREK BARAŃSKI

14 PAŃSZCZYZNA POLSZCZYZNA
PIOTR GUZOWSKI

18 SEJMIKI W I RZECZYPOSPOLITEJ: SZKOŁA DEMOKRACJI CZY PIENIACTWA?
KAROL MAZUR

22 MITY I BIAŁE PLAMY CZASÓW SASKICH
URSZULA KOSIŃSKA

25 GENIUSZ I CZAS
JAROSŁAW CZUBATY

28 BIAŁE PLAMY MAJĄ SIĘ DOBRZE...
PAWEŁ SKIBIŃSKI

FELIETONY

9 LEW LECHISTANU
GRZEGORZ GÓRNY

75 1957 – ROK NASTANIA GROMYKI
PAWEŁ SKIBIŃSKI

85 NIE WOLNO NAM ZAPOMNIEĆ
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

86 RABAN SIĘ SKOŃCZYŁ
MAREK JUREK

96 KOREA NIEZNANA
ANTONI DUDEK

96 DZIEDZICZENIE WOLNOŚCI I NIEWOLI...
RYSZARD CZARNECKI

WEHIKUŁ CZASU

32 LISTOPAD, GRUDZIEŃ
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

36 JAK WYGLĄDALI WŁADCY POLSKI? MATERIAŁY IKONOGRAFICZNE
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

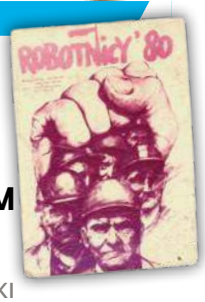

38 POTĘGA SYMBOLI. ZNACZKIEM, OZNAKĄ I BANKNOTEM PRZECIWKO KOMUNIE!
RAFAŁ KIERZKOWSKI

DUSZA KONTUSZA

42 STANISŁAW RESZKA, HISTORYK I DYPLOMATA
HENRYK LITWIN

ZDARZYŁO SIĘ

45 „KSIĄŻĘ POLSKIEGO PRZEMYSŁU" I JEGO DZIECI
WACŁAW LESZCZYŃSKI

48 NAPOLEOŃSKA JESIEŃ 1806 ROKU: POGROM PRUS I SZANSA DLA POLSKI
DOMINIK SZCZĘSNY-KOSTANECKI

50 60 SEKUND HISTORII
EMILIA BARANOWSKA

51 POLSKIE LOTNICTWO KOMUNIKACYJNE II RP
PIOTR ŚWIĄTECKI

54 TRZY ŻYCIORYSY ZARAKOWSKIEGO
PAWEŁ SZTAMA, GRZEGORZ MAJCHRZAK

57 WYWIAD Z PRYMASEM
MARCIN RÓŻAŃSKI

60 BOŻYSZCZE POLSKI – BACHOR KOMUNIZMU
ANDRZEJ URBAŃCZYK

64 „SEKCJE TAJNE" W SĄDOWNICTWIE POWSZECHNYM 1950-1955
ELŻBIETA ROMANOWSKA

78 WIELKI TALENT MODRZEJEWSKIEJ OBJAWIŁ SIĘ W KRAKOWIE, BY NIEBAWEM ROZBŁYSNĄĆ W WARSZAWIE I ZAJAŚNIEĆ PEŁNYM BLASKIEM W AMERYCE, GDZIE JAKO MODJESKA STAŁA SIĘ ŻARLIWYM HEROLDEM ODRODZENIA POLSKI. POSTAĆ PIĘKNEJ HELENY, AKTORKI DOSKONAŁEJ I WIELKIEJ PATRIOTKI PRZYPOMINA **JERZY MIZIOŁEK**

IDMN

70 **POETA GAJCY – „ORGANIZATOR PAMIĘCI NARODOWEJ”**
MARTA CYWIŃSKA

WŁADCZYNIE

67 **CECYLIA RENATA**
MAREK BARAŃSKI

POLONIA

72 **O FEDERACJĘ Z LITWĄ**
KRZYSZTOF TARKA

ZIEMIAŃSTWO

76 **KRESOWE DWORY ZABIEŁŁÓW**
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

PEŁNA KULTURA

78 **PIĘKNA HELENA, CZYLI AKTORKA DOSKONAŁA I WIELKA PATRIOTKA**
JERZY MIZIOŁEK

82 **W KRĘGU KLIO**
RAFAŁ ŁATKA

84 **RAFAŁ ŁATKA ROZMAWIA Z... DR. JAROSŁAWEM DURKĄ**

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88 **TAŃCZĄCA MAZURKA**
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

90 **CZYSTA HISTORIA**
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

92 **KARABIN SAMURAJÓW**
KACPER GROCHOCKI

NAC PREZENTUJE

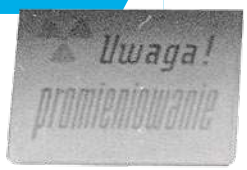

93 **CENTRALNE LABORATORIUM OCHRONY RADIOLOGICZNEJ**
ŁUKASZ KAROLEWSKI

Z FOTOTEKI IPN

97 **HENRYK ŚMIGACZ: Z APARATEM NA WOJNIE I W TEATRZE**
KATARZYNA ADAMÓW

SILVA RERUM

98 **POWSTANIE WIELKOPOLSKIE**
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

ZE ZBIORÓW MPW

99 **ROZKAZY DOWÓDZTWA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO**
KATARZYNA UTRACKA

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Waingartner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Projekt: Michał Korsun. Zdjęcia: Andrzej Wiktor. Rekonstruktorzy z GRH Pułku 12. Piechoty Księstwa Warszawskiego: Piotr „LOBO” Gański, Kacper Sikorski, Piotr Torłop, Cezary Wieruszewski, Piotr „Klemens” Zawada. Charakteryzacja: Joanna Wasilewska. Podziękowania dla Muzeum Gdańska za możliwość realizacji sesji na terenie Twierdzy Wisłoujście.

cpresa.pl e761a75206

Nagroda wydawców katolickich dla słowników IDMN

25 września w katedrze polowej Wojska Polskiego w Warszawie odbyła się gala rozdania nagród Stowarzyszenia Wydawców Katolickich FENIKS 2021. W kategorii „Historia" nagrodzono przygotowane przez Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej pierwsze tomy „Słownika biograficznego polskiego obozu narodowego" pod redakcją dr. Krzysztofa Kawęckiego oraz „Słownika polskiego katolicyzmu społecznego" pod redakcją dr. hab. Rafała Łatki. „To nagroda dla wspaniałych Polaków żyjących w XIX i XX w., bo poprzez ich biogramy widzimy naszą tożsamość" – skomentował werdykt dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn. Nagroda Stowarzyszenia Wydawców Katolickich FENIKS jest przyznawana nieprzerwanie od 1999 r. za promowanie i wyróżnienie wartościowych publikacji, które traktują o katolicyzmie lub przez swą wymowę pozytywnie ukazują wartości chrześcijańskie.

Gala plebiscytu Wydarzenie Historyczne Roku

14 września w pałacu Na Wodzie w Łazienkach Królewskich odbyła się gala wręczenia nagród w 14. edycji plebiscytu „Wydarzenie Historyczne Roku" organizowanego przez Muzeum Historii Polski. W kategorii „Wystawa" pierwsze miejsce zajęła ekspozycja „Łódzkie mikrohistorie. Ludzkie mikrohistorie" – wystawa stała w Łódzkim Parku Kultury Miejskiej zrealizowana przez Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. Zwycięski projekt w kategorii „Wydarzenie" to Obchody Roku Jana Kowalewskiego zorganizowane przez Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi i Urząd Miasta Łodzi. W kategorii „Edukacja" tytuł zwycięskiego projektu otrzymał portal Polska Biblioteka Muzyczna przygotowany przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne. MHP zdecydowało się przyznać także własną Nagrodę Specjalną dedykowaną projektowi realizowanemu w mniejszej skali. Otrzymał ją projekt „Na tropie tajemnicy – ożywianie archiwalnych pocztówek" zgłoszony przez Pałac Schoena Muzeum w Sosnowcu. Celem plebiscytu jest uhonorowanie organizatorów, twórców oraz inicjatorów najciekawszych przedsięwzięć historycznych minionego roku promujących historię i kulturę Polski w kraju i za granicą. Konkurs angażuje wiele środowisk lokalnych, które chcą wypromować organizowane przez siebie przedsięwzięcia. Honorowym patronem plebiscytu jest Minister Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

Białystok: Otwarcie Muzeum Pamięci Sybiru

17 września, w 82. rocznicę sowieckiej inwazji na Polskę, w Białymstoku odbyło się oficjalne otwarcie Muzeum Pamięci Sybiru – nowej instytucji kultury, która ma prezentować m.in. losy Polaków zsyłanych w głąb Rosji. Placówka została utworzona niedaleko Dworca Poleskiego, z którego w latach 1940–1941 Sowieci wywozili Polaków na Syberię. W uroczystości wzięli udział m.in. prezydent RP Andrzej Duda i wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotr Gliński, a także przedstawiciele środowiska sybiraków. List do uczestników wydarzenia skierował premier Mateusz Morawiecki. Budowa i stworzenie ekspozycji Muzeum Pamięci Sybiru zostało współfinansowane przez Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

Pożegnanie Jerzego Targalskiego

19 września w wieku 69 lat zmarł dr Jerzy Targalski – historyk, orientalista, działacz opozycji antykomunistycznej, nauczyciel akademicki, badacz przemian ustrojowych w Europie Środkowo-Wschodniej i roli służb specjalnych w tych procesach, współautor cyklu książek „Resortowe dzieci", były członek zarządu Polskiego Radia. 28 września odbyły się uroczystości pogrzebowe, które rozpoczęła msza św. w katedrze polowej Wojska Polskiego. W jej trakcie odczytano list prezydenta RP Andrzeja Dudy, który napisał o zmarłym: „Z pasją nauczał nas pojmowania mechanizmów historii oraz wiary w zwycięstwo prawdy nad kłamstwem, wolności nad przemocą, dobra nad złem. Wraz z jego odejściem polska nauka i nurt życia publicznego skoncentrowany na polskiej racji stanu ponoszą wielką stratę". Po zakończeniu nabożeństwa Jerzy Targalski został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. W pożegnaniu wzięli udział m.in. premier Mateusz Morawiecki, wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotr Gliński oraz doradca prezydenta RP Zofia Romaszewska.

eprasa.pl e761a75206

Pod patronatem „wSieci Historii": XIII edycja Festiwalu NNW

W dniach 29 września – 2 października w Gdyni odbywała się XIII edycja Festiwalu „Niepokorni. Niezłomni. Wyklęci". Wydarzenie zwieńczyła gala finałowa, na której wręczono nagrody dla najlepszych filmów polskich i zagranicznych w wielu kategoriach i konkursach. W Międzynarodowym Konkursie Filmów Fabularnych zwyciężył film „Aida. Quo Vadis, Aida?" w reżyserii Jasmili Žbanić. W Międzynarodowym Konkursie Filmów Dokumentalnych najlepszy okazał się obraz Anabela Rodrigueza „Dawno temu w Wenezueli". Złoty Opornik dla najlepszego dzieła w Konkursie Filmów Polskich otrzymała „Położna" Marii Stachurskiej. W konkursie najlepszych reportaży radiowych, których tematem jest polska historia najnowsza, wygrał reportaż „Prawda za podwójnym murem" Jakuba Tarki ze Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia. Zwycięzcą konkursu wideoklipów został Rafał Gużkowski, autor klipu „Kto Ty jesteś". Nagrodę Europejskiej Platformy Pamięci i Sumienia w konkursie międzynarodowym na film dokumentalny dla filmu, który w najlepszy, najciekawszy lub najbardziej nowatorski sposób przedstawi XX-wieczne doświadczenie totalitaryzmu w Europie, otrzymała „Moja ulubiona wojna"/„My Favorite War" w reżyserii Ilze Burkovskiej Jacobsen. Nagrodę Prezesa Telewizji Polskiej otrzymała Maria Dłużewska, autorka filmu „Z Gwiazdami. Podróż bez końca". Nagroda Dyrektora Festiwalu NNW trafiła do Ksawerego Szczepanika za film „Po złoto. Historia Władysława Kozakiewicza". Nagroda im. Janusza Krupskiego, przyznawana za odwagę i trud w poszukiwaniu tematów oraz postaci niepokornych, niezłomnych, wyklętych, została przyznana filmowi „Wybraniec Bogów" w reżyserii Konrada Starczewskiego, Rafała Pękały i Tomasza Matuszczaka. Nagrodą Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji uhonorowano „Piątkę poznańską" Artura Piotrowskiego. Nagroda TVP została przyznana filmowi „Człowiek, który zbiera Auschwitz" Gabrieli Mruszczak, a Nagroda Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych – obrazowi „Król nafty" Michała Bożka, który otrzymał także nagrodę własną członka KRRiT Elżbiety Więcławskiej-Sauk. Przyznano również wiele nagród specjalnych. Nagrodę Źródło, dedykowaną osobom, których niezłomna postawa stała się inspiracją dla twórców, otrzymała kombatantka Maria Mirecka-Loryś, komendantka główna Narodowego Zjednoczenia Wojskowego Kobiet oraz wieloletnia dyrektor Krajowego Zarządu Kongresu Polonii Amerykańskiej. Nagrodę „Drzwi Do Wolności", stanowiącą uhonorowanie osób, które często w sposób nieoczywisty walczą o wolność, wręczono: Annie Paniszewej – polskiej dziennikarce oraz działaczce społecznej i oświatowej na Białorusi, Węgierskiej Reprezentacji Waterpolo – za niezłomną postawę w meczu ze Związkiem Radzieckim w 1956 r., Robinowi Barnettowi – byłemu ambasadorowi Wielkiej Brytanii w Polsce, Danucie Rojek-Lemkiewicz – córce żołnierza NSZ, żonie opozycjonisty Antoniego Lenkiewicza, która była wraz z nim inwigilowana i prześladowana przez władze PRL, autorce relacji z rozpraw więźniów politycznych, Marynie Miklaszewskiej – dziennikarce, pisarce, działaczce opozycji niepodległościowej, Romanowi Zwiercanowi – działaczowi trójmiejskiej Solidarności Walczącej, Marianowi Markiewiczowi ps. Maryl– żołnierzowi AK, uczestnikowi akcji „Burza", w którego imieniu nagrodę odebrał wnuk – aktor Maciej Musiał, oraz Zofii Pileckiej-Optułowicz – córce rotmistrza Witolda Pileckiego niezłomnie walczącej o prawdę na temat swojego ojca. Nagrodę Przyjaciela Festiwalu NNW otrzymał zaś wiceprezes IPN prof. Krzysztof Szwagrzyk.

W trakcie festiwalu konkursom towarzyszyły liczne warsztaty, pokazy, koncerty oraz panele dyskusyjne z udziałem wielu prelegentów z kraju i zagranicy. Wśród gości tegorocznej edycji byli m.in. Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Krzysztof Wyszkowski, Marek Jurek, prof. Jan Żaryn, Grzegorz Górny czy Bronisław Wildstein.

Patronat narodowy nad wydarzeniem objął prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda. Organizatorami festiwalu są Stowarzyszenie Scena Kultury i Miasto Gdynia. Partnerem generalnym został PKN Orlen. Festiwal dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszy Promocji Kultury oraz ze środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

FOT. CENTRALNE MUZEUM WŁÓKIENNICTWA W ŁODZI, MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU, FRATRIA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e761a75206

Finał konkursu o wojnie polsko-bolszewickiej

28 września w siedzibie Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej odbyła się uroczystość rozdania nagród w VI Międzynarodowym Konkursie Historycznym „Wojna polsko-bolszewicka 1919–1920 w obronie granic i niepodległości". Przedmiotem konkursu było przygotowanie pracy artystycznej na temat wojny polsko-bolszewickiej. Formę pracy dostosowano do kategorii wiekowej i mogła być to poezja, laurka, plakat, projekt banknotu, komiks, znaczek oraz film. Tematem pracy mogła być postać wybranego żołnierza, wydarzenia lub innych zagadnień historycznych dotyczących wojny polsko-bolszewickiej. Prace konkursowe można było nadsyłać w czterech kategoriach: uczniowie szkół podstawowych kl. 0–III, uczniowie szkół podstawowych kl. IV–VIII, uczniowie szkół ponadpodstawowych oraz osadzeni w aresztach śledczych. Organizatorem konkursu był Komitet Pamięci Rotmistrza Witolda Pileckiego. Łącznie w ramach konkursu zgłoszono ponad dwa tysiące prac z całej Polski i szkół poza granicami kraju. Jednym z głównych celów projektu jest kształtowanie postaw patriotycznych młodzieży poprzez propagowanie i pogłębianie wiedzy o wojnie polsko-bolszewickiej 1919–1920. Przedsięwzięcie ma za zadanie również doskonalenie wśród dzieci i młodzieży umiejętności samodzielnego poszukiwania, gromadzenia i selekcjonowania informacji z różnych źródeł. Wydarzenie uzyskało patronat narodowy prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w stulecie odzyskania niepodległości. W komitecie honorowym projektu zasiedli m.in. minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, minister edukacji i nauki prof. Przemysław Czarnek, prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Jarosław Szarek, dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn, prezes KGHM Polska Miedź Marcin Chludziński i dyrektor Muzeum „Żołnierzy Wyklętych" i Więźniów Politycznych PRL Jacek Pawłowicz.

FOT. FOT IDMN

FOT. DANUTA MATLOCH/GOV.PL

Pokaz filmu o Andrzeju Doboszu

27 września w warszawskim Kinie Kultura odbył się przedpremierowy pokaz filmu dokumentalnego „Świat został stworzony dla mnie" poświęconego postaci Andrzeja Dobosza, felietonisty, krytyka literackiego, autora książek, świadka najważniejszych wydarzeń kulturalnych ostatnich dziesięcioleci. Wyprodukowany przez Telewizję Polską oraz Wytwórnię Filmów Dokumentalnych i Fabularnych obraz ukazuje losy głównego bohatera na tle wydarzeń i zjawisk, które ukształtowały Polskę XX w. „To piękny esej o misji, o etosie polskiego inteligenta, z naciskiem na pewien dystans, nawet autoironię. Rzeczywistość w tym filmie jest potraktowana z lekkim humorem, ale też z wiarą, że kultura jest czymś najważniejszym, że są pewne style, do których warto aspirować, i warto mieć ambicje związane z kulturą" – powiedział po projekcji wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotr Gliński. W wydarzeniu uczestniczyło wielu przedstawicieli świata polityki i kultury, w tym wicepremier, prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński.

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

23 października i 20 listopada (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

25 października (poniedziałek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w Radiu Gdańsk

Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii" w każdą ostatnią środę miesiąca o godz. 11.05 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co za Historia".

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	**29 zł** (3 wydania)	**54 zł** (6 wydań)
SIECI	**75 zł**	**139 zł**	**245 zł**
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**158 zł** (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280 zł** (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl e761a75206

DUCH I POLITYKA

GRZEGORZ GÓRNY

Lew Lechistanu

Polacy często cytują zdanie lorda d'Abernona, że Bitwa Warszawska, która uratowała Europę przed komunizmem, była jedną z 18 najważniejszych bitew w historii. Na świecie znacznie częściej przywoływana jest jednak wiktoria wiedeńska, a zwłaszcza król Jan III Sobieski, który zadał ostateczny cios militarnej potędze islamu.

Trzeba bowiem pamiętać, że od VII do XVII stulecia, a więc przez niemal dziesięć wieków, muzułmanie stanowili nieustanne zagrożenie dla Starego Kontynentu, snując plany ekspansji, podejmując kolejne wyprawy zbrojne przeciw chrześcijanom i stale rozszerzając swe panowanie. Punktem zwrotnym okazała się ich klęska pod Wiedniem, po której już nigdy poważnie nie zagrozili Europie.

Główny architekt wiktorii wiedeńskiej miał do wyrównania swoje osobiste porachunki z Turkami. Jego pradziadem był jeden z największych dowódców wojskowych w historii Rzeczypospolitej: hetman wielki koronny Stefan Żółkiewski, który w 1610 r. pod Kłuszynem pokonał wojska rosyjskie, zdobył Moskwę i wziął do niewoli cara. Dziesięć lat później poległ podczas przegranej bitwy z Turkami pod Cecorą, na ziemiach mołdawskich. Muzułmanie obcięli mu głowę i wysłali sułtanowi, który kazał umieścić ją nad wejściem do swego pałacu w Stambule. Bezgłowe ciało hetmana pochowane zostało w kościele św. Wawrzyńca w Żółkwi. Na jego nagrobku wykuto inskrypcję z cytatem z „Eneidy" Wergiliusza: „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor" („Powstanie kiedyś z kości naszych mściciel").

Mały Jan Sobieski wychowywał się właśnie w Żółkwi. Jego matka w dzieciństwie prowadziła go często na grób słynnego pradziadka. Chłopiec, wczytując się w łaciński napis, marzył o tym, by kiedyś stanąć do walki z muzułmanami i pomścić przodka. Opatrzność miała się okazać dla niego łaskawa. Sobieskiemu dane było dowodzić w licznych bitwach, zwłaszcza przeciw Turkom i Tatarom, w których odniósł wiele świetnych zwycięstw, m.in. pod Podhajcami, Chocimiem czy Żórawnem. Największą sławę przyniosła mu jednak odsiecz wiedeńska.

W lipcu 1683 r. pod murami austriackiej stolicy stanęła największa armia, jaką w XVII w. zdołali zmobilizować Turcy. Historycy szacują jej liczebność na 140–300 tys. żołnierzy. Celem wielkiego wezyra Kary Mustafy był podbój jednej z głównych europejskich potęg, czyli monarchii Habsburgów. Zdobywając Wiedeń, muzułmanie usadowiliby się w samym centrum Europy. Jan Sobieski zniweczył jednak te plany, rozbijając wojska tureckie. Po bitwie napisał do Innocentego XI list ze słynnym zdaniem: „Venimus, vidimus et Deus vicit" („Przybyliśmy, zobaczyliśmy i Bóg zwyciężył"). W odpowiedzi papież nadał władcy tytuł „Defensor fidei" („Obrońca wiary"), dzień 12 września zaś (datę wiktorii wiedeńskiej) ustanowił świętem imienia Maryi, które obchodzone jest do dzisiaj.

Janowi III Sobieskiemu dane było dowodzić w licznych bitwach, zwłaszcza przeciw Turkom i Tatarom, w których odniósł wiele świetnych zwycięstw

Po tym triumfie Sobieski pokonał wroga w kolejnej bitwie – pod Parkanami – i zdobył zamek w Ostrzyhomiu. Zamysły króla sięgały jednak dalej niż tylko oswobodzenie austriackiej stolicy. Chciał kontynuować wojnę, by złamać ostatecznie potęgę Turcji i wyprzeć ją z Europy. W ten sposób rozwiązałby wszystkie problemy na południowo-wschodnich granicach Rzeczypospolitej i mógłby się skoncentrować na zagrożeniu rosyjskim oraz brandenburskim. W tym celu postanowił się porozumieć z madziarskimi powstańcami, którzy pod wodzą Imre Thökölyego sprzymierzyli się z sułtanem, by zrzucić zależność od Habsburgów i odzyskać niepodległość Węgier.

Plany Sobieskiego napotkały jednak opór nie tylko Austrii, lecz także opozycji wewnętrznej pod wodzą hetmanów Stanisława Jabłonowskiego i Kazimierza Sapiehy. Wojska tego ostatniego wkroczyły na górne Węgry, jednak nie po to, by walczyć z Turkami, lecz by grabić i mordować węgierską ludność cywilną. To spowodowało, że Thököly obrócił się przeciw Polakom, którzy utracili sympatię Madziarów. Kampania została przerwana. Pozostały po niej popularne wśród Słowian południowych pieśni o królu „Jovanie", który nadejdzie kiedyś z północy, by uwolnić ich spod jarzma tureckiego.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl e761a75206

POD ZNAKIEM ORŁA BIAŁEGO

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

W tym roku obchodzimy 80. rocznicę utworzenia Armii Krajowej. To właśnie przede wszystkim z nią utożsamiamy walkę zbrojną polskiego Podziemia o niepodległą Rzeczpospolitą w latach II wojny światowej. Warto jednak pamiętać, że w cieniu AK – i przywoływanych jeszcze często Związku Walki Zbrojnej, Batalionów Chłopskich czy Narodowych Sił Zbrojnych – w polskiej konspiracji funkcjonowało wiele innych organizacji, których istotny wkład w walkę zbrojną, organizowanie zaplecza technicznego dla podziemnego wojska i osiągnięcia wywiadowcze jest rzadko przypominany i szerzej nieznany. Trzeba wydobyć je z niepamięci i przywrócić należne im miejsce w galerii chwały polskiego Podziemia lat II wojny światowej.

Kiedy wojska polskie stawiały trzeci tydzień bohaterski opór niemieckiej agresji, trwała jeszcze największa bitwa kampanii wrześniowej, zapoczątkowana uderzeniem armii „Poznań" i „Pomorze" na zmierzające ku Wiśle kolumny Wehrmachtu, a od kilku dni oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza usiłowały powstrzymywać na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej inwazję sowiecką, na południu Polski utworzona została pierwsza znacząca podziemna organizacja. Jej założycielem był major Wojska Polskiego, działacz polityczny i społeczny Kazimierz Kierzkowski. Opierając się na swych wpływach i kontaktach wśród przedstawicieli piłsudczykowskiej lewicy, paramilitarnego Związku Strzeleckiego, działającego prężnie w latach II Rzeczypospolitej oraz w środowisku starszych działaczy Związku Harcerstwa Polskiego, rozpoczął on budowanie podziemnej siatki w Krakowie. Przygotowania organizacyjne znalazły swój finał 20 września 1939 r., kiedy powstał Związek Orła Białego (przemianowany następnie na Organizację Orła Białego). Tego samego dnia ukonstytuowało się kierownictwo konspiracji, na którego czele stanął sam Kierzkowski. Kierownikiem pionu wojskowego organizacji został doświadczony żołnierz, wcześniej szef sztabu 18 Dywizji Piechoty WP, ppłk Kazimierz Pluta-Czachowski. Natomiast szefostwo pionu cywilnego objął Ludwik Muzyczka. Ambicją OOB było prowadzenie szeroko zakrojonej akcji dywersyjnej i wywiadowczej oraz rozpoczęcie działań propagandowych skierowanych przeciwko Niemcom. Konspiratorzy przygotowywali również szlaki przerzutowe na Węgry celem ewakuacji kadry wojskowej oraz umożliwienia bezpiecznego przekraczania granicy przez upełnomocnionych wysłanników, którzy mieli nawiązać kontakt z władzami Rzeczypospolitej na uchodźstwie. Organizacja chciała także podjąć współpracę i koordynować działalność wojskową i polityczną z innymi strukturami konspiracyjnymi, które – jak się spodziewano – powstaną na okupowanym obszarze kraju.

Patriotyczna pajęczyna

W kierownictwie OOB natychmiast podjęto decyzję o delegowaniu emisariuszy na Śląsk i Kielecczyznę, do Zagłębia Dąbrowskiego, jak również do polskiego poselstwa w Budapeszcie. Konsekwencją tych działań było szybkie powstanie zawiązków organizacji w miastach Górnego Śląska i Zagłębia oraz w Kielcach, Radomiu, Skarżysku, Sandomierzu i Częstochowie. Podporządkowano też krakowskiej centrali tworzącą się spontanicznie konspirację w Lublinie. W samym Krakowie i województwie krakowskim Organizacja Orła Białego powstała przez połączenie i przekształcenie w szerszą strukturę konspiracyjną komórek dywersji pozafrontowej, utworzonych wcześniej przez Wydział Specjalny w Oddziale II Sztabu Wojska Polskiego (odpowiedzialnym za wywiad oraz kontrwywiad) i funkcjonujących już na terenie miasta i województwa we wrześniu 1939 r. Tymczasem kierowana przez Kierzkowskiego konspiracja po rozbudowaniu struktur na południowych terenach przedwojennej Rzeczypospolitej starała się rozszerzyć wpływy także na centralne obszary kraju. W stolicy już na początku października 1939 r. działał okręg warszawski OOB, odpowiedzialny za pracę podziemną na terenie samego miasta i całego województwa warszawskiego. Jego organizatorem był major Mieczysław Chyżyński „Rzędzian". W skład kierownictwa okręgu weszli kapitanowie: Aleksander Habiniak jako organizator okręgu miejskiego stołecznego i Kazimierz Lang odpowiedzialny za sieć konspiracyjną w województwie.

eprasa.pl e761a75206

Niezależnie od ekspansji w terenie trwały prace nad wewnętrzną przebudową struktury organizacji. Kierzkowski zdecydował się bowiem wydzielić specjalny zespół o kryptonimie Odwet. Jego członkowie mieli prowadzić akcję bieżącą, czyli organizować sabotaż oraz dywersję techniczną i bojową. W skład „Odwetu" wchodziły trzy komórki: akcji kolejowej (autonomiczna, dynamicznie rozbudowywana, obejmująca szybko kolejne rejony i odcinki), sabotażu i dywersji terenowej (prowadząca akcje sabotażu technicznego), wreszcie „zespoły lotne" (będące w wyłącznej dyspozycji komendanta danego rejonu i wykonujące specjalne zadania bojowe w całym rejonie). Sieć „Odwetu" już pod koniec 1939 r. objęła okręg warszawski, w którym zorganizowano przede wszystkim wspomniane „oddziały lotne" oraz zawiązki terenowych grup sabotażowo-dywersyjnych. Szefem „Odwetu" w okręgu stołecznym został porucznik rezerwy Jan Czyżowski, który poza ww. oddziałami i grupami utworzył również specjalny zespół bojowy do zadań ochronnych i przerzutowych.

Walka i śmierć bohatera

Bardzo szybko OOB nawiązała łączność ze Służbą Zwycięstwu Polski (SZP), utworzoną 27 września 1939 r. jako centralna podziemna struktura wojskowo-polityczna, podporządkowana rządowi RP na uchodźstwie, organizująca w warunkach okupacji walkę o wyzwolenie Polski w granicach przedwojennych, od-tworzenie armii polskiej oraz powołanie tymczasowych ośrodków władzy w kraju. Jeszcze w październiku Kierzkowski zadecydował o ścisłym podporządkowaniu kierowanej przez siebie konspiracji przywódcy SZP, gen. Michałowi Karaszewi-czowi-Tokarzewskiemu. W listopadzie wszedł również w skład podziemnej kra-kowskiej Okręgowej Rady Politycznej, powołanej do życia przy SZP. Z kolei od 1940 r. pełnił funkcję szefa Biura Informacji i Propagandy Komendy Obszaru Kraków–Śląsk Związku Walki Zbrojnej (który zastąpił SZP jako nowa jednolita organizacja zbrojna Polskiego Państwa Podziemnego). Równocześnie członko-wie OOB na obszarze Śląska i Zagłębia zasilili szeregi Związku Odwetu – struk-tury bojowej ZWZ, wydzielonej do bieżącej walki, stanowiącej poprzednika słyn-nego akowskiego „Kedywu" (Kierownictwa Dywersji). Niestety dynamiczna dzia-łalność dywersyjna i sabotażowa Organizacji Orła Białego, rozbudowa jej kon-spiracyjnej sieci oraz aktywność w SZP, a później ZWZ spowodowały reakcję ze strony Niemców – przygotowujących się równocześnie do ataku na Związek So-wiecki i zamierzających spacyfikować frontowe zaplecza, jakim miały się stać wkrótce ziemie polskie. Wiosną 1941 r. służby bezpieczeństwa III Rzeszy przy-stąpiły do wcześniej zaplanowanej, zakrojonej na bardzo szeroką skalę akcji rozbijania struktur polskiego Podziemia i likwidowania jego członków. Będąca jej wynikiem częściowa dekonspiracja południowego obszaru ZWZ, w znacznym stopniu opierającego się na sieci zbudowanej jeszcze przez Organizację Orła Białego, pociągnęła za sobą liczne aresztowania. Pomimo realnej groźby ujęcia przez Niemców Kierzkowski zdecydował się jednak nie porzucać pracy konspi-racyjnej i pozostać w Krakowie. Został ostatecznie aresztowany w lipcu 1941 r. i poddany ciężkiemu przesłuchaniu. Prawdopodobnie dwa miesiące później trafił do obozu koncentracyjnego Auschwitz – choć według niektórych informacji miało stać się dopiero w lutym 1942 r. – jako wyjątkowo niebezpieczny więzień poli-tyczny i „wróg Rzeszy". Został zamordowany w obozie 21 marca 1942 r. Non omnis moriar... Pozostawił po sobie stworzoną sieć konspiracyjną i zwerbowa-nych żołnierzy Podziemia, którzy kontynuowali zapoczątkowaną przez niego walkę już w szeregach ZWZ, a później AK.

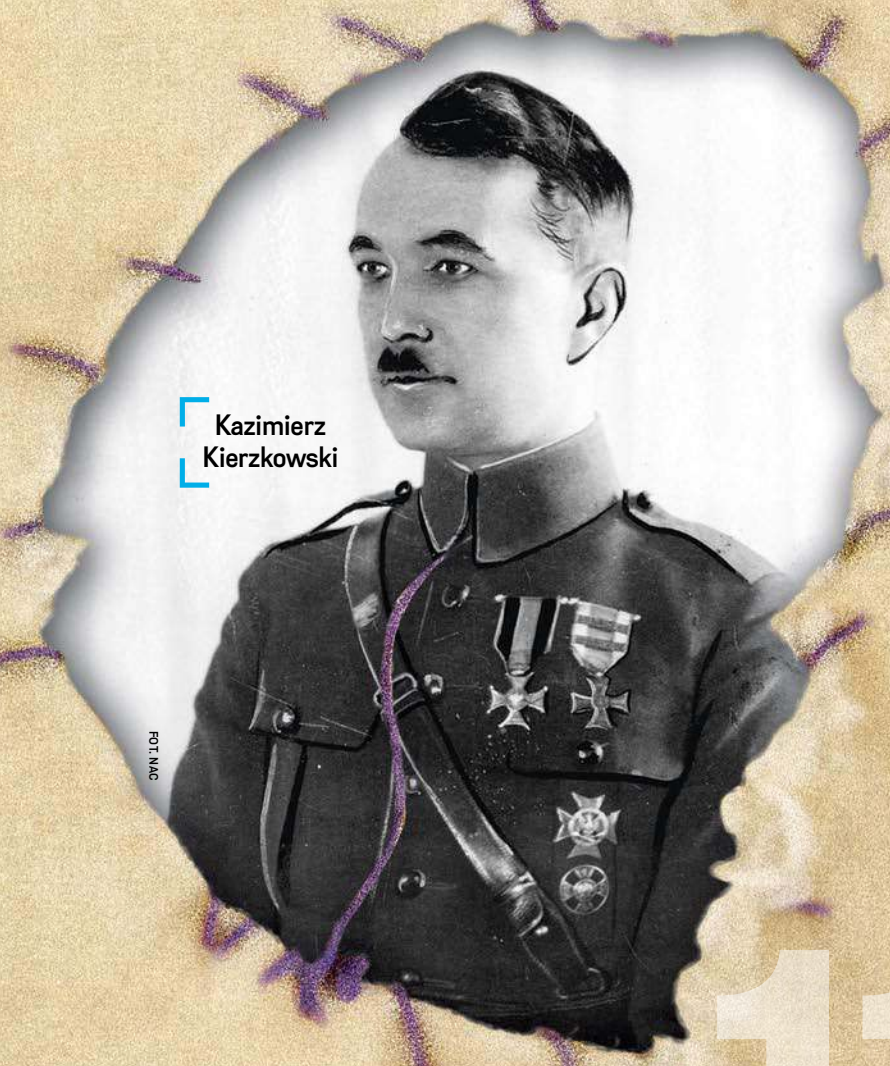

Kazimierz Kierzkowski

FOT. NAC

FOT. SHUTTERSTOCK x2

eprasa.pl e761a75206

MAREK BARAŃSKI

OPAT KOMENDATORYJNY

W WIKIPEDII MOŻEMY PRZECZYTAĆ, ŻE OPAT TO WYŻSZY PRZEŁOŻONY W MĘSKICH ZAKONACH KATOLICKICH NALEŻĄCYCH DO KRĘGU ZAKONÓW MNISZYCH. CZY KAŻDY?

W czasie zajęć terenowych wraz ze studentami historii odwiedzałem leżący na Śląsku Lubiąż. Zachował się tam kompleks budowli będący kiedyś klasztorem cystersów. Klasztor ten, ufundowany w 1175 r. przez księcia śląskiego Bolesława Wysokiego, obecny barokowy kształt uzyskał na przełomie XVII i XVIII w. Jest to największy klasztor cysterski na świecie, druga co do wielkości budowla kościelna, po hiszpańskim Eskurialu. Od strony zachodniej budowlę zamyka ogromna, licząca aż 223 m fasada, z umieszczonym w środku dwuwieżowym kościołem. Wnętrze świątyni pozostało gotyckie, ozdobione tylko dekoracjami barokowymi, natomiast wzniesiona na przełomie XVII i XVIII w. fasada zachodnia uzyskała formę barokową. Choć front kościoła został zbudowany wzdłuż tej samej linii, co reszta fasady, wyróżnia się jednak wyraźnie poprzez inny układ okien i inną dekorację.

Na południe od kościoła znajduje się czworobok zabudowań klasztornych, na północ od niego – pałac opacki. Mimo różnych funkcji obie fasady zostały zaprojektowane tak samo. Obie mają po trzy kondygnacje, przy czym boniowany parter, oddzielony od wyższych pięter gzymsem, tworzy coś w rodzaju cokołu. Piętra ponad gzymsem pomiędzy oknami otrzymały wielkie pilastry, nad oknami zaś przyczółki oraz delikatne, eleganckie dekoracje. Jednak prawdziwe bogactwo baroku widoczne jest we wnętrzu klasztoru. Po wieloletniej dewastacji do dawnej świetności zostały doprowadzone na razie tylko najważniejsze sale, tzn. refektarz, biblioteka i znajdująca się na końcu pałacu opackiego sala zwana książęcą.

Sala książęca, niewłaściwie, ale dość powszechnie zwana balową, ma wysokość dwóch pięter i szerokość całego skrzydła pałacu. Rozjaśniają ją dwie kondygnacje okien znajdujących się w trzech ścianach. Na czwartej ścianie, tam, gdzie są dwie pary drzwi, umieszczono balkon podpierany przez dźwigającego globus Atlasa. Salę ozdabiają liczne rzeźby, wśród nich są cesarze rzymscy z rodu Habsburgów, a także personifikacje cnót. Poza rzeźbami podziwiać możemy malowidła, a na suficie ogromny plafon.

Prawie zawsze zwiedzający dziwią się i pytają, po co zakonnikom taka wspaniała sala. Gdy jeszcze używają określenia „sala balowa", pojawiają się domysły, jak to zakonnicy po podwinięciu habi-

eprasa.pl e761a75206

Kompleks budowli w Lubiążu, druga co do wielkości budowla kościelna świata po Esturial, hiszpańskim zespole pałacowo-kościelnym. Przez wieki w Lubiążu mieścił się klasztor cystersów, ufundowany w 1175 r.

tów ruszali w tany. Tymczasem sala ta, jak i cały pałac opacki, nie należały do klasztoru. Również opat na ogół nie był zakonnikiem. Nie miał on nawet prawa wchodzić na teren klasztoru. Był to bowiem tzw. opat komendatoryjny. Nazwa pochodzi od łacińskiego czasownika commendare oznaczającego w średniowieczu m.in. nadanie kościelnego beneficjum.

Lubiąż wraz ze Śląskiem do połowy XVIII w. podlegał pełniącym funkcję królów czeskich cesarzom z rodu Habsburgów. Ale nie tylko w habsburskim cesarstwie istniała instytucja opatów komendatoryjnych, znana była ona też w innych katolickich krajach nowożytnej Europy. Także przy dużych klasztorach na terenie Rzeczypospolitej budowane były pałace lub domy opackie, również w Rzeczypospolitej opaci dużych i bogatych klasztorów nie byli zakonnikami. Opatów komendatoryjnych królowie polscy zaczęli mianować od początku XVII w. spośród ludzi zasłużonych dla monarchy. Choć na ogół byli nimi duchowni, to jednak wśród opatów zdarzali się też ludzie świeccy. Była to forma wynagrodzenia zasłużonych dla władcy osób. Opat komendatoryjny nie miał żadnych obowiązków w stosunku do klasztoru, pobierał tylko dochody z majątku klasztornego. Ponieważ nie był związany z klasztorem, jego siedziba wznoszona była poza klasztornymi zabudowaniami. Nie miał też prawa niczego zakonnikom narzucać. Ustanowienie opata komendatoryjnego spowodowało, że klasztorem zaczął kierować wybierany przez zakonników przeor.

USTANOWIENIE OPATA KOMENDATORYJNEGO SPOWODOWAŁO, ŻE KLASZTOREM ZACZĄŁ KIEROWAĆ WYBIERANY PRZEZ ZAKONNIKÓW PRZEOR

Stosunki między zakonnikami a opatem komendatoryjnym układały się różnie. Jedni dbali o klasztor, z którego dochodów korzystali, czasem – dla swej chwały – wznosili nowe zabudowania lub przebudowywali kościół. Zdarzało się jednak, że opat ograniczał swą działalność do czerpania z klasztornego majątku. Wtedy, choć klasztor był bogaty, zakonnicy byli ubodzy. Dopiero w 1737 r. na mocy tzw. konkordatu wschowskiego ustalono, że król ma prawo mianować opatów komendatoryjnych w 13 najbogatszych klasztorach Rzeczypospolitej. Ustalono też, że wyznaczony przez króla opat może pobierać dwie trzecie dochodu z klasztornego majątku, jedną trzecią musi pozostawić zakonnikom. Instytucja opatów komendatoryjnych zanikła wraz z sekularyzacją klasztorów w XIX w.

Warto może jeszcze dodać, że opatem komendatoryjnym w podparyskim klasztorze Saint-Germain-des-Pres był od 1669 r. król polski Jan Kazimierz. Opactwo otrzymał od Ludwika XIV, gdy po abdykacji wyjechał do Francji. Dzięki temu były polski monarcha miał za co żyć, nie obciążając kiesy francuskiego władcy.

FOT. PIOTR J./WIKIPEDIA

eprasa.pl e761a75206

„Szczęść Boże", obraz Piotra Stachiewicza, ok. 1920 r.

PAŃSZCZYZNA POLSZCZYZNA

MIMO ZMIANY USTROJOWEJ ŚRODOWISKO HISTORYCZNE W POLSCE NIE ZAPROPONOWAŁO NOWEGO NAUKOWEGO SYNTETYCZNEGO UJĘCIA HISTORII CHŁOPÓW POLSKICH ANI PRAC POPULARNONAUKOWYCH NA TEN TEMAT

PIOTR GUZOWSKI

Ostatnie lata przyniosły wiele książek odwołujących się do koncepcji „pańszczyzny" jako klucza do zrozumienia na nowo dziejów Polski. Zazwyczaj ich autorami są niehistorycy: socjologowie, kulturoznawcy, filozofowie, dziennikarze. Spośród historyków można wskazać Adama Leszczyńskiego („Historia Ludowa") i Kamila Janickiego („Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa"), a więc autorów wywodzących się spoza akademickiego środowiska historycznego. Bez względu na to, jak oceniamy cały ten bardzo zróżnicowany nurt pisarstwa historycznego, chyba na wyrost nazywany historią ludową, należy przyznać, że jego popularność i wszechobecność owocuje przewartościowaniem oceny dawnej Rzeczypospolitej w oczach polskich humanistów i miłośników historii. Musiało do niego dojść prędzej czy później, a przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele (także politycznych), wśród których jedna wiąże się z wyrzuceniem w późnym PRL na margines badań historycznych problematyki chłopskiej. Skupienie historyków na szlachcie (w mniejszym stopniu mieszczaństwie) i zignorowanie tematyki gospodarczej sprawiło, że choć cały czas powstają nowoczesne prace z zakresu historii społecznej dotyczące dawnej wsi, nie przebijają się one do świadomości ani głównych nurtów historiografii, ani tym bardziej wiedzy powszechnej. W związku z tym w dobie poszukiwania przez przedstawicieli nauk społecznych kolejnych godnych opisania i zbadania grup uciskanych, nieuprzywilejowanych, marginalizowanych czy penalizowanych, dzieje chłopów w dawnej Polsce musiały się stać wdzięcznym tematem „dyskursu", zwłaszcza humanistyki zaangażowanej.

Pańszczyzna jako jeden z elementów systemu

W dyskursie tym pańszczyzna jest traktowana nie tylko jako symbol, lecz przede wszystkim synonim całego systemu społeczno-gospodarczego dawnej Polski. Jest to jedno z uproszczeń, które stosują nie zawsze świadomi epokowych niuansów twórcy „historii ludowych". Zasadniczo są oni słabo zaznajomieni zarówno z materiałem źródłowym, jak i opracowaniami historycznymi dotyczącymi gospodarki i społeczeństwa dawnej Polski. Pańszczyzna jako rodzaj pracy przymusowej była tylko jedną z cech systemu społeczno-gospodarczego, który w całości niewątpliwie

FOT. POLONA.PL

eprasa.pl e761a75206

dyskryminował ludność chłopską. Oprócz przymusowej pracy ważnymi elementami ustroju były również: osobiste poddaństwo chłopów, ograniczone prawo do ziemi, ekonomiczna dominacja folwarku, słabość społeczności chłopskich oraz wspieranie porządku społecznego przez instytucje państwowe. Jednak wbrew pozorom trudno uznać to, jak chcą twórcy „historii ludowych", za jednoznaczny dowód niewolnictwa polskich chłopów.

Pańszczyzna jako renta odrobkowa była początkowo jednym z kilku obciążeń opisanych w dokumentach lokacyjnych; była zwyczajnie elementem kontraktu właściciela gruntu z chłopskimi osadnikami. Przed połową XV w. jej wymiar był symboliczny i ograniczał się do kilku dni w roku. Zmieniło się to wraz z rozwojem folwarku produkującego na zbyt, lecz nawet wówczas, gdy wymiar pracy odrobkowej rósł, miała ona charakter ekwiwalentny wobec czynszu. Tak więc jeśli renta pieniężna była niska, obciążenia robociznami rosły i na odwrót, gdy pańszczyzna była niska, czynsze były wysokie. Nikt tych ostatnich nie nazywa dziś jednak „niewolniczymi", podczas gdy swobodnie stosuje się ten epitet w odniesieniu do pracy.

Najstarszy dokument próbujący kompleksowo regulować kwestie pańszczyzny na jakimś terytorium, czyli laudum sejmiku krasnostawskiego z 1477 r., wprowadzał ustandaryzowaną stawkę czynszu w wysokości połowy grzywny z łanu (a więc dużo niższego niż w sąsiednich regionach), ale z rekompensatą jednego dnia pańszczyzny w tygodniu. Zastrzegano jednocześnie, że gdyby właściciel wsi nie potrzebował pańszczyzny, wówczas chłopi mieli płacić większy czynsz. Kiedy w 1520 r. wprowadzono minimalny jednodniowy wymiar pańszczyzny tygodniowej już w całym kraju, pojawił się problem, jak takie zasoby wykorzystać. Tam, gdzie funkcjonowały folwarki, można było je rozbudować i utowarowić ich produkcję, opierając się na chłopskiej sile roboczej. Tymczasem z dala od dużych rynków albo szlaków wodnych umożliwiających transport działania takie nie miały sensu ekonomicznego. Dlatego chłopi wykupowali pańszczyznę, czyli formalnie byli do niej zobowiązani, ale w praktyce była zamieniana na dodatkową opłatę w pieniądzu. Warto przy tym zaznaczyć, że chłopi dosyć rygorystycznie stali na straży ważności stawek czynszu zapisanych w przywilejach lokacyjnych. W związku z postępującą deprecjacją pieniądza kruszcowego musiało się to wiązać z modyfikacją innych obciążeń. Odbywało się to najczęściej na zasadzie negocjacji, w których poddani byli oczywiście w pozycji mniej uprzywilejowanej, ale nie beznadziejnej, bo to od nich i ich zaangażowania w pracę zależała efektywność gospodarstw folwarcznych. Zresztą często w okresach aktualizowania skali i formy zobowiązań wobec właściciela ziemi sami chłopi preferowali robociznę jako mniej uciążliwą formę świadczeń niż czynsz, gdyż zdejmowała z nich konieczność szukania rynku zbytu na produkty i usługi gospodarstwa chłopskiego – niezbędnego, by pozyskać pieniądze na opłaty.

W ciągu XVI w. pańszczyzna rosła i osiągała przeciętnie trzy dni z łanu (1 łan to 16,8 ha), a w kolejnym stuleciu nawet więcej, przekraczając magiczne siedem dni w tygodniu, co nie wynikało jednak z jakiegoś szczególnego zakrzywienia staropolskiej czasoprzestrzeni, lecz z tego, że często pańszczyznę gospodarstw chłopskich odrabiali zatrudniani w nich parobkowie-czeladnicy. Pod koniec XVIII w. 40 proc. chłopskich gospodarstw domowych zatrudniało służbę, a wśród gospodarzy pełnorolnych ten odsetek sięgał 60 proc. Warto też pamiętać, że każda włość była zorganizowana inaczej, a pańszczyzna nie była obciążeniem uniwersalnym. Zdarzały się miejsca w kraju (np. Pomorze), gdzie jej znaczenie było znacznie mniejsze niż w innych regionach zaangażowanych w produkcję rynkową, a zwłaszcza eksport. Istniały też tereny, gdzie wielka własność się nie rozwinęła albo była ograniczona. W zaściankach drobnoszlacheckich Podlasia, Mazowsza, Lubelszczyzny czy nawet Pomorza szlachta bezkmieca stanowiła sporą część populacji i w regionach tych dumni właściciele herbów pracowali własnoręcznie („cum aratura sua"). Poza tym specyfika prac rolnych narzucała pewien rytm sezonowy i obciążenie pańszczyzną w roku nie było równomierne, rosło wraz z intensyfikacją prac polowych. W związku z tym w miesiącach wiosennych i letnich wymiar pańszczyzny w tygodniu mógł być większy niż w późnojesiennych i zimowych.

Rola kryzysów monetarnych i demograficznych

Skala i rozmiary pańszczyzny wzrosły wraz z kryzysem monetarnym i demograficznym w drugiej połowie XVII i na początku XVIII w. Opuszczone gospodarstwa chłopskie zamieniano na folwarki nastawione albo na hodowlę (i wówczas praca chłopów była mniej potrzebna), albo na ekstensywną produkcję rolną i wówczas rola pańszczyzny zwiększała się drastycznie. Z drugiej strony podstawą folwarcznej uprawy była praca chłopów z własnym sprzężajem, więc szlacheccy czy instytucjonalni właściciele ziemscy musieli dbać o kondycję średnich i dużych gospodarstw chłopskich, bo bez ich zwierząt pociągowych, siły roboczej i narzędzi nie można było sprawnie obsługiwać pól folwarcznych. Oczywiście na wsi obok kmieci, a więc dziedzicznych użytkowników działek co najmniej ćwierćłanowych, zamieszkiwali również drobni rolnicy: zagrodnicy, ogrodnicy czy wreszcie chałupnicy nieposiadający samodzielnych i samowystarczalnych gospodarstw. Do tego trzeba dodać komorników i kątników mieszkających w izbach u innych chłopów. Te niższe grupy społeczne stanowiły rezerwuar siły roboczej zarówno gospodarstw średniozamożnych i bogatych chłopów, jak i folwarków. Kmiecie stanowili większość wśród plebejskich mieszkańców wsi, ale zróżnicowanie ekonomiczne pogłębiało się w okresie wczesnonowożytnym. Standard życia rodzin chłopskich spadał, a szlachta wprowadziła w życie inne sposoby ekstrakcji zasobów chłopskich, np. przymus propinacyjny.

Z drugiej strony szlachta starała się ograniczyć poziom opodatkowania gospodarstw chłopskich i zachęcić, a nie tylko zmusić, do osiedlenia się w swoich dobrach, rozwijając pewien system wsparcia i zabezpieczenia na szczególnie trudne czasy (gwarantując wyposażenie chałup, zapasy zboża na wysiew itd.). Konkurujący o poddanych właściciele majątków starali się zagwarantować nowym osadnikom sprzyjające warunki, a konieczność współżycia ze sobą przedstawicieli obu grup społecznych nakłaniała do racjonalizacji systemu obciążeń. Perspektywa walki klasowej nie jest więc najbardziej trafna w ocenie systemu folwarczno-pańszczyźnianego, aczkolwiek nie należy go również idealizować. Nie był to system ani gospodarczo wydolny, ani sprawiedliwy. W długiej perspektywie zatrzymał on rozwój polskiej gospodarki, wpłynął na upośledzenie prawne, ekonomiczne i społeczne zdecydowanej większości społeczeństwa – nie tylko chłopów, ale też mieszkańców miast, a także zablokował modernizację państwa. »

eprasa.pl e761a75206

Chłopi niewolnicy?

Aby gospodarka folwarczno-pańszczyźniana mogła w miarę skutecznie funkcjonować, potrzebne było wprowadzenie innych elementów systemu. Kluczowe było poddaństwo i wynikające z niego ograniczenia opuszczania przez chłopów wsi bez zgody pana. Te dwa elementy są jednak postrzegane równie stereotypowo jak pańszczyzna. Badając znaczenie sądów dominalnych w stosunku do ludności chłopskiej, często się zapomina, że najniższą instancję sądową w dobrze rozwiniętych zespołach dóbr stanowiły sądy ławnicze złożone z sołtysa/wójta i najczęściej siedmiu ławników rekrutowanych spośród chłopskich mieszkańców wsi, a więc chłopów najczęściej sądzili inni chłopi. Z kolei mobilność przestrzenna chłopów leżała u podstawy rozwoju staropolskich miast i terenów peryferyjnych, takich jak ziemie województw ukrainnych. Bez dopływu migrantów zarobkowych, nie tylko uciekinierów, ale chłopów służących, czeladników, uczących się zawodu, handlujących, nie mogłoby funkcjonować ponad 800 miast i miasteczek koronnych oraz kilkaset litewskich. Zatem formalne przeszkody w postaci zakazu opuszczania wsi bez zgody pana istniały, ale w praktyce je omijano.

Podobnie rzecz się miała także w sferze awansu społecznego. Plebejusze wiejscy często stawali się obywatelami miast, a niektórzy potrafili przedostać się do stanu szlacheckiego. Truizmem będzie powoływanie się na dzieło Waleriana Nekandy Trepki, który w pierwszej połowie XVII w. opisał mechanizmy nielegalnego przedostawania się synów chłopskich w szeregi stanu uprzywilejowanego, niemniej warto wspomnieć, że ok. 10 proc. XVI-wiecznych studentów Akademii Krakowskiej rzeczywiście miało chłopskie korzenie. Rzeczpospolita stwarzała też pewne warunki do bogacenia się chłopów dzięki handlowi.

WARTO PAMIĘTAĆ, ŻE KAŻDA WŁOŚĆ BYŁA ZORGANIZOWANA INACZEJ, A PAŃSZCZYZNA NIE BYŁA OBCIĄŻENIEM UNIWERSALNYM

Już w późnym średniowieczu istniały chłopskie spółki zajmujące się handlem wołami czy odkupujące produkty rolne zebrane przez instytucje kościelne w ramach dziesięciny. Jednym z postanowień unii realnej zawartej w 1569 r. w Lublinie było zniesienie barier wewnętrznych w handlu na terenie całej Rzeczypospolitej, a poddani szlacheccy uzyskali prawo partycypowania w tym olbrzymim terytorialnie wolnym rynku. Z rozwoju eksportu polskiego zboża korzystała nie tylko szlachta; wzrost cen na rynkach światowych wpływał także korzystnie na wartość towarów sprzedawanych przez gospodarstwa chłopskie. Nie znaczy to, że w księgach sądowych grodzkich, miejskich czy wiejskich nie znajdziemy dowodów na ograniczenia wolności osobistych chłopów, stosowanie surowych kar fizycznych czy wreszcie rugowanie chłopskich gospodarzy z działek włączanych do pól folwarcznych. Przypadki złego i przedmiotowego traktowania chłopów były na porządku dziennym, pewnie częściej w dobrach dzierżawionych niż zarządzanych bezpośrednio przez właścicieli. Z drugiej strony istniały pewne formy samoobrony przed wyzyskiem. Nie chodzi tu tylko o bunty, niszczenie mienia folwarcznego, pozorowanie pracy, ale przede wszystkim wystąpienia na drodze prawnej, czy to pojedynczych chłopów, czy całych gromad. Można powiedzieć,

„W zagrodzie", obraz Aleksandra Kotsisa (1836–1877)

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

że akurat to było najbardziej typowe dla dóbr królewskich, gdyż bezpośrednim poddanym monarchy zagwarantowano najwięcej praw, a zajmujące się skargami chłopskimi sądy referendarskie cieszą się od dawna zainteresowaniem historyków oraz edytorów źródeł i najwięcej możemy o nich powiedzieć.

Warto się jednak zastanowić, czy przeciętny średni szlachcic, niesłusznie czasem zwany jednowioskowym (bo wśród szlachty również nierówności ekonomiczne były olbrzymie i pogłębiały się z czasem), posiadający kilku, kilkunastu poddanych, rzeczywiście miał interes w nieograniczonej ich eksploatacji? Czy zarządzając swoim majątkiem i mieszkając na wsi, mógł pozwolić sobie na odizolowanie od plebejuszy i traktowanie chłopskich sąsiadów z bezwzględnością i pogardą? Historie ludowe wypreparowały życie dawnych chłopów z ich społecznego kontekstu. Ich autorzy, skupiając się na źródłach narracyjnych, zignorowali masowe źródła sądowe, gospodarcze i demograficzne, w tym tworzone przez chłopów sądowe księgi wiejskie, jak również źródła szlacheckie, np. akty ostatniej woli, które świadczą nie o rasowej i klasowej segregacji na wsi, ale współżyciu szlachty i chłopów oraz silnych związkach emocjonalnych panów z ich plebejskimi poddanymi. Oczywiste jest, że życie na wsi staropolskiej nie było sielanką. Jak pisał Andrzej Wyczański w słynnym artykule pod znamiennym tytułem: „Czy chłopu było źle w Polsce w XVI wieku", w ówczesnej rzeczywistości występowały zjawiska, które oddziaływały na sytuację chłopów zarówno negatywnie, jak i pozytywnie. Obraz wyłaniający się ze źródeł i badań historyków nie jest czarno-biały, bez problemu jesteśmy w stanie dostarczyć egzemplifikacji zarówno niedoli chłopskiej, jak i jednostek, które z powodzeniem odnalazły się nawet w trudnych czasach.

Przypadłość polska

W olbrzymim i zróżnicowanym pod wieloma względami kraju, jakim była Rzeczpospolita Obojga Narodów, sytuacja ludności chłopskiej nie była więc jednolita. Kraj dawał szanse migrantom chłopskim z innych regionów Europy – w Polsce funkcjonowało ponad tysiąc miejscowości zwanych „Olędry", których mieszkańcy cieszyli się wolnością osobistą i autonomią. Rozpowszechnione w późnym średniowieczu w całym kraju prawo niemieckie zagwarantowało pozostałej ludności chłopskiej polskiego, ruskiego czy niemieckiego pochodzenia samorząd i podstawowe prawo własności i użytkowania ziemi. Prawo zwyczajowe i kanoniczne oraz sądy królewskie dawały gwarancję pewnych podstawowych wolności, a przynajmniej szansę dochodzenia swych praw w sądach. Bez wątpienia budowany od XV w. system folwarczno-pańszczyźniany oparty był na eksploatacji ludności wiejskiej, która przybierała różną skalę, ale nie różniła się mocno od praktykowanej przez szlachtę czeską, węgierską, pruską, duńską czy nawet szwedzką. We wszystkich tych krajach funkcjonowało poddaństwo z ograniczeniami chłopskiej mobilności, rozwinął się folwark, a szlachta zdominowała politycznie i ekonomicznie inne grupy społeczne. Z perspektywy nam współczesnej panujący w późnym średniowieczu i okresie wczesnonowożytnym system społeczno-gospodarczy trudno uznać za sprawiedliwy, a oceniając jego długofalowe skutki, także historyczne, nie może być stawiany jako wzór efektywności ekonomicznej i instytucjonalnej, gdyż walnie przyczynił się do upadku państwa, ograniczenia standardu życia ludności i kapitału ludzkiego. Badanie jego funkcjonowania, w tym sytuacji ludności chłopskiej, nie powinno jednak prowadzić do tworzenia (albo odtworzenia charakterystycznego dla marksizmu z lat stalinowskich) stereotypowego obrazu przeszłości, skażonego anachronizmem, w którym publicystyczna emocjonalność zastępuje rzetelne badanie źródeł i studiowanie historiografii. ■

epnasa.pl e761a75208

Przez blisko 400 lat sejmik szlachecki stanowił fundament demokratycznego ustroju Rzeczypospolitej. Na zdjęciu lokalny sejmik szlachecki w kościele, grafika z publikacji Michała Janochy „The Iconography of the Holy Mass in Polish Art (12th–18th Centuries" z 2005 r.

SZKOŁA DEMOKRACJI CZY PIENIACTWA?

SEJMIKI W I RZECZYPOSPOLITEJ

SZLACHECKIE SEJMIKI NADAL NIE MAJĄ DOBREJ PRASY. W ŚWIADOMOŚCI HISTORYCZNEJ POLAKÓW DOMINUJE ICH NEGATYWNY OBRAZ JAKO INSTYTUCJI NIEWYDOLNEJ, KTÓREJ WADLIWE FUNKCJONOWANIE DOPROWADZIŁO DO UPADKU I RZECZYPOSPOLITEJ

KAROL MAZUR

eprasa.pl e761a75206

Stereotyp ten wzmacniany jest wizerunkiem pijanych jegomości w kontuszach i z szablami w dłoniach, jakby żywcem wyjętych z XVIII-wiecznych rysunków Norblina, gotowych metodami pozaparlamentarnymi bronić swoich interesów kosztem dobra wspólnego. Taka wizja staropolskiego parlamentaryzmu świetnie się wpisywała w komunistyczną propagandę, a dzisiaj używana jest przez szermierzy nowej lewicy. Dla nich I Rzeczpospolita była państwem rządzonym przez klasę społecznych „ciemiężycieli" i kolonizatorów – szlachtę, która gnębiąc niższe warstwy społeczne i podporządkowując sobie sąsiednie nacje, doprowadziła do jego upadku. Wady życia sejmikowego uwypuklają też zwolennicy tzw. pedagogiki wstydu, którzy uważają, że Polacy powinni brać przykład z zachodnich rozwiązań ustrojowych, bo ich własne kończyły się zazwyczaj klęską. Czym zatem były sejmiki? Czytając wnikliwie ich uchwały i źródła ukazujące ich przebieg, można odejść od tych negatywnych wyobrażeń i pokazać zjazdy szlacheckie w innym świetle. Przez blisko 400 lat sejmik szlachecki stanowił fundament demokratycznego ustroju dawnej Rzeczypospolitej, dając możliwość obywatelskiej partycypacji w życiu politycznym polsko-litewskiego państwa dla ponad 10 proc. jego mieszkańców, co było ewenementem na tle całej ówczesnej Europy.

Na początku były wiece

Sejmiki prawdopodobnie wywodzą się z dawnych wieców, które na wezwanie miejscowego księcia gromadziły rycerstwo i dostojników w okresie rozbicia dzielnicowego w XIII w. Po zjednoczeniu zjazdy te funkcjonowały nadal głównie jako lokalne sądy. W XV stuleciu wraz ze wzrostem znaczenia szlachty zgromadzenia te, rozszerzając swe kompetencje, stały się sejmikami. Kluczowy okazał się tu przywilej nieszawsko-cerekwicki z 1454 r. Po jego ustanowieniu władca nie mógł zwoływać pospolitego ruszenia ani ustanawiać nowego prawa bez zgody szlacheckich sejmików. Wkrótce potem narodził się sejm, gdyż król ze względów logistycznych nie był w stanie w krótkim czasie zebrać opinii wszystkich lokalnych zjazdów i dlatego wolał zwołać do siebie ich przedstawicieli, którzy byli wybierani na sejmikach jako posłowie ziemscy. Instytucja sejmiku stopniowo rozpowszechniała się na kolejne ziemie przyłączone do Polski – jeszcze w XV w. na Rusi Czerwonej, w XVI stuleciu w Prusach Królewskich i na Mazowszu oraz tuż przed unią w Lublinie (1569) na obszarze Wielkiego Księstwa Litewskiego.

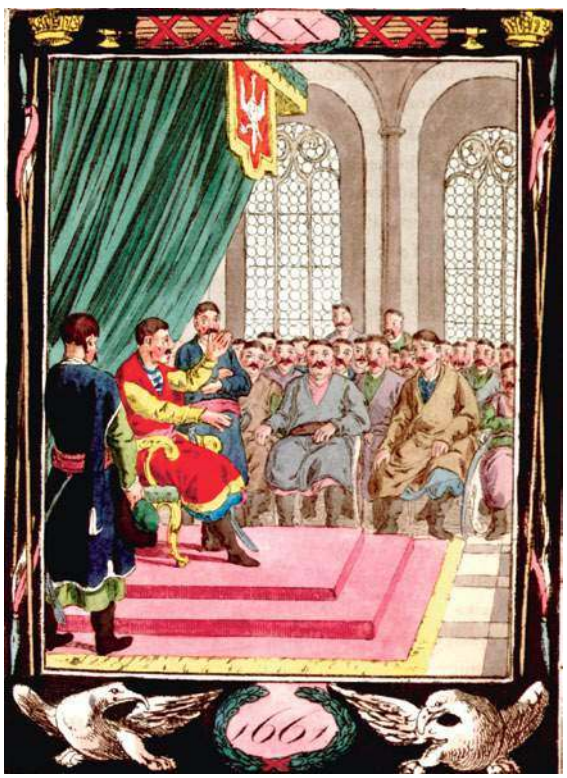

Sejmik szlachecki, ilustracja z „Dziejów Królestwa Polskiego" Jerzego Samuela Bandtkiego (1768–1835), zbiory Biblioteki Narodowej

Do końca XVI w. ukształtowały się podstawowe kompetencje szlacheckich zgromadzeń lokalnych. Przed sejmami zbierały się tzw. sejmiki poselskie, na których szlachta wybierała swoich przedstawicieli do izby poselskiej, wręczając im stosowną instrukcję z listą spraw do rozstrzygnięcia na posiedzeniu parlamentu. Po sejmach brać szlachecka gromadziła się z kolei na sejmikach relacyjnych, na których posłowie mieli zdawać sprawozdanie z przebiegu sejmowych obrad. Wyborcy mogli wtedy skontrolować, czy ich reprezentanci dbali o ich interesy na ogólnopaństwowym forum. Sejmiki szlacheckie wprzęgnięte były też w system sądowniczy Rzeczypospolitej. Na swoich zjazdach szlachta wybierała kandydatów do sprawowania urzędów w lokalnych sądach pierwszej instancji (sejmiki elekcyjne) oraz sędziów apelacyjnych, czyli deputatów do trybunału koronnego i litewskiego (sejmiki deputackie). W momentach zagrożenia zbierały się też tzw. sejmiki gospodarskie, kiedy trzeba było szybko uchwalić podatki na obronę, zebrać wojsko i podjąć inne środki zaradcze. Ten typ sejmiku rozpowszechnił się zwłaszcza w drugiej połowie XVII i w na początku XVIII w., kiedy w obliczu często zrywanych sejmów lokalne zjazdy szlacheckie wzięły na siebie ciężar ustawodawstwa.

Sejmikowe obrady i uchwały

Procedura i przebieg obrad sejmików nie zostały spisane w formie regulaminu. Wszystko odbywało się zgodnie z przyjętym zwyczajem i praktyką. Sejmiki poselskie i relacyjne zwoływał król, którego kancelaria rozsyłała po całym kraju listy i uniwersały z informacją o terminie odbycia się sejmu i sejmiku. Natomiast czas obrad sejmików elekcyjnych wyznaczał miejscowy wojewoda, kiedy tylko zwalniał się urząd, na który trzeba było powołać następcę. Jedynie sejmiki deputackie miały stały coroczny termin posiedzeń, który w Koronie przypadał na pierwszą połowę września, a na Litwie na początku lutego. Zazwyczaj szlacheckie zgromadzenia odbywały się w kościołach, sporadycznie w zamkach lub miejskich ratuszach. Sejmik rozpoczynał się uroczystą mszą św. Potem najwyższy rangą dygnitarz inaugurował obrady i przeprowadzał wybór marszałka, który kierował dalej przebiegiem sejmiku. Kolejnym krokiem było przedstawienie spraw do debaty i głosowania nad nimi. Na sejmiku przedsejmowym i relacyjnym czynił to legat królewski, który odczytywał powierzoną mu instrukcję, tzw. legację. Zawierała ona najważniejsze postulaty króla i stanowiła punkt wyjścia do dyskusji oraz spisania końcowej uchwały. Po tych czynnościach wstępnych obradujący przystępowali do wotowania. Najpierw głos zabierali dygnitarze i urzędnicy zgodnie z hierarchią godności i miejscem zasiadania w kole, a potem do dyskusji włączali się pozostali zebrani. Rolą marszałka było pilnowanie, aby obrady przebiegały w spokoju i prowadziły do konkluzji. Przewodniczący kierował też wszystkimi sejmikowymi elekcjami – posłów na sejm, deputatów do trybunału, urzędników sądowych. Po dyskusji i wyborach szlachta powoływała »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl e761a75206

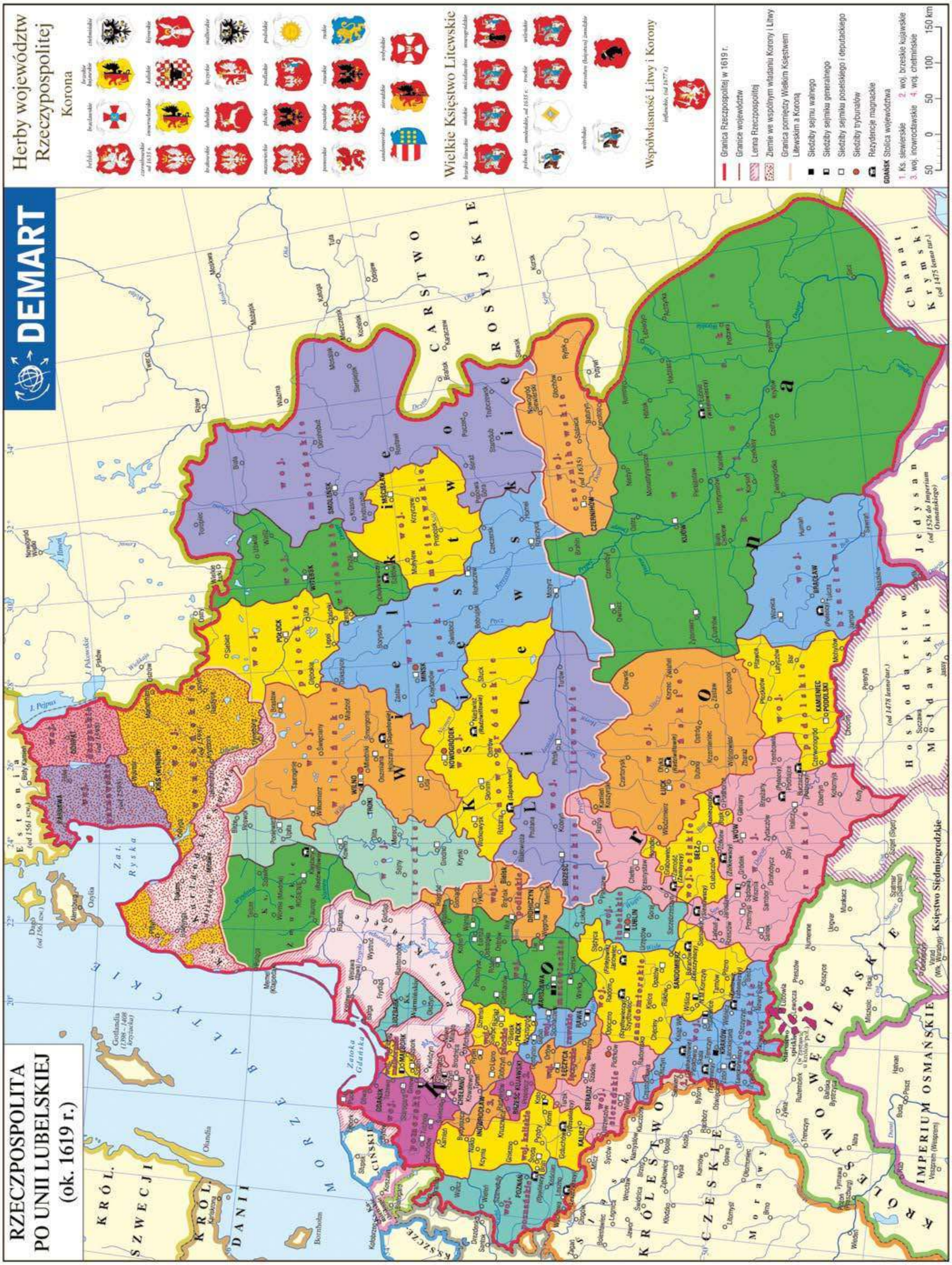

eprasa.pl e761a75206

komisję, której zadaniem było spisanie końcowej uchwały w postaci laudum lub instrukcji poselskiej. Po trzykrotnym jej odczytaniu i naniesieniu poprawek marszałek zamykał obrady, przekazując końcowe postanowienie do oblatowania, czyli do wpisania do miejscowych ksiąg sądowniczych (grodzkich). Sejmiki trwały przeważnie jeden dzień, chociaż czasami zdarzały się też kilkudniowe zjazdy.

Polityczne spory czy szlacheckie burdy?

Zjazdy szlacheckie długo odbywały się w większości zgodnie z ustalonym porządkiem i bez większych perturbacji podejmowały uchwały oraz wybierały swoich reprezentantów. Gdzieniegdzie ujawniały się nieprawidłowości w postaci kłótni i zrywania obrad. Patologie te ówcześnie nagłaśniano, podobnie jak dzisiaj media skrupulatnie odnotowują polityczne konflikty i wypaczenia. Nie można jednak powiedzieć, że było to zjawisko masowe, a nawet jeśli uświadomimy sobie, jak wiele sejmików odbywało się w skali całego państwa, możemy je określić jako marginalne. Największe spory wywoływały zazwyczaj wybory osób na stanowiska, podczas których personalne ambicje i animozje rozgrzewały emocje. Zgodnie z przyjętymi zasadami kultury politycznej szlachta musiała się wznieść ponad swoje ludzkie przywary, aby działać dla dobra wspólnego. Nie było to zgoła łatwe, co ukazał w swoim pamiętniku kanclerz litewski Albrycht Radziwiłł, przedstawiając przebieg wołyńskiego sejmiku relacyjnego z 1643 r. za panowania Władysława IV.

Szlachta zebrała się wtedy w Łucku po nieudanym zgromadzeniu przedsejmowym, na którym konflikt między podsędkiem łuckim Andrzejem Liniewskim a podkomorzym łuckim Hrehorym Czetwertyńskim o wakujący miejscowy urząd sędziego ziemskiego doprowadził do zerwania sejmiku. W efekcie ziemianie wołyńscy nie uchwalili instrukcji poselskiej i nie wysłali posłów na sejm. Teraz mieli zadecydować, czy w tej sytuacji mogą zaakceptować uchwalone na posiedzeniu parlamentu podatki. Na zjazd przybyło kilku senatorów z Radziwiłłem na czele, którzy mocą swego autorytetu mieli pojednać zwaśnione fakcje. Kiedy te przyjechały z pocztami zbrojnych, udało się dygnitarzom wymusić odesłanie wojska. W pierwszym dniu sejmiku strony się zgodziły, żeby wywołujący tyle kontrowersji wybór sędziego ziemskiego odłożyć na później i przystąpić do dyskusji o przyjętych na sejmie podatkach. Debata na ten temat przeciągnęła się na dzień następny. W nocy trwały zabiegi kuluarowe, podczas których rywalizujące ze sobą frakcje starały się przeciągnąć na swoją stronę marszałka sejmiku – stolnika wołyńskiego Samuela Isajkowskiego. Gdy następnego dnia obrady wznowiono, zwolennicy króla z Radziwiłłem na czele przekonywali, aby przyjąć uchwały podatkowe sejmu, a opozycja pod kierownictwem Czetwertyńskiego była temu przeciwna. Po kilku godzinach bezowocnej debaty kanclerz litewski zagrał va banque i orzekł, że jeśli oponenci nie ustąpią, regaliści znajdą sobie inne miejsce na kontynuowanie sejmiku. Szantaż ten tylko zaognił sytuację, gdyż jeden z opozycjonistów oznajmił, że prędzej da się zabić, niż zgodzi się na ograniczenie szlacheckiej wolności. Po tych słowach wszczął się rwetes i niektórzy chwycili za szable. Wszystko wskazywało, że sejmik znów rozejdzie się bez uchwał, ale na szczęście „z woli Bożej za wdaniem się wielu, by nie zwoływać do broni, wszystko się uspokoiło". Opozycja ustąpiła i pod pewnymi warunkami zgodziła się na zapłatę podatku na potrzeby króla.

CZYTAJĄC WNIKLIWIE UCHWAŁY I ŹRÓDŁA UKAZUJĄCE PRZEBIEG SEJMIKÓW, MOŻNA ODEJŚĆ OD NEGATYWNYCH WYOBRAŻEŃ I POKAZAĆ ZJAZDY SZLACHECKIE W INNYM ŚWIETLE

Obywatelskie wartości a gra interesów

Na podstawie przebiegu sejmiku wołyńskiego z 1643 r. możemy się przekonać, że samo przestrzeganie procedur nie wystarczyło, aby sejmik zakończył się sukcesem. Życie polityczne szlachty układało się często w wielowarstwową płaszczyznę konfliktów. Spory personalne i wyznaniowe mieszały się tutaj z różnymi wizjami spraw publicznych. Przezwyciężyć je mogły tylko powszechnie przyjęte i wyznawane wartości. Nadrzędne były tu zwłaszcza zgoda i swoboda wypowiedzi. To właśnie w ich imieniu szlachta dążyła do pomyślnego zakończenia sejmiku taką uchwałą, która odzwierciedlałaby stanowisko wszystkich. Jeśli ktoś nie akceptował z trudem wypracowanego kompromisu i zahamowywał obrady, nie potrafiąc przy tym wytłumaczyć, że podjęte decyzje mogą szkodzić wspólnocie, narażał się na potępienie opinii publicznej i niełaskę króla. Nic też dziwnego, że gdy już dochodziło do zerwania sejmiku, zawsze obwiniano o to stronę przeciwną.

Z wartościami obywatelskimi szlachty musieli się liczyć także magnaci. W literaturze przedmiotu dominuje teza, że ich wpływy na sejmikach z biegiem czasu rosły aż do uzyskania niemal pełnej dominacji w życiu politycznym Rzeczypospolitej. Sprawa nie wydaje się jednak tak oczywista. Sami magnaci i ich klienci nie byliby w stanie uzyskać spodziewanych efektów, jeśli nie działaliby zgodnie z obywatelskimi ideałami. Pojedynczych obradujących można było pozyskać wymiernymi korzyściami materialnymi, ale żeby przekonać wszystkich, trzeba było wykazać szlachetne intencje działania na rzecz państwa. Uzyskanie wpływów na sejmiku wymagało zatem wysublimowanej rozgrywki, na co stać było tylko nielicznych. Jeśli któryś z magnatów chciał nastraszyć obradujących zbrojną świtą, musiał się liczyć z gwałtowną rekcją w obronie szlacheckiej wolności, równości i braterstwa.

Dziedzictwo

Historyk doceniający dorobek I Rzeczypospolitej często spotyka się z zarzutem, że jeśli sejmiki działały w miarę sprawnie, to dlaczego skończyło się to upadkiem państwa? Dzieje przedrozbiorowej Polski to prawdziwa lekcja pokory, która uczy nas, że nawet najlepsze idee i założenia mogą kiedyś ulec wypaczeniu. System sejmikowy powoli i stopniowo ulegał rozkładowi. W XVIII w. naszym przodkom zabrakło już wypracowanej wcześniej kultury i wyobraźni politycznej. Warto jednak pamiętać, że przez te kilkaset lat sejmiki były prawdziwą szkołą demokracji i obywatelskości. Każdy, kto chciał robić karierę polityczną w polsko-litewskim państwie, musiał przez nią przejść, ucząc się podstawowych prawideł działania w gronie szlacheckiej wspólnoty.

eprasa.pl e761a75206

DLACZEGO TAK SIĘ DZIEJE, ŻE CHOĆ W PORÓWNANIU Z XIX w. NA NASZYCH PÓŁKACH JEST ZNACZNIE WIĘCEJ PRAC O CZASACH SASKICH, EPOKA TA JEST ZNACZNIE MNIEJ ZNANA NIŻ NP. STULECIA XVI, XVII CZY OKRES STANISŁAWOWSKI?

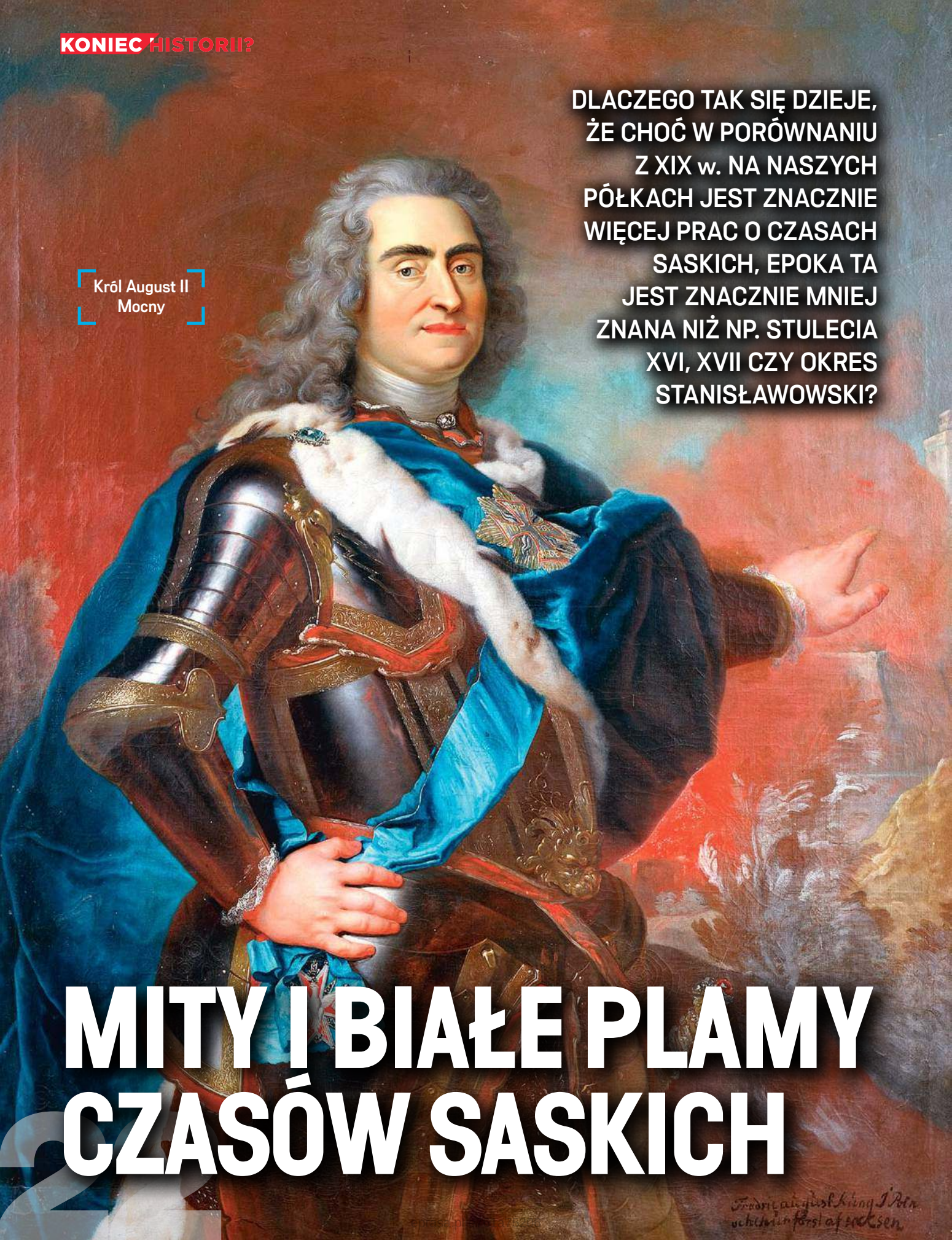

Król August II Mocny

MITY I BIAŁE PLAMY CZASÓW SASKICH

URSZULA KOSIŃSKA

Otóż przyczyna zasadnicza pozostaje wciąż ta, o której mówił pierwszy badacz saskich wydarzeń Kazimierz Jarochowski. Większość historyków, stwierdzał, woli „doświadczać raczej sił swoich na świetniejszej jakiejś epoce przeszłości naszej aniżeli na pełnym nieszczęść i zgrozy wieku Sasów". Niechęć do prowadzenia badań nad okresem kojarzonym wyłącznie z upadkiem wynikała też z przekonania, że to czas mało interesującego badawczo marazmu, a osiągnięte wyniki, jak zakładano – mało spektakularne i niekrzepiące serc, nie zrekompensują wysiłku związanego z penetracją archiwaliów rozproszonych, wielojęzycznych i często trudno dostępnych. Zwłaszcza dla studiów nad dziejami politycznymi doby pogłębiającej się niesuwerenności ta niedostępność była poważną blokadą. Najważniejsze materiały znajdują się w Moskwie, bardzo ważne w Dreźnie, Berlinie, Wiedniu i Paryżu. I choć od otwarcia rosyjskich archiwów w latach 90. XX w. penetrujemy je intensywnie, zarówno w świecie naukowym, jak i wśród szerszej publiczności epoka saska pozostaje może już nie „ziemią nieznaną", ale znaną nader słabo i wplątaną w liczne mity, sięgające niekiedy korzeniami czasów, kiedy zostały stworzone na potrzeby propagandy.

Mit I – elekcyjny

Do najpopularniejszych należy przekonanie o szczególnej „niemoralności" bezkrólewia po śmierci Jana III Sobieskiego. Opisowi elekcji z 1697 r. towarzyszy złośliwa plotka, jakoby o szansach wyborczych Augusta II Wettyna przesądziło przyziemne przekupstwo: uczta i pijatyka na polu elekcyjnym w nocy, między pierwszym i drugim dniem zbierania głosów, zaaranżowane przez posła saskiego Jakuba Henryka Flemminga. To z wdzięczności za ową hulankę pijana polska szlachta miała odrzucić kandydata francuskiego, księcia de Conti. I choć badania pokazują, że na polu elekcyjnym w dniu wyborów nie było ani obżarstwa, ani masowego pojenia szlachty wódką, mit o nich trwa. Naprawdę o wyborze Wettyna zadecydował splot wielu okoliczności, wśród nich zaś istotną rolę odegrało rozsądne myślenie polityczne elektorów. Liczono na korzyści międzynarodowe, takie jak utrzymanie sojuszu z cesarstwem, pokój z sąsiadami, zwycięskie dokończenie wojny z Turcją – wszak elektor saski cieszył się sławą dzielnego wojaka. Duże znaczenie miała też jego konwersja na katolicyzm, potwierdzona na polu elekcyjnym przez nuncjusza papieskiego. I wreszcie liczyły się błędy taktyczne stronników Francuza, zwłaszcza oburzające dla szlachty lekceważenie obyczajów elekcyjnych przez prymasa interrexa Michała Radziejowskiego – głównego rzecznika Contiego. Chodziło zwłaszcza o ignorowanie formalnych protestów przeciwników i zbieranie głosów tylko od województw sprzyjających kandydatowi francuskiemu. Zniesławiający i Wettyna, i samych Polaków mit zawdzięczamy temu, że historycy bezkrytyczne przyjęli spreparowaną współcześnie narrację francuską zawartą w poczytnej i tłumaczonej na wiele języków książce Michela Bizardière'a z 1699 r. Miała ona uzasadnić przed światem przyczyny spektakularnej porażki kandydata Francji – państwa będącego dla całej ówczesnej Europy wzorem dyplomatycznej skuteczności.

Mit II – August niemoralny

W niejedną „czarną legendę" związaną z epoką saską wpisane jest także nieuprawnione i anachroniczne moralizatorstwo. Łączy ono przekonanie o nieuchronnym upadku Rzeczypospolitej (daliśmy sobie na długo ten fałsz wmówić), wpisanym w decyzję o wyborze niemoralnego Niemca, Augusta II. Kanwą dla tych ocen były często dawne sensacje, np. praca Karla Ludwiga Pöllnitza „La Saxe galante" z 1734 r. [polskie tłum. „Ogień pałającej miłości w śmiertelnym zagrzebiony popiele"], typ modnej wówczas powieści „galanckiej" o awanturach miłosnych, z której dowiadujemy się, że Wettyn – „mocarz alkowy" – miał 365 nieślubnych dzieci; w rzeczywistości było ich dziesięcioro. Utożsamiono tu „złe prowadzenie się" króla z negatywnymi skutkami jego polityki; a przecież były to sprawy niepowiązane.

Mit III – Stanisław dobry i suwerenny

Skoro jednak panowanie Wettyna rzeczywiście okazało się dla Polski tragiczne, to jego przeciwnik i konkurent Stanisław Leszczyński, elekt wybrany w 1704 r. pod bagnetami szwedzkiego najeźdźcy Karola XII, musiał być tym „dobrym". I tu mamy kolejny mit: postrzeganie pierwszej elekcji króla Stanisława i jego działań osobistych przez pryzmat późniejszej, pogwałconej przez Rosję elekcji z 1733 r. oraz niewątpliwych zasług Leszczyńskiego jako księcia lotaryńskiego po 1735 r. Naprawdę jego wyniesienie w 1704 r. było pierwszą „niewolną elekcją", podpisany (narzucony mu) w 1705 r. traktat warszawski ze Szwedami wysoce szkodliwy, a późniejsze działania polityczne nie zawsze godne pochwały. Przy okazji warto przypomnieć, że to nie Leszczyński był autorem znakomitego projektu reform zawartego w „Głosie wolnym wolność ubezpieczającym". Ekskról stał się jedynie wydawcą przerobionego przez siebie tekstu autorstwa (najprawdopodobniej) litewskiego szlachcica Mateusza Białłozora. To odkrycie Emanuela Rostworowskiego, opublikowane w zbiorze pod znamiennym tytułem „Legendy i fakty XVIII wieku" (1963), wciąż z trudem przebija się do naszych, już nie sarmackich przecież głów.

Mit IV – neutralność Rzeczypospolitej

Najbardziej może krzywdzący nas mit czasów saskich to przekonanie, że Rzeczpospolita nie była stroną w wojnie północnej (1700–1721), lecz pozostawała państwem neutralnym, choć wojna ta przez wiele lat toczyła się na naszym terytorium i ponosiliśmy jej ciężary. Owszem, w latach 1700–1703 polscy panowie próbowali zakończyć konflikt wywołany przez Augusta II bez zgody Rzeczypospolitej, udając, że nie uczestniczy ona w wojnie, która jest prywatnym sporem elektora saskiego z królem Szwecji. W 1703 r. sejm podniósł jednak etat polskiego wojska do poziomu wojennego i uchwalił zwiększone podatki, a rok później (1704) Tomasz Działyński podpisał w Narwie traktat zaczepno-odporny z Rosją, od początku konfliktu będącą wrogiem Szwecji. Czyż trzeba więcej, by uznać, że kraj był w stanie wojny? Prawną fikcję o neutralności stworzono znacznie później (po 1721 r.), dla doraźnych celów politycznych, które tu pominiemy. Krętymi drogami ignorancji lub złej woli trafiła ona do podręczników i do dziś – z ujmą dla naszej opinii – bywa powtarzana. »

FOT. NATIONALMUSEUM STOCKHOLM

eprasa.pl e761a75206

Mit V – dążenie do absolutyzmu

Kolejny mit osnuty wokół Augusta II dotyczy jego rzekomych planów absolutystycznych. Powagę oskarżeń zwiększa wiązanie ich z zamysłami rozbiorowymi. Korzenie błędu tkwią w zaufaniu pracom „państwowych" historyków pruskich i rosyjskich z XIX w. (Förstera, Droysena, Sołowjowa). Polscy badacze przyjęli ich tezy z dobrodziejstwem inwentarza, zwłaszcza że komponowały się z utrwaloną negatywną oceną całego panowania pierwszego Wettyna. Prowadzone już po II wojnie światowej pogłębione studia wskazują, że źródeł przypisywanych Augustowi II pomysłów rozbiorowych szukać należy najczęściej nie w Dreźnie, ale w Berlinie. Absolutystyczne dążenia Wettyna miały miejsce jedynie w początkowym okresie jego panowania. W latach późniejszych król starał się najwyżej o względne wzmocnienie swej władzy i właśnie po to, by mu to uniemożliwić, propaganda rosyjska i pruska używały straszaka absolutyzmu. Zabobonny lęk społeczeństwa o „wolność" czynił te zabiegi skutecznymi i uniemożliwiał jakąkolwiek reformę ustroju.

Plama I – nieopracowane sejmy

Jeszcze więcej mamy dla epoki saskiej białych plam, czyli obszarów niezbadanych lub zaledwie tkniętych okiem i piórem historyka. Dotyczy to np. licznych sejmów czasów saskich. A stanowiły one najważniejszy element polskiego życia publicznego, rozstrzygały o polityce zagranicznej i wewnętrznej. Dla czasów Augusta II wciąż nieopracowana jest większość zgromadzeń parlamentarnych (wyjątki: 1699, 1703 i 1719/20). Tylko trzy inne mają wydaną według zasad naukowych dokumentację – diariusze obrad (1701 i 1701/2 oraz 1710), wciąż nieopracowane są także sejmy elekcyjne. Wskutek tego nadal posłuch mają prace historyków państw zaborczych, odmieniających liberum veto i „polską anarchię" przez wszystkie przypadki i milczących o tym, że to ich władcy czuwali nad przetrwaniem „wolnego nie pozwalam" w niesuwerennym (od 1709 r.) szlacheckim państwie.

Plama II – nieprzebadane archiwa, zaborcze stereotypy

Wskutek unii z Saksonią i coraz większego uzależnienia Rzeczypospolitej od Rosji (oraz współpracujących z nią Prus i Austrii) nie można badać polskich dziejów bez zgłębiania polityki naszych sąsiadów, a to niesie konieczność prowadzenia poszukiwań w archiwach zagranicznych oraz znajomości wielu języków, przynajmniej biernej; trzeba czytać i rozumieć łacinę, francuski, rosyjski i niemiecki, dla pewnych okresów szwedzki, a przy studiach nad dziejami Kościoła także włoski. To dla wielu potencjalnych badaczy epoki saskiej okazuje się barierą, która budzi przestrach i zniechęca do wysiłku. Efekty są wiadome – trwałość zniesławiających Rzeczpospolitą tez historiografii państw rozbiorczych. Szczególny, ale i typowy przykład luk stanowią dzieje studiów nad konfederacją tarnogrodzką i kończącym ją sejmem niemym 1717 r. Temat brali na warsztat tacy renomowani badacze jak Antoni Prochaska, Józef Feldmann, Józef Andrzej Gierowski, Wojciech Kriegseisen, ale monografii tej niezwykle ważnej konfederacji, inspirowanej zarówno przez konflikty wewnętrzne, jak i z zagranicy, wciąż nie ma. W tym wypadku przede wszystkim wskutek wieloletniej niedostępności archiwów rosyjskich, ale i niemieckich.

Plama III – sejmiki widziane oczami Norblina

Nadal mocno niekompletne są badania nad życiem sejmikowym Rzeczypospolitej, służące poznaniu spraw lokalnych, opinii społecznej, ludzi i ich wzajemnych powiązań. Na skutek odcięcia granicami terenów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz południowo-wschodnich ziem Korony, rozproszenia lub zniszczenia wielu archiwów państwowych, magnackich i szlacheckich, nie mamy kompletnych edycji akt sejmikowych ani pełnych spisów urzędników. Nawet sejmiki mazowieckie czy podlaskie czasów saskich to wciąż terra incognita. Zastępują je sugestywne rysunki Norblina z epoki późniejszej, przekazujące tylko część prawdy o życiu prowincji czasów saskich.

Plama IV – niedosyt biografii i monografii

Biografie Augusta II, Augusta III czy Stanisława Leszczyńskiego, jakimi dysponujemy, to prace raczej popularnonaukowe, wymagające solidnych rewizji naukowych. Nie powstały biografie hetmanów Adama Mikołaja Sieniawskiego, Ludwika Pocieja, Stanisława Denhoffa, Michała Serwacego Wiśniowieckiego (wszyscy współdziałali z Rosją, więc niedostępność jej archiwów do tych luk walnie się przyczyniła). Choć żaden z nich nie był wybitnym dowódcą, odgrywali kluczowe role jako politycy. Na błyskotliwe pióro biografisty czekają biskupi, np. Konstanty Felicjan Szaniawski, Teodor Potocki, nawet twórcy słynnej biblioteki (1747) bracia Załuscy. A cóż dopiero mówić o działaczach lokalnych! Brak też monografii początków ważnego ośrodka myśli reformatorskiej, jakim była Familia Czartoryskich – tu przeszkodą jest utrata znacznej części archiwum zarówno obu braci Czartoryskich (Michała Fryderyka i Augusta Aleksandra), jak i Stanisława Poniatowskiego, ojca króla.

Przysłowia nie wystarczą

Pozornie najlepiej opracowana jest publicystyka czasów saskich. Jednak drukiem (często dość dawno) wydane zostały tylko utwory „pryncypalne" – ważne traktaty reformatorskie. Większość tekstów ulotnych tej epoki pozostaje w rękopisach, po części nawet niezinwentaryzowana. A tylko dla czasów bezkrólewia 1696–1697 to ok. 800 tekstów, dla lat 1733–1735 – pół tysiąca! Nawet jeśli z góry przyjmiemy, że te nieogłoszone rękopisy to utwory bezprogramowe (bo wybitniejsze opublikowano), to jednak stanowią one świadectwo myśli, sposobu argumentacji, niekiedy dość prostackiej, acz pełnej humoru, czasami wyrafinowanej językowo i erudycyjnie.

Także sprawy gospodarcze i społeczne czasów saskich to w znacznym stopniu historiograficzne Dzikie Pola, gdzieniegdzie tylko „ucywilizowane" przyczynkami i pojedynczymi monografiami. Nie zostały oszacowane straty gospodarcze i ludnościowe miast i wsi polskich z czasów wielkiej wojny północnej (1700–1721). Nie znamy skali towarzyszących im przemian społecznych ani wysiłku powojennej odbudowy. Gdy się jeździ po Polsce, do dziś widać, że lata 30.– 50. XVIII w. to czas licznych inwestycji świeckich i sakralnych – świadectwo rosnącej zamożności społeczeństwa, ale także odbudowy po okresie wojny, w którym wojska saskie, szwedzkie, polskie i rosyjskie przemieszczały się „od Sasa do Lasa", żyjąc kosztem ludności i tratując kraj. Ta odbudowa przypadła na okres panowania Augusta III, gdy mawiano: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa". I także dla jego epoki nasza wiedza kończy się najczęściej na tym przysłowiu.

eprasa.pl e761a75206

GENIUSZ I CZAS

CESARZ FRANCUZÓW NIE JEST JUŻ OBIEKTEM KULTU ANI NIENAWIŚCI, ALE FASCYNUJĄCĄ POSTACIĄ, KTÓRA WYWARŁA OGROMNY WPŁYW NA PRZEMIANY DOKONUJĄCE SIĘ W EUROPIE I NA ŚWIECIE W XIX w.

„Cesarz Napoleon na polu bitwy", obraz malarza batalistycznego Horacego Verneta (1789–1863)

FOT. SHUTTERSTOCK

JAROSŁAW CZUBATY

Dwusetna rocznica śmierci Napoleona nie przeszła niezauważona, czego dowodem jest uwaga, z jaką media odniosły się do okolicznościowego wystąpienia prezydenta Francji, podczas którego Emmanuel Macron stwierdził: „Napoleon jest częścią nas". Słowa te skłaniają do kilku refleksji na temat postrzegania epoki napoleońskiej w perspektywie historycznej. W tym kontekście nasuwa się skojarzenie z opinią Victora Hugo, który w trzecim tomie powieści „Nędznicy" z epickim rozmachem przedstawił obraz bitwy pod Waterloo. Pisarz postrzegał ją nie jako kolejne w tej epoce krwawe starcie na polu walki, lecz walkę Geniuszu z Losem: „Był to dzień przeznaczenia. [...] W dniu tym zmieniła się przyszłość rodzaju ludzkiego. Waterloo – to zawiasy dziewiętnastego stulecia. By wielki wiek nastał, musiał zniknąć wielki człowiek. Podjął się tego dokonać ktoś, komu opierać się rzecz daremna. [...] Bóg przemknął przez pobojowisko". Podążając tropem Hugo, dwa skojarzenia, które nasuwają się w kontekście dwusetnej rocznicy śmierci Napoleona, to: Geniusz i Czas. Wielki człowiek przegrał walkę z Przeznaczeniem. Jak natomiast poradził sobie z Czasem?

Jak dziś patrzymy

Gdy mowa o zmianach obrazu epoki napoleońskiej dokonujących się wraz »

eprasa.pl e761a75206

Napoleon salutuje 12 Pułkowi Kirasjerów na polu bitwy pod Frydlandem (Prusy, dziś obwód kaliningradzki Federacji Rosyjskiej), w której 14 czerwca 1807 r. wojska napoleońskie pobiły armię rosyjską; malarska wizja Ernesta Meissoniera, lata 1861–1875

>> z jego upływem, nasuwają się przede wszystkim dwa pytania: jak funkcjonował on w nauce, kulturze i zbiorowej pamięci? Czy w ogóle jest w niej nadal obecny w zauważalny sposób?

Choć są to z pewnością zagadnienia, którym można by poświęcić obszerną monografię, przedstawię jedynie kilka subiektywnych uwag. Pierwsza z nich jest dość oczywista, ale odnosi się do interesującego zjawiska. Nie ulega wątpliwości, że sposób postrzegania epoki napoleońskiej ewoluował na przestrzeni ostatnich 200 lat wraz ze zmianami w sferze kultury, ale także w obszarach polityki czy zbiorowej świadomości. Zmieniali się, co oczywiste, sami historycy badający epokę czy popularyzujący wiedzę na jej temat w tekstach przeznaczonych dla szerszego kręgu odbiorców. Każde pokolenie badaczy stawia źródłom nieco inne pytania, sięga często do zagadnień, które wcześniej przykuwały mniejszą uwagę ich poprzedników lub nie przyciągały jej w ogóle. Gdybym miał opisać w prosty sposób generalną tendencję zmian w postrzeganiu epoki przez historyków, wskazałbym na stopniowe przechodzenie od wyraźnej, niemal powszechnej, także wśród potomków dawnych przeciwników Napoleona, fascynacji jej najważniejszymi aspektami – oszałamiającym rozmachem dokonań i zwycięstw cesarza Francuzów, skalą i dynamiką politycznego konfliktu ogarniającego także obszary pozaeuropejskie, wreszcie – heroizmem na polach bitew (właściwym przecież nie tylko żołnierzom Wielkiej Armii) do prób zobiektywizowanej, przynajmniej w założeniu, analizy mechanizmów rządzących polityką, wojną czy życiem gospodarczym i społecznym w latach 1796–1815.

Zgodnie z tą tendencją ewoluowały zainteresowania historyków i publicystów, którzy początkowo w XIX i XX w. gromadzili źródła, na których podstawie powstawały prace o charakterze opisowym, nieco później podporządkowane już fundamentalnemu niegdyś zaleceniu: badać, „jak było naprawdę". W ramach tego typu działań powstawały zatem fundamentalne zbiory źródeł (np. 32-tomowa „Correspondance do Napoleon 1er", której edycję ukończono w 1869 r.). Ukazywały się obszerne, często niewolne od tendencji hagiograficznych, biografie Napoleona i jego marszałków czy ich głównych przeciwników, próby całościowej opowieści o epoce (choćby 20-tomowa „Historia konsulatu i cesarstwa" Adolfa Thiersa), wreszcie – studia nad kampaniami wojennymi i bitwami. Wiele z nich należało do obowiązkowych lektur podczas kształcenia w akademiach wojskowych do pierwszej połowy XX w.

WIELKIE PYTANIA NIE MUSZĄ DOTYCZYĆ WYŁĄCZNIE WIELKIEJ POLITYKI

Pryzmat filmowy

Długo utrzymujący się wysoki poziom zainteresowania, wręcz fascynacji, epoką napoleońską wśród historyków, ale też szerszego kręgu odbiorców kultury, wynikał nie tylko z atrakcyjności poszczególnych jej wątków i epizodów, ale także ich użyteczności dla rządzących i znaczenia, jakie miały dla rządzonych. Wspomnijmy w tym kontekście choćby przydatność wzorców władzy konsularnej i cesarskiej dla przywódców w różnych państwach w XIX i XX w. (ostatnim, upiornym i karykaturalnym, naśladowcą Napoleona był Bokassa, władca Cesarstwa Środkowoafrykańskiego w latach 1976–1979). Epoka dostarczała również przykładów budowania zbiorowej tożsamości rządzonych czy sposobów mobilizacji narodowej energii, by wspomnieć choćby nawiązania do chwalebnych tradycji francuskiego oręża w czasach I wojny światowej i po jej zakończeniu. Innymi przykładami podobnego odwoływania się do epoki napoleońskiej służyć mogą dwa filmy, których zadaniem miało być mobilizowanie narodowego ducha walki w czasie II wojny światowej. Pierwszy to „Kutuzow" Władimira Pietrowa nakręcony przez Mosfilm w 1943 r. Drugi, rzadko przywoływany przez filmoznawców, to niemiecki film „Kolberg" Veita Harlana z 1945 r. Najdroższa produkcja filmowa III Rzeszy opowiadała o tym, jak pamięć o bohaterskim oporze pruskiego garnizonu i mieszkańców Kołobrzegu przed oblegającymi go wojskami napoleońskimi w 1807 r. zainspirowała otoczenie Fryderyka Wilhelma III do wystąpienia przeciw Napoleonowi w 1813 r.

Skoro o filmach mowa, wydaje się, że stopień zainteresowania epoką można zmierzyć także liczbą dotyczących jej filmowych produkcji. Na podstawie listy „The Best Napoleonic War Movies Ever Made" sporządzonej przez pewną amerykańską firmę specjalizującą się w rankingach, stwierdziłem, że na 35 sklasyfikowanych jako „najlepsze", filmów: cztery powstały od 1927 do 1945 r.; 18 od końca II wojny światowej do 1975 (przy czym większość

eprasa.pl e761a75206

FOT. EVERETT COLLECTION/SHUTTERSTOCK

w latach 50. i 60., kiedy nakręcono kilka wybitnych i wysokobudżetowych obrazów, choćby „Waterloo" oraz „Wojnę i pokój" Siergieja Bondarczuka); osiem od 1976 do końca XX w.; siedem w XXI w.

Rzecz jasna, to jedynie sondaż, ale zapewne dobrze oddaje generalną tendencję spadkową, której nie odwróciły przypadające na początek XXI w. obchody 200-lecia kolejnych wydarzeń epoki napoleońskiej. Warto zauważyć, że była to sytuacja zupełnie odmienna od żywej reakcji świata nauki i kultury na setne rocznice wydarzeń z epoki napoleońskiej obchodzone na początku XX w.

Między 100 a 200 lat

Czy jest to efekt naturalnych mechanizmów zbiorowej pamięci? Czyżby setna rocznica stanowiła magiczny pretekst wywołujący intensyfikację pamiętania, a 200 lat oznaczało przekroczenie progu, za którym wydarzenia historyczne przechodzą do kategorii zamierzchłej przeszłości? Wydaje się, że mamy do czynienia z naturalnym oddziaływaniem powiększającego się dystansu czasowego dzielącego współczesność od określonych wydarzeń i wpływem, jaki na zbiorową pamięć wywierają zachodzące w tym czasie przemiany społeczeństwa i kultury. W ich wyniku pewne aspekty epoki – niegdyś uznawane za ważne, wartościowe i przydatne dla zbiorowości – mogą być postrzegane jako niezbyt istotne, anachroniczne lub wręcz kłopotliwe. Zwróćmy uwagę, że nierozerwalnie związane z epoką były choćby: siła rodzących się w napoleońskiej Europie ruchów narodowych oraz początki nowoczesnego patriotyzmu czy nacjonalizmu – wszystko to mogło być uznawane za niekontrowersyjne jeszcze w latach 50. i 60. XX w. Dziś natomiast typowe dla cesarstwa hasła chwały i wielkości Francji wielu mogą nasuwać skojarzenia raczej z imperialno-kolonialną retoryką.

Wydaje się jednak, że w szerokich kręgach odbiorców w znacznym stopniu przetrwała fascynacja warstwą przygodową epoki – co ciekawe, bardziej chyba w świecie anglojęzycznym, czego dowodem popularność powieści i filmów o Richardzie Sharpie, dzielnym żołnierzu brytyjskich strzelców i równie odważnym kapitanie Royal Navy Jacku Aubreyu. Czy zatem epoka nie ma więcej do zaoferowania niż wizje emocjonujących starć na morzu i lądzie?

Niedosyt badawczy

Sądzę, że ma, przynajmniej w zakresie historiografii. Odnoszę wrażenie, że w znacznym stopniu wynika to z coraz wyraźniej dostrzeganej w badaniach historycznych nad epoką tendencji do przechodzenia od kumulowania wiedzy do jej syntetyzowania i konceptualizacji. Oczywiście w tej pierwszej, kumulatywnej sferze także mamy do czynienia ze znaczącymi osiągnięciami, choćby kolejnym, uzupełnionym wydaniem korespondencji Napoleona. Innym przykładem kumulowania, ale też porządkowania wiedzy, który warto przytoczyć, jest „Dictionnaire Napoleon" Jeana Tularda (za rodzaj jego polskiego odpowiednika w zakresie militariów można uznać „Encyklopedię wojen napoleońskich" Roberta Bieleckiego). Zwrot ku konceptualizacji przyniósł jednak znacznie bardziej znaczący skutek w postaci ukazujących się w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci licznych, interesujących studiów. Zasygnalizuję jedynie kilka pól badawczych. Jedno z nich to charakter i mechanizmy systemu napoleońskiego we Francji (np. czy efektem jego działania było społeczeństwo otwarte na kariery, czy jedynie przejściowo otwarte, w dłuższej perspektywie petryfikujące swe struktury?). Inna szeroka sfera zainteresowań historyków to studia nad wielkim cesarstwem oraz jego relacjami z państwami pozostającymi poza orbitą wpływów Napoleona. Jednym z ważkich pytań, z upodobaniem stawianym zwłaszcza przez historiografię anglosaską, jest kwestia wpływu Grand Empire na modernizację struktur państwowych i społecznych – czy wielkie cesarstwo stymulowało nowoczesność, czy paradoksalnie – zmuszone do pewnych kompromisów z lokalnymi elitami i współpracy z nimi w celu realizacji głównych celów politycznych oraz wojennych – w rzeczywistości opóźniało ją, petryfikując zastane stosunki?

Ciekawym, według mnie słabo wykorzystanym, obszarem badawczym są studia nad relacjami i wzajemnymi związkami w ramach wielkiego cesarstwa, odtwarzanie istniejących w nim sieci zależności i zobowiązań. Czy – jak chcą niektórzy – istotą tego układu politycznego był jednostronny wyzysk ze strony politycznego centrum, czy jednak oferowało ono coś w zamian, a może wręcz samo ponosiło koszty polityki imperialnej? Należy zauważyć, że studia nad wielkim cesarstwem nie są wolne od pewnych uproszczeń, co szczególnie zwraca uwagę w przypadku refleksji nad obszarami odległymi od centrum – choćby Prowincjami Illiryjskimi czy Księstwem Warszawskim. Wśród części historyków na świecie nadal pokutuje przekonanie, że ceną, którą Napoleon zapłacił za lojalność Polaków oraz ich wkład w wysiłek wojenny cesarstwa, była wymuszona »

eprasa.pl e761a75206

» przez szlachtę rezygnacja z napoleońskich reform – zupełnie jakby informacje o wprowadzeniu w Księstwie Kodeksu Napoleona, zasady równości wobec prawa i wolności osobistej chłopów nie przebiły się do świadomości niektórych badaczy (albo z lenistwa powielali oni błędy zawarte w opracowaniach sprzed kilkudziesięciu lat). Miejmy nadzieję, że ten stan rzeczy będzie się zmieniać z czasem. Same próby całościowych badań nad imperium Napoleona i toczonymi przez nie wojnami uważam jednak za wartościowe i inspirujące.

Wojna inaczej

Interesujące efekty przynosi, według mnie, zastosowanie nowych perspektyw badawczych w zakresie badań nad wojną, czyli na obszarze długo uznawanym za najbardziej typową dziedzinę historiografii epoki napoleońskiej. W ostatnich dziesięcioleciach, obok tradycyjnych zagadnień, np. przebiegu poszczególnych kampanii i bitew, pojawiły się próby systematycznych, całościowych badań nad wojną jako zjawiskiem. Rezygnacja z czysto wojskowej perspektywy badań (skupionej przede wszystkim na realizacji operacyjnych zadań, strategii, taktyce i realiach pola bitwy) wzbogaciła refleksję nad wojną jako fenomenem epoki, w której czas pokoju stanowił wyjątek od reguły. Wojny z lat 1796–1815 z pewnością odróżniały się od innych intensywnością prowadzonych działań, skalą strat ludzkich (w przypadku Francji liczbę zgonów związanych z wojną szacuje się na ok. 1 mln; w całej Europie może 5 mln), ogromną mobilizacją zasobów społecznych w celu zniszczenia przeciwnika, wreszcie – nowym podejściem elit politycznych wielu państw, które przestały postrzegać wojnę jako ograniczony konflikt, a zaczęły traktować ją jako walkę o wszystko. Można się spierać, czy istotnie wojny w tej epoce stanowiły przykład pierwszej w historii wojny totalnej, ale włączenie w krąg rozważań historyków kwestii technik mobilizowania społecznego poparcia dla wojny, związanych z nią problemów gospodarczych i finansowych, politycznych i moralnych refleksji na jej temat, generalnie – uznania, że wojna stanowi jedno ze zwierciadeł, w których przegląda się społeczeństwo danej epoki – uważam za ciekawe i pożyteczne.

Warto zauważyć, że wspomniany problem mieści się w kręgu zainteresowań popularnego w ostatnich dziesięcioleciach nurtu badań prowadzonych w ramach tzw. New Military History, które, skupiając się na pozamilitarnych aspektach wojny, np. stronie logistycznej organizacji działań, sposobach ich finansowania czy społecznych i kulturowych skutkach wojen, poszerzyły, według mnie, perspektywy badań nad epoką napoleońską. Samo przemieszczanie się w latach 1796–1815 milionów ludzi w mundurach na przestrzeniach od Lizbony do Moskwy i od Rygi do Kairu można traktować jako rodzaj zorganizowanej, zwykle przymusowej, turystyki, która nie mogła pozostać bez skutków także w sferze formowania się wyobrażeń na temat poszczególnych części kontynentu, stereotypów etnicznych i kulturowych, by wspomnieć tylko znane opinie Polaków na temat Hiszpanii i Hiszpanów, tragiczne, ale również egzotyczne doświadczenia polskich legionistów na San Domingo czy wizerunek „piekielnej" Polski we wspomnieniach Francuzów. W kręgu zagadnień podejmowanych przez nowszą historiografię mieszczą się także przemiany w zakresie świadomości narodowej i zakresu politycznej partycypacji poszczególnych zbiorowości, by wspomnieć choćby wejście kwestii narodowej do krajowej i europejskiej polityki oraz długofalowe tego konsekwencje w XIX i XX w.

REZYGNACJA Z CZYSTO WOJSKOWEJ PERSPEKTYWY BADAŃ WZBOGACIŁA REFLEKSJĘ NAD WOJNĄ JAKO FENOMENEM EPOKI

Nowe źródła i reinterpretacje

Wpływ na dalsze badania nad epoką napoleońską – a co za tym idzie jej obraz – może mieć kilka czynników. Jeden z nich to możliwość poszerzenia bazy źródłowej. Na gruncie polskim mam wrażenie, że spuścizny archiwalne organów administracji na szczeblu lokalnym, archiwa podworskie czy, wykorzystywane od pewnego czasu przez historyków, archiwa za wschodnią granicą nadal kryją w sobie sporo ciekawych źródeł. Nasuwa się przy tym pytanie, czy w przypadku polskiej historiografii epoki napoleońskiej po stu kilkudziesięciu latach istnieją nadal fundamentalne problemy badawcze, które należałoby rozstrzygnąć? Sądzę, że tak. Należy do nich z pewnością kwestia miejsca napoleońskiego protektoratu nad Wisłą w systemie politycznym, wojskowym i finansowym wielkiego cesarstwa czy jedynie wstępnie rozpoznana kwestia wzajemnych relacji Saksonii i Księstwa Warszawskiego.

Wielkie pytania nie muszą dotyczyć wyłącznie wielkiej polityki. Można i należy zadawać je także, opierając się na źródłach wytworzonych z dala od niej. Za szczególnie interesujące uważam wszelkie próby prowadzenia badań na poziomie lokalnym. Powstający w ciągu dziesięcioleci obraz epoki jest nieco skrzywiony, opiera się bowiem w dużej mierze na źródłach wytwarzanych w kręgu politycznego centrum. Z pewnością warto zatem badać to, co typowe, a nie to, co wyjątkowe – funkcjonowanie państwa na poziomie departamentu i powiatu, rolę odgrywaną przez lokalne elity, zmiany ich składu itp. Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałbym pracę poświęconą analizie sytuacji, która powstaje w wyniku zetknięcia się tego, co nowe w zakresie praw i instytucji z zakorzenionymi w długim trwaniu mentalnością, nawykami i praktykami społecznymi (np. działania właścicieli ziemskich, którym w nowym systemie przypadła rola wójtów gmin).

Inwencja historyków powinna podsuwać im także ujęcia, które nie cieszyły się dotąd szczególnym zainteresowaniem, np. ikonosfera i audiosfera epoki napoleońskiej (jak wyglądała od tej strony przestrzeń pałacu Pod Blachą? Jakiej muzyki słuchano, co wisiało na ścianach salonów?). Wydaje się, że istnieje również miejsce na rozsądne studia z zakresu animal history – to kwestia ważna, gdy mowa o kraju kawalerzystów i rolników. Warto zauważyć, że dopiero dwa lata temu powstała (nadal czekająca na publikację) praca poświęcona fundamentalnej kwestii jakości koni kawaleryjskich w wojsku Księstwa Warszawskiego.

Sądzę, że tych kilka uwag na temat ewolucji perspektywy badań nad epoką napoleońską oddaje istotę zmieniającej się w ciągu 200 lat recepcji fenomenu Napoleona i jego epoki. Cesarz Francuzów nie budzi już kolosalnych emocji, ale nadal może dostarczać pretekstu do interesujących badań. Wydaje się, że to zdrowa tendencja.

eprasa.pl e761a75206

Jednym z tych nierozpoznanych właściwie pól badawczych jest XX-wieczna religijność Polaków. Na zdjęciu wierni przy klasztorze jasnogórskim w Częstochowie, 26 sierpnia 1966 r.

FOT. NAC

BIAŁE PLAMY MAJĄ SIĘ DOBRZE...

ZJAWISKO TZW. BIAŁYCH PLAM KOJARZYŁO SIĘ PRZEZ LATA ZE ZMAGANIEM SIĘ Z ZAKŁAMANIEM ODZIEDZICZONYM PO DYKTATURACH TOTALITARNYCH, ZWŁASZCZA PO KOMUNIZMIE

PAWEŁ SKIBIŃSKI

System ten walczył z przeciwnikiem ideologicznym zarówno poprzez deformację jego przeszłości, jak i przez przemilczanie jego istnienia. Proces zapełniania białych plam przez historyków z pewnością się nie zakończył, bo liczne karty historii najnowszej nie zostały nawet odkryte – i nie ma to wiele wspólnego ze schedą po komunistach.

Okazuje się bowiem, że nie tylko komuniści skazywali na zapomnienie wielkie obszary naszego dziedzictwa. Także środowiskowe przyzwyczajenia historyków i ich zaniechania nie pozwalają nam poznać wielu aspektów doświadczenia minionego niedawno stulecia.

Jednym z tych nierozpoznanych właściwie pól badawczych jest XX-wieczna religijność Polaków. Choć przynajmniej od 2004 r. powstają liczne prace dotyczące historii Kościoła, to koncentrują się one przede wszystkim na dziejach stosunków między państwem i Kościołem. Dodajmy, głównie chodzi o państwo komunistyczne, o stosunkach między niepodległą międzywojenną Polską i Kościołem katolickim wiemy bowiem bardzo mało – nie istnieje np. dotychczas jakakolwiek monografia dotycząca konkordatu 1925 r. i jego funkcjonowania, mimo że konkordaty stanowią klasyczną tematykę badań dla znawców dziejów stosunków Kościoła i państwa.

Bardzo wiele innych dziedzin życia Kościoła pozostaje w ogóle niezauważonych. To, że nie mamy nawet monograficznych ujęć dziejów wielu diecezji, obrazuje skalę poznawczych zaniedbań w tej dziedzinie.

Zmiany pobożności Polaków są dla badaczy całkowicie niedostępne, a w związku z tym brak wniosków z tych badań nie pozwala uzupełnić naszej wiedzy. Możemy się jedynie domyślać, że doświadczenia religijne – zarówno indywidualne, jak i zbiorowe – odegrały bardzo ważną rolę w podstawowych dziedzinach życia. Nie zbliżamy się np. do rozpoznania fenomenu funkcjonowania organizacji religijnych okresu międzywojennego, na czele z sodalicją mariańską, a przecież do tej organizacji należało wielu najwybitniejszych naszych rodaków z Karolem Wojtyłą i Stefanem Wyszyńskim na czele. Nie rozumiemy fenomenu Jasnogórskich Ślubów Młodzieży Akademickiej, zwłaszcza że nie mamy rzetelnej biografii ani pomysłodawcy tego aktu ks. Edwarda Szwejnica, ani jego realizatora ks. Edwarda Detkensa. Temu ostatniemu nie pomogło nawet to, że został jednym ze 108 błogosławionych męczenników II wojny światowej.

Jeśli już mowa o wojnie, to bardzo niewiele wiemy o fenomenie religijności wojennej – poza być może fragmentaryczną wiedzą na temat rozwoju kultu miłosierdzia Bożego. Powstające obecnie prace na temat religijności powstania warszawskiego okazują się próbą orki na ugorze nawet na tym spektakularnym polu, jakim są dzieje największego zrywu wolnościowego Polaków w okresie II wojny światowej.

Jeśli chodzi o rzeczywistość powojenną, to sytuacja jest jeszcze bardziej dramatyczna. Nie mamy prób rozpoznania charakteru i przemian pobożności katolickiej po 1945 r., choć wiemy, że działo się w tej materii niejedno – począwszy od wysiłków duszpasterskich prymasa Augusta Hlonda tuż po wojnie, poprzez wielkie programy duszpasterskie prymasa Wyszyńskiego – na czele z Milenium Chrztu Polski – aż po oddziaływanie religijne pielgrzymek papieskich i gwałtowny rozwój kultu męczennika komunizmu – bł. Jerzego Popiełuszki.

Sytuacja jest o tyle dramatyczna, że w tej materii mierzymy się z dziedzictwem wielu mistyfikacji. Jednych – motywowanych często politycznie, jak krytyka popierania przez bł. Stefana Wyszyńskiego tzw. pobożności ludowej przez „postępowych" katolików i zaangażowanych komunistów. Innych – motywowanych modami intelektualnymi, jak powierzchowne ustalenia socjologów religii z lat 60. i 70. XX w. na czele z ks. Władysławem Piwowarskim. Jego badania – przykro mi to powiedzieć – więcej nieraz mówią o jego fascynacji marksistowską socjologią zachodnią niż o religijności Polaków, która powinna być właściwym przedmiotem refleksji. Nie został opisany fenomen rozwoju formacji świeckich w latach 80. i 90. XX w., nie ma odnotowanych zmian w popularności nabożeństw i zachowań religijnych.

Intuicyjnie wiemy, że wrażliwość i doświadczenie religijne naszych pradziadów i nasze są różne, ale nie wiemy, na czym ta różnica polega ani czy to jest istotne, czy może drugorzędne.

Jednocześnie badania nad dziejami religijności gwałtownie rozwijają się w USA i we Francji (kilka lat temu opublikowano statystyki, z których wynikało, że co piąta praca historyczna opowiada o tej tematyce). Czyżby ta akurat moda zachodnia nie robiła na naszych badaczach wrażenia?

Reklama | 85/0921/F

eprasa.pl e761a75206

WOJCIECH
MECWALDOWSKI

GRUSZKA
ROTH
POPŁAWSKA
BOSAK
GONERA

ŚMIERĆ ZYGIELBOJMA

W KINACH OD 5 LISTOPADA

Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych przedstawia film **„Śmierć Zygielbojma"**, wyprodukowany przy wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej, współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej.

Występują: Jack **Roth**, Wojciech **Mecwaldowski**, Karolina **Gruszka**, Will **Brown**, Christopher **Fairbank**, Dobromir **Dymecki**, Marcin **Bosak**, Paweł **Ciołkosz**, Robert **Gonera**, Aleksandra **Popławska**, Marta **Ojrzyńska**, Grant **Masters**, Beata **Fudalej**, Sławomir **Holland**.

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu · WFDiF · POLSKA FUNDACJA NARODOWA · POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ · MONOLITH

Honorowy patronat wiceprezesa Rady Ministrów, ministra kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotra Glińskiego

PLEJADA POLSKICH GWIAZD!
MIĘDZYNARODOWA OBSADA!
Jeden z najważniejszych filmów ostatnich lat!

46. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH W GDYNI
KONKURS GŁÓWNY

Film współfinansowany przez POLSKĄ FUNDACJĘ NARODOWĄ

eprasa.pl e761a75206

Listopad

MICHAŁ KOMUDA

2 XI 1866

W Zułowie przyszedł na świat starszy brat Marszałka, Bronisław Piłsudski. Po zesłaniu przez carskie władze na katorgę zapisał się w historii jako wybitny badacz, dokumentalista i obrońca praw wschodnioazjatyckiego ludu Ajnów.

4 XI 1941

W New London w Stanach Zjednoczonych dokonano podniesienia polskiej bandery na amerykańskiej produkcji okręcie podwodnym, ORP „Jastrząb". Jego dowódcą został doświadczony podwodniak, kpt. Bolesław Romanowski.

5 XI 1906

Maria Skłodowska-Curie wygłosiła swój pierwszy wykład z zakresu fizyki na paryskiej Sorbonie. Obejmując po tragicznie zmarłym mężu katedrę fizyki, została pierwszą kobietą profesorem na tej uczelni.

9 XI 1941

Osiemdziesiąt lat temu, pod Borysowem, kolaborująca z niemieckim okupantem białoruska policja zamordowała kapelana podziemia niepodległościowego błogosławionego ks. Henryka Hlebowicza.

10 XI 1936

Półtora roku po śmierci Józefa Piłsudskiego generalny inspektor sił zbrojnych Edward Śmigły-Rydz został mianowany marszałkiem Polski.

14 XI 1951

W Pruszkowie urodził się wybitny himalaista, pierwszy polski zdobywca Korony Ziemi, Leszek Cichy. Wraz z Krzysztofem Wielickim zostali pierwszymi ludźmi, którzy stanęli zimą na szczycie Mount Everestu.

26 XI 1796

Car Paweł I podjął decyzję o uwolnieniu z więzienia Tadeusza Kościuszki, który za cenę złożenia przysięgi wiernopoddańczej wynegocjował wolność dla tysięcy polskich jeńców. Naczelnik powstania trafił w ręce Moskali ponad dwa lata wcześniej, w trakcie przegranej bitwy pod Maciejowicami.

30 XI 1591

W Strachocinie przyszedł na świat przyszły patron Polski, jezuita i utalentowany kaznodzieja, św. Andrzej Bobola. Podczas swojej działalności misyjnej wśród ludności prawosławnej został pojmany przez Kozaków, odmówił porzucenia wiary katolickiej, za co został poddany torturom i zamordowany.

FOT. WIKIPEDIA x2, NAC. ARCHIWUM, BIBLIOTEKA NARODOWA x2, IPN, KRZYSZTOF WILCZYŃSKI/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, PALACE OF VERSAILLES

eprasa.pl e761a75206

21 XI 1921

Sto lat temu w Maziarni na Lubelszczyźnie urodził się jeden z najdłużej ukrywających się żołnierzy podziemia antykomunistycznego, mjr Andrzej Kiszka. Oceniając ten okres swojego życia, powiedział: „Walczyłem, bo mi się komuna nie podobała".

Wspomnianą walkę rozpoczął w 1941 r. jako żołnierz Batalionów Chłopskich. Rok później znalazł się w szeregach Armii Krajowej. W 1943 r. jego dowódcą był por. Franciszek Przysiężniak „Ojciec Jan" z Narodowej Organizacji Wojskowej – AK. Po przejściu frontu, zgodnie z przyjętą przez niepodległościowe podziemie strategią, rozpoczął służbę w tworzonym posterunku Milicji Obywatelskiej. Na skutek groźby aresztowania przez komunistów zdezerterował i wrócił do rodzinnego gospodarstwa rolnego. Jednak ze względu na dotychczasową działalność, znalezienie podczas rewizji w jego domu broni oraz kontakty z oddziałem NOW – Narodowego Zjednoczenia Wojskowego kpt. Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka", zaczęła go poszukiwać milicja. Zmusiło to Kiszkę do tymczasowego ukrywania się. Nie mógł wówczas przypuszczać, że właśnie taki styl bytowania stanie się jedyną szansą na uniknięcie aresztowania i będzie mu towarzyszył przez najbliższe 16 lat życia. Ujawnienie się w ramach amnestii w kwietniu 1947 r. nie uwolniło Kiszki od bezpieki. Już jesienią urządzono na niego zasadzkę. Dwie kolejne zimy przetrwał, mieszkając w zbudowanych przez siebie bunkrach. W drugiej połowie 1949 r. dołączył do Adama Kusza „Garbatego", który przejął dowodzenie w oddziale po śmierci kpt. „Wołyniaka". Pomimo licznych obław pozostawali nieuchwytni. Dopiero zastosowanie skomplikowanej gry operacyjnej z wykorzystaniem agentów oraz podstawionej radiostacji, która zdradzała miejsce postoju partyzantów, umożliwiło przygotowanie ostatecznego uderzenia. W wyniku trzydniowej akcji, którą rozpoczęto 19 sierpnia 1950 r., poległo pięciu żołnierzy oddziału. Andrzej Kiszka był jednym z tych, którzy zdołali się wyrwać z oblężenia, by następnie przez kilka miesięcy samotnie się ukrywać. Na wiosnę 1951 r. odnowił kontakty z pozostałymi jeszcze w terenie partyzantami. Od lata kolejnego roku ukrywał się już jednak w pojedynkę. Jak się miało okazać, krok ten pozwolił mu wytrwać w terenie najdłużej z całego oddziału. Ostatnia akcja, w której wziął udział, miała miejsce 23 października 1954 r. W jej trakcie w obronie własnej, jak twierdził, zastrzelił podejrzewanego o denuncjowanie ludzi podziemia sekretarza PZPR we wsi Rataj Ordynacki. Wcześniej, jesienią 1953 r., Kiszka zbudował idealnie zamaskowany, porośnięty drzewami bunkier. To on pozwolił mu bezpiecznie przetrwać lata nieustannych, komunistycznych poszukiwań. Jak wspominał: „Prześladowali moją rodzinę, brata Józefa trzykrotnie aresztowano, bili jego i drugiego brata Jana. Ojciec zmarł od pobicia. Przyjeżdżało KBW i UB, robili rewizje, zrywali podłogi, rozbierali piece, niszczyli meble". Dopiero zwerbowanie poprzez szantaż i naciski kuzyna Kiszki umożliwiło półtora roku później przeprowadzenie obławy. Ostatecznie 30 grudnia 1961 r., jako ostatni z oddziału, Kiszka został pochwycony przez liczącą 60 funkcjonariuszy grupę operacyjną. Skazany na dożywocie wyszedł na wolność w sierpniu 1971 r. Miał wówczas 50 lat.

27 XI 1806

Na warszawskim bruku zastukały kopyta francuskiej konnicy marszałka Joachima Murata, a do Poznania uroczyście wjechał sam Napoleon Bonaparte. Znajdująca się pod rozbiorami Rzeczpospolita stała się teatrem działań wojennych pomiędzy cesarzem Francuzów a carem Rosji.

Po błyskawicznym pobiciu głównych sił pruskich napoleońskie wojska w pościgu za uchodzącym wrogiem wkroczyły na terytorium dawnej Polski. Zaniepokojona rozwojem wypadków Rosja wystawiła 140-tysięczną armię, która miała wesprzeć Prusaków i zatrzymać pochód Francuzów na wschód. Oczy Napoleona zwróciły się w stronę Polaków. Polecił gen. Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu sformowanie polskiego wojska, które mogłoby wesprzeć francuskie siły. Następnie 27 listopada wieczorem osobiście wjechał do Poznania eskortowany przez gwardię honorową składającą się z synów polskiej arystokracji. Powitanie cesarza w stolicy Wielkopolski przygotowano w najdrobniejszych szczegółach, licząc na to, że jego działania zmierzają do odbudowy polskiej państwowości. Jednak on sam nie poczynił żadnych deklaracji, domagając się wystawienia przez polskie społeczeństwo armii i dostarczania zaopatrzenia. Również jego przybycie 19 grudnia do Warszawy było związane z bieżącymi działaniami wojennymi. Już cztery dni później wyruszył na front, gdzie doszło do pierwszych walk z Rosjanami pod Czarnowem. Drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia doszło do bitew pod Pułtuskiem oraz Gołyminem, po czym Napoleon wstrzymał działania wojenne ze względu na wycieńczenie wojska i trudne warunki atmosferyczne. Niezależnie od postawy samego cesarza Polacy szybko tworzyli fakty dokonane. Nie tylko odtworzyli armię, lecz również położyli podwaliny przyszłej państwowości, która już niebawem, w okrojonej formie, miała zostać usankcjonowana przez Napoleona.

eprasa.pl e761a75206

Grudzień

1 XII 1941 Do brytyjskiej bazy w Holy Loch dobił przybyły ze Stanów Zjednoczonych nowy okręt podwodny ORP „Jastrząb". Był pierwszą i jedyną polską jednostką tego typu, która dokonała przejścia przez Atlantyk z zachodu na wschód.

5 XII 1911 W Sosnowcu przyszedł na świat polski pianista i kompozytor Władysław Szpilman. Podczas II wojny światowej z powodu swojego żydowskiego pochodzenia był zmuszony do ukrywania się przed niemieckim okupantem. Po upadku powstania warszawskiego był jednym z robinsonów warszawskich.

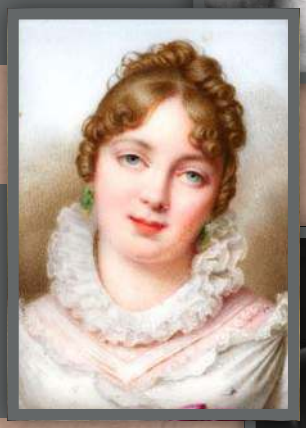

7 XII 1786 W pałacu w Kiernozi urodziła się metresa cesarza Napoleona Bonapartego, Maria Walewska. Owocem ich romansu, który stał się inspiracją wielu filmów, był syn, przyszły powstaniec listopadowy i francuski polityk, Aleksander Colonna-Walewski.

13 XII 1966 W Waszyngtonie na emigracji zmarł były premier RP i jeden z najważniejszych polskich polityków okresu II wojny światowej Stanisław Mikołajczyk.

17 XII 1921 Sto lat temu z inicjatywy członków Polskiej Partii Socjalistycznej utworzono w Warszawie Sportowy Klub Robotniczo-Akademicki (Skra).

23 XII 1831 W trakcie próby przedarcia się do polskich wojsk w Warszawie zmarła bohaterska uczestniczka powstania listopadowego Emilia Plater. Była wielką orędowniczką rozpoczęcia i kontynuowania, mimo niepowodzeń, walki wyzwoleńczej.

28 XII 1981 W Bieruniu na Śląsku górnicy z Kopalni Węgla Kamiennego „Piast" zakończyli trwający dwa tygodnie prowadzony na głębokości 650 m strajk. Wzięło w nim udział ponad 1 tys. pracowników protestujących w ten sposób przeciw wprowadzeniu stanu wojennego.

FOT. NAC x3, LIGIER PIOTR/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, BIBLIOTEKA NARODOWA, KLAUMICH49/WIKIPEDIA, IPN, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e761a75206

strajki Wybrzeża i to w niej 3 września tego roku doszło do podpisania historycznego porozumienia z władzami PRL. Niespełna półtora roku później, 14 grudnia 1981 r., jej pracownicy, w odpowiedzi na rozpoczętą przez Wojciecha Jaruzelskiego brutalną manifestację siły, ponownie zawiązali komitet strajkowy. Na jego czele stanął Jan Bożek, który zdołał uniknąć internowania i dotrzeć do kopalni dzięki sąsiadom, którzy odbili go z rąk komunistycznych funkcjonariuszy. W zakładzie zgromadziło się dwa tysiące pracowników. Ich postawę Bożek relacjonował w następujący sposób: „Wiedzieliśmy, że władza się nie ugnie. Nie po to się wyprowadza czołgi na ulicę, żeby

skończyć przed jakimś strajkiem". Protestujący starali się przygotować na przewidywaną interwencję sił reżimowych. Jak wspominał jeden z nich, Czesław Kłosek: „Wiedzieliśmy, że nie możemy wyjść poza kopalnię, bo wcześniej władza strzelała na ulicach, a nigdy wcześniej nie strzelała w zakładach pracy – tak przynajmniej wtedy myśleliśmy. [...] przy bramach zaczęliśmy budować barykady z tego, co mieliśmy – wozów i rur. Kiedy oni przyjechali, byliśmy gotowi się bronić, każdy miał prowizoryczną broń, np. jakiś klucz". Moment konfrontacji nastąpił 15 grudnia ok. godz. 11. Oddział złożony z funkcjonariuszy MO, ZOMO oraz żołnierzy LWP podjął pierwszą, pomimo olbrzymiej dysproporcji sił i użycia czołgów, nieudaną próbę opanowania kopalni. W trakcie forsowania barykad zastosowano także pojazdy bojowe, armatki wodne, petardy i gaz łzawiący. Ostatecznie do walki przeciw górnikom wprowadzono Pluton Specjalny ZOMO wyposażony w ostrą amunicję. Padły strzały. Moment ten wspominał Kłosek: „Zobaczyłem broń w ich rękach. Zanim się zorientowałem, poczułem potężne uderzenie i runąłem na ziemię. Pocisk trafił mnie w podbrödek, zrykoszetował przez gardło, by na koniec wbić się w kręgosłup". Oprócz niego ranni zostali Franciszek Gąsiorowski, Zdzisław Kraszewski i Bogusław Tomaszewski. Natomiast Zdzisław Dudek został pobity do utraty przytomności. Jednocześnie pacyfikujący kopalnię opóźniali moment udzielenia pomocy poszkodowanym przez służby medyczne. Użycie broni palnej zmusiło górników do zakończenia strajku. Niestety strzały w kopalni Manifest Lipcowy okazały się preludium do dalszej eskalacji przemocy ze strony władz. Dzień później w Katowicach padli zabici.

11 XII 1941

W trakcie II wojny światowej Rzeczpospolita Polska wypowiedziała wojnę Cesarstwu Japonii. W świetle aktów międzynarodowych konflikt ten trwał ponad 15 lat.

Napaść japońskiego lotnictwa na amerykańską bazę morską w Pearl Harbor 7 grudnia 1941 r. stała się jednym z punktów zwrotnych II wojny światowej. W jej konsekwencji Stany Zjednoczone, a także Wielka Brytania i jej dominia wypowiedziały wojnę Japonii. Z kolei po stronie tej ostatniej stanęli jej niemieccy i włoscy sojusznicy. Pożoga wojenna rozlała się na Pacyfik. Powstała sytuacja zmusiła do reakcji również przebywające na uchodźstwie w Londynie władze RP. Pomimo dotychczas poprawnych stosunków łączących oba narody, o czym świadczyło to, że polska ambasada w Japonii funkcjonowała aż do października 1941 r., Polacy musieli dopełnić swoich zobowiązań sojuszniczych. Wzorem przebywających na Wyspach Brytyjskich rządów Belgii i Holandii oraz Francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, 11 grudnia prezydent RP Edward Raczyński podpisał akt wypowiedzenia wojny. W ten sposób doszło do jedynego oficjalnie rozpoczętego przez Polskę konfliktu w XX w. Jednak o jego charakterze wymownie świadczyło już to, że Japonia wypowiedzenia wojny nie przyjęła. Nade wszystko Polskie Siły Zbrojne, z wyjątkiem statków transportowych, nigdy nie zostały skierowane w rejon walk z siłami Cesarstwa. Niemniej na przywrócenie stosunków dyplomatycznych między oboma państwami przyszło czekać jeszcze wiele lat po wojnie. Układ pokojowy ostatecznie zawarto 8 lutego 1957 r. w Nowym Jorku.

15 XII 1981

Dzień przed zbrodnią, której komuniści dopuścili się w katowickiej kopalni Wujek, siły reżimowe rozpoczęły szturm na kopalnię Manifest Lipcowy w Jastrzębiu-Zdroju. To właśnie tu po raz pierwszy użyto broni palnej przeciw protestującym górnikom.

W akcie sprzeciwu wobec wprowadzonego w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego pracownicy jastrzębskich kopalń podjęli strajki, m.in. w zakładzie Manifest Lipcowy. Kopalnia ta była pierwszą na Śląsku, która latem 1980 r. wsparła

eprasa.pl e761a75206

ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

JAK WYGLĄDALI WŁADCY POLSKI? MATERIAŁY IKONOGRAFICZNE

CZYTAJĄC OPRACOWANIA HISTORYCZNE LUB MÓWIĄC O WYDARZENIACH MAJĄCYCH MIEJSCE W MINIONYCH STULECIACH, STARAMY SIĘ WYOBRAZIĆ SOBIE, JAK WYGLĄDAŁY ZNANE POSTACI HISTORYCZNE. JEST TO SZCZEGÓLNIE WAŻNE W PRZYPADKU BIOGRAFII SŁYNNYCH LUDZI

August III Sas (1750 r.)

JACEK KROCHMAL

Żyjemy w czasach, w których ze wszystkich stron otaczają nas obrazy, a niemal każdy przekaz informacyjny jest wzbogacony zdjęciem lub filmem. Z oczywistych względów udogodnienia takie nie istniały w epokach sprzed wynalezienia fotografii. Wprawdzie radzono sobie z tym, angażując malarzy, ich przedstawienia – w odniesieniu do postaci historycznych – były jednak kwestią wyobraźni, trudno bowiem namalować portret osoby już dawno zmarłej, znanej jedynie ze źródłowych opisów narracyjnych. Również nasza wyobraźnia historyczna została ukształtowana pod wpływem cyklu portretów władców polskich, szczególnie Marcella Bacciarellego (1731–1818) i Jana Matejki (1838–1893). Pierwszy przebywał najpierw na dworze Augusta III w Dreźnie, a później został nadwornym malarzem króla Stanisława Augusta, znał więc obu ostatnich władców Rzeczypospolitej. Jednak portrety wcześniejszych królów polskich, które wyszły spod jego pędzla, stanowią jedynie wytwór wyobraźni artysty. Z jeszcze większej perspektywy czasu tworzył Matejko. Jego poczet królów i książąt polskich powstał na zamówienie wiedeńskiego wydawcy Maurycego Perlesa w latach 1890–1892. Dziełem mistrza Jana były ołówkowe szkice władców. W naszej pamięci utrwaliły się ich barwne wersje autorstwa uczniów Matejki, Leonarda Stroynowskiego i Zygmunta Papieskiego. Te wspaniałe portrety władców Polski również są w większości wytworem wyobraźni artysty, choć pamiętajmy, że Matejko tworzył po gruntownej kwerendzie historycznej, a nawet wykorzystywał badania naukowe. Tu przypomnieć trzeba jego udział w pracach komisji powołanej do otwarcia sarkofagu Kazimierza Wielkiego, co dało mistrzowi sposobność do wykonania szkicu czaszki zmarłego króla.

Król Aleksander Jagiellończyk i kanclerz Jan Łaski (1506 r.)

Jak zatem w rzeczywistości wyglądali władcy Polski? Czy dotarcie do ich wizerunków jest dziś możliwe? Okazuje się, że część z nich została utrwalona w dokumentach powstałych jeszcze za ich życia. Niektóre z takich portretów – mniej lub bardziej udanych – jako ozdoby znalazły się nawet na dokumentach podpisywanych przez monarchów, ci zatem, patrząc na swój wizerunek, musieli go akceptować. Jako przykład można podać rysunki ze sta-

FOT. KAROL ZALIŃSKI

eprasa.pl e761a75206

tutu Łaskiego wydrukowanego w 1506 r. w drukarni Jana Hallera w Krakowie, na których odnajdujemy przedstawienie króla Aleksandra Jagiellończyka odbierającego od kanclerza Jana Łaskiego zbiór praw i przywilejów Królestwa Polskiego. Warto dodać, że przechowywany w AGAD statut Łaskiego to tzw. egzemplarz królewski, czyli kodeks powstały na pergaminowych barwionych kartach, wydrukowanych w nakładzie zaledwie 12 egz. przeznaczonych dla monarchy i najwyższych dostojników królestwa.

Do mniej udanych przedstawień władców Polski należy wizerunek króla Stefana Batorego zamieszczony na podpisanym przez niego dokumencie z 1576 r. Interesujący, choć niezbyt pochlebny, jest też rysunek królowej Ludwiki Marii Gonzagi, zamieszczony na dokumencie z 1646 r., w którym Władysław IV zabezpieczył swej żonie posag.

Ludwika Maria Gonzaga (1646 r.)

Wierny jest portret króla Jana III umieszczony w 1676 r. na podpisanym przez Sobieskiego dokumencie nobilitacyjnym nadającym Ormianinowi Bernardowi Krzysztofowi Bernatowiczowi herb Suche Komnaty i nazwisko Bernacki.

Jan III Sobieski (1676 r.)

Metropolita lwowski Andrzej Szeptycki (ok. 1905 r.)

Uwagę zwraca barwny rysunek Augusta III z saskiej dynastii Wettynów, zamieszczony na dokumencie królewskim z 1750 r. O realizmie tego przedstawienia świadczy nie tylko to, że zaakceptował go sam król, podpisując dokument, ale także widoczne podobieństwo z portretami tego monarchy autorstwa Bacciarellego i Matejki. Galerię wizerunków władców Rzeczypospolitej zamieszczonych na materiałach archiwalnych w AGAD kończy interesujące przedstawienie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego z 1777 r.

Drugą grupę przedstawień ikonograficznych stanowią różnorodne ilustracje o treści sakralnej. Do ciekawszych należą te zamieszczone w liście z 1644 r., w którym ormiański katolikos Filip prosił króla Władysława IV o otoczenie opieką Ormian przebywających w Rzeczypospolitej. Pięknie ozdobiony list zawiera

Stanisław August Poniatowski (1777 r.)

barwne rysunki przedstawiające tronującego Chrystusa w otoczeniu aniołów oraz czterech ewangelistów ukrytych pod symbolicznymi postaciami uskrzydlonego człowieka (św. Mateusz), orła (św. Jan), wołu (św. Łukasz) i lwa (św. Marek).

Do najbardziej realistycznych przedstawień należą fotografie. Wśród najstarszych zwracają uwagę zdjęcia papieży Piusa IX (z ok. 1875 r.) i Piusa XI (z 1939 r.), arcybiskupa warszawskiego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego (z ok. 1863 r.) oraz greckokatolickiego arcybiskupa metropolity lwowskiego i halickiego Andrzeja Szeptyckiego (z ok. 1905 r.), którego proces beatyfikacyjny toczy się już od wielu lat.

Opisane przedstawienia ikonograficzne można odnaleźć w dokumentach znajdujących się w wielu zespołach i zbiorach archiwalnych przechowywanych w AGAD, w tym m.in. w zbiorze dokumentów pergaminowych, Zbiorze Ikonografii Oddziału IV oraz zbiorze Akta osób i rodzin.

eprasa.pl e761a75206

POTĘGA SYMBOLI. ZNACZKIEM, OZNAKĄ I BANKNOTEM PRZECIWKO KOMUNIE!

OPÓR POLAKÓW PRZECIWKO SYSTEMOWI KOMUNISTYCZNEMU BYŁ WYRAŻANY NA WIELE SPOSOBÓW, CZASEM W MINIMALISTYCZNEJ, ALE BARDZO WYRAFINOWANEJ, FORMIE...

RAFAŁ KIERZKOWSKI

Przejmując 1 sierpnia 2020 r. kolejną część archiwum Solidarności Walczącej, Archiwum Akt Nowych przyjęło do swojego zasobu potężną kolekcję materiałów propagandowych, ulotek, pocztówek, druków drugiego obiegu, znaczków i oznak zebranych przez działaczy i archiwistów tej organizacji: Janusza Gajewskiego, Zbigniewa Rutkowskiego, Mariusza Grabowskiego i Krzysztofa Wolfa. Wyjątkowe materiały trafiły do zasobu AAN również 14 września 2021 r. wraz z archiwum Komitetu Katyńskiego Stefana i Andrzeja Melaków.

Ich połączone kolekcje stanowią podstawę dla typologicznego opracowania i skatalogowania materiałów, którymi antykomunistyczna opozycja walczyła o prawdę i wolność. Prace już trwają.

Od konfederacji barskiej i powstania styczniowego do Solidarności

Tradycja wykorzystania biżuterii i drobnych elementów garderoby jako nośnika treści patriotycznych i niepodległościowych w sposób masowy (kręgi elitarne czyniły to już bowiem wcześniej, vide zapinki herbowe Elżbiety Łokietkówny) sięga konfederacji barskiej. Ozdobne brosze, zapinki, okucia trzęsień czapek i ryngrafy zdobione podobizną Maryi, a także hasłami, takimi jak „Pro Fide et Maria. Pro Lege et Patria" oraz datą 1768, do dziś są znakiem kojarzonym z tym jednym z pierwszych polskich zrywów niepodległościowych. Formą podobnego symbolicznego oporu i niezgody na niszczenie polskości było noszenie biżuterii patriotycznej, kiedy po roku 1861 i krwawych carskich pacyfikacjach, a następnie w powstaniu styczniowym i po jego upadku Polacy rozpoczęli narodową żałobę. Miejsce złotej i srebrnej biżuterii zajęły wtedy czarne miniaturki kajdan, żałobne krzyże i minimalistyczne formy polskich symboli narodowych. Orzełki i barwy narodowe wróciły również w okresie walki o odrodzenie Polski podczas I wojny światowej, stanowiąc symboliczny kod porozumienia przedstawicieli polskich środowisk walczących o powrót swej Ojczyzny na mapę Europy. Symbolika patriotyczna, w formie wpinek i sygnetów, była ważna w kręgach emigracji i Polskich Sił Zbrojnych zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie w czasie II wojny światowej. Własne sygnety i odznaki były też wyrabiane przez struktury Polskiego Państwa Podziemnego. Warto tu wymienić powstające na różnych etapach sygnety Armii Krajowej czy harcerskich Grup Szturmowych. Znamienne, że przywiązanie do wspaniałej niepodległościowej symboliki ujawniało się w polskim narodzie zawsze w dobach najtrudniejszej próby, będąc zarówno przypomnieniem sprawy, o którą trzeba walczyć, jak i formą walki samą w sobie. Nic więc dziwnego, że kolejną kartę polskiego umiłowania do niej zapisaliśmy w ponurych czasach komunizmu.

Nie tylko oporniki...

Masowym i wyjątkowo różnorodnym rodzajem symboli oporu były miniaturowe oznaki, zaopatrzone w agrafki, szpile, łańcuszki i wsuwki, które można było nosić na ubraniu lub np. wpinać w makaty. Pojawiły się one już pod koniec lat 70., a szczyt ich popularności rozpoczął się wraz z eksplozją poparcia dla opozycji antykomunistycznej, szczególnie Solidarności w latach 80. Opracowano co najmniej kilka, a prawdopodobnie nawet kilkanaście tysięcy rodzajów oznak. Od prostych plastikowych oklejonych kalkomanią po wyrafinowane emaliowane grawerskie arcydzieła. Były one nośnikiem treści antykomunistycznych, patriotycznych i katolickich. Możemy na nich znaleźć historyczne odwołania do Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego, Armii Krajowej, powstania warszawskiego, a nawet do powstańców styczniowych, Konstytucji 3 maja, zbrodni katyńskiej czy 17 września 1939 r. Popularna była symbolika katolicka, podobizny ks. Jerzego Popiełuszki, ks. kard. Stefana Wyszyńskiego,

eprasa.pl e761a75206

Masowym i wyjątkowo różnorodnym rodzajem symboli oporu wobec komunizmu w PRL były miniaturowe oznaki. Pojawiły się one już pod koniec lat 70., a szczyt ich popularności przypadł na lata działań Solidarności

Jana Pawła II oraz wizerunek Maryi, najczęściej w jasnogórskim przedstawieniu. Nie brak również treści karykaturalnych i prześmiewczych kompromitujących komunistyczne władze. Produkcją znaczków zajmowali się rzemieślnicy współpracujący z Solidarnością lub działający na własną rękę. Silna decentralizacja wytwórców z jednej strony zapewniała różnorodność znaczków, z drugiej utrudniała bezpiece jej zwalczenie.

Poczta niepodległości

Kolejnym polem aktywności antykomunistycznej opozycji była produkcja znaczków filatelistycznych i stempli do kopert. Rozprowadzane znaczki, które można było zakupić w formie cegiełki i podarować rodzinie lub bliskim, były nośnikiem różnych treści, zarówno z zakresu historii i walk niepodległościowych, przypominających o ofiarach systemu, np. Grzegorzu Przemyku, jak i przyjemnych dla oka grafik łączących motywy bożonarodzeniowe lub wielkanocne z symboliką solidarnościową.

Waluta oporu

Genialnym pomysłem opozycjonistów była również produkcja własnej waluty lub nanoszenie na obiegowe banknoty wybranych treści. Drukowane banknoty były karykaturalnymi przeróbkami wyobrażającymi i ośmieszającymi czołowych komunistów, np. gen. Wojciecha Jaruzelskiego czy Jerzego Urbana. Przedstawiały także bohaterów walki z komunizmem i osoby będące źródłem nadziei, m.in. Jana Pawła II. Krążyły one w formie cegiełek, z których zysk przeznaczony był na działalność podziemną. Innym sposobem działania w polu „gotówkowym" było dostawianie na obiegowych banknotach PRL stempli przypominających o Solidarności i trwającym oporze. Przerabiano również monety, dobijając na nich koronę orzełkowi. Dużym plusem tych metod było docieranie wraz z obiegiem gotówki do nieznanych odbiorców spoza kręgów opozycyjnych.

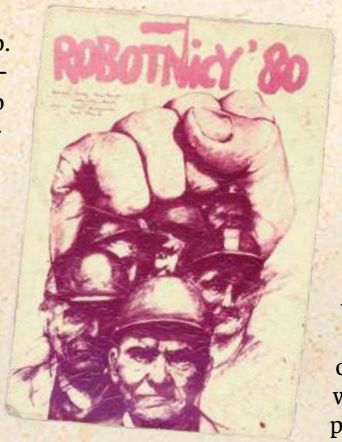

Wszystkie powyższe rodzaje miniaturowych „nośników niepodległości" były zwalczane przez Służbę Bezpieczeństwa i Milicję Obywatelską. Pomimo pojedynczych wsyp i zatrzymań oraz represji wobec ich użytkowników komuniści nie byli w stanie zapanować nad rozlewającym się po kraju od Szczecina po Rzeszów, od Poznania po Ursus i od Wrocławia po Gdańsk i Gdynię, antykomunistycznym ruchem, który znajdował powszechny wyraz m.in. w takich miniaturowych artefaktach.

Potężny dorobek polskiej opozycji niepodległościowej wyrażony w tysiącach typów znaczków, oznak i kart jest godny opracowania swej typologii i katalogu. Dzieło takie już powstaje, Archiwum Akt Nowych uczestniczy w pracach znawcy tej dziedziny i autora monograficznej serii „Pamiątki opozycji antykomunistycznej we Wrocławiu" – dr. Szczepana Rudki, na którego wiedzy i ustaleniach został oparty powyższy artykuł. Kończy on właśnie kolejną pozycję omawiającą tym razem fenomen antykomunistycznych oznak. Efekty prac już niedługo zostaną wydane w formie merytorycznego katalogu. Symbole polskiej niepodległości muszą bowiem trwać i inspirować nadal!

FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

eprasa.pl e761a75206

WCZORAJ WIĘZIENIE – DZISIAJ MUZEUM

Z JACKIEM PAWŁOWICZEM, DYREKTOREM MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH I WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH PRL, ROZMAWIA JAROSŁAW WRÓBLEWSKI

Muzeum powstaje w szczególnym miejscu – dawnym więzieniu i areszcie śledczym przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie. Dlaczego wybrano taką właśnie lokalizację?

Jacek Pawłowicz: Rakowiecka jest miejscem absolutnie wyjątkowym, gdzie jak w soczewce skupiają się dwie zbrodnie, dwóch totalitaryzmów, które dotknęły Polskę. Tutaj, w tych murach, niemieccy bandyci z SS mordowali więzionych Polaków podczas pierwszych dni powstania warszawskiego. To była rzeź na kilkuset osadzonych w celach osobach, jak i przyprowadzanych tutaj z sąsiednich ulic mieszkańcach Mokotowa. To była zbrodnia niemiecka, a po wejściu do Warszawy Sowietów i kolaborujących z nimi polskich komunistów od 1945 r. podczas przesłuchań mordowano żołnierzy polskiego podziemia. Tutaj, w tych celach, karcerach brutalnie torturowano biciem, zrywaniem paznokci, sadzaniem na odwróconej nodze od stołka, miażdżeniem jąder czy gwałtem wobec kobiet szczotką do mycia kibli. Tutaj się działy rzeczy straszne i dlatego to miejsce jest szczególne, niemal święte ze względu na męczeństwo polskich bohaterów. Dlatego powinno być otoczone szczególną opieką

eprasa.pl e761a75206

przez polskie państwo. To się teraz właśnie dzieje, że można przyjść tutaj i zobaczyć dawne więzienie.

Czy można powiedzieć, że pana placówka będzie pokazywała – zapoczątkowaną w Muzeum Powstania Warszawskiego – bohaterską i konsekwentną walkę o wolną Polskę, tylko już nie z Niemcami, ale komunistami?

Tak, to jest naturalna kontynuacja dzieła śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. On stworzył fenomenalne Muzeum Powstania Warszawskiego, które pokazało odwagę i sens walki o wolną Warszawę. Kolejnym etapem miało być muzeum poświęcone walce żołnierzy wyklętych, których on zaczął przywracać do zbiorowej pamięci. Odznaczał i uroczyście honorował tych bohaterów. Robił to z wielką estymą. Katastrofa smoleńska to zatrzymała, ale pomysł ustawy o Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych właśnie on zapoczątkował, choć wdrożył ją w życie już jego następca. Wybrany dzień 1 marca – czyli data śmierci w 1951 r. w murach Rakowieckiej członków IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" – to przecież był symboliczny koniec WiN jako kontynuatorów dzieła, jakim była Armia Krajowa. To był hołd złożony wszystkim żołnierzom antykomunistycznego powstania.

To miejsce jest przesiąknięte krwią polskich bohaterów? Pokazują to zacierane przez lata ślady, które pan odnajduje?

To prawda, że tutaj udaje nam się odnajdywać zapomniane ślady zarówno tortur, jak i śmierci. Znaleźliśmy miejsca, gdzie były karcery, miejsce, gdzie stała szubienica, i ceglany mur, przy którym wykonywano wyroki śmierci, strzelając metodą katyńską w tył głowy. To miejsce nazwaliśmy ścianą śmierci. Przez lata jednak ukrywano te miejsca. Szubienicę zabetonowano w podłodze, położono na nią wykładzinę i zorganizowano siłownię. Ściana śmierci została pomalowana na biało, później była skuwana i tynkowana. Jednak te ślady po kulach oczyściliśmy i są mocno widoczne do dziś. W tzw. mokrym karcerze znajduje się dawna hydrofornia. Jest też odnaleziona przez nas cela, w której przebywał rtm. Witold Pilecki.

Jak udało się ją odnaleźć po tylu latach?

Dzięki dokumentom zachowanym w jego sądowej sprawie oraz szkicowi planu mokotowskiego więzienia przygotowanemu przez wywiad Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", które są w Londynie, w Studium Polski Podziemnej. Ważne są też relacje świadków.

Muzeum jest już dziś licznie odwiedzanym i ważnym miejscem na turystycznej i historycznej mapie Polski. Co najbardziej porusza przychodzące do niego osoby?

Moim zdaniem właśnie znajdujący się w piwnicy mokry karcer, do którego prowadzi podziemny tunel, ze swoim zapachem stęchlizny, brudnymi zaciekami na ścianach, gdzie przetrzymywano ludzi w wodzie i fekaliach. Takim go zastaliśmy i taki jest obecnie pokazywany. To miejsce porusza, że wielu osobom trudno jest ukryć tutaj wzruszenie. Także więzienny X Pawilon, w którym czas się zatrzymał i cofa nas do lat powojennych. Możemy to zobaczyć i przeżyć tylko tutaj. Można historię żołnierzy wyklętych i więźniów politycznych PRL poznawać w filmach czy książkach, ale tutaj można jej dotknąć.

Jakie wystawy można dziś zobaczyć w murach muzeum?

Właśnie na korytarzach X Pawilonu jest prezentowana wystawa „Dowody zbrodni", gdzie są osobiste rzeczy znalezione przy szczątkach zamordowanych na Rakowieckiej ofiar, które po latach wykopane zostały na Łączce. Medaliki, guziki, okulary, grzebienie... one są jak prawdziwe relikwie.

Jest wystawa pamiątek z okresu konspiracji Solidarności Walczącej. W kilkunastu celach są zgromadzone bardzo ciekawe przedmioty: od maszyn poligraficznych i poczty podziemnej, bibuły i książek, po nadajniki radiowe czy sprzęt do nasłuchu milicji i SB.

Jest też oddzielna wystawa o technikach operacyjnych bezpieki z okresu PRL. To jedyna taka wystawa pokazująca specjalistyczny sprzęt do tajnego otwierania korespondencji, fotografowania, np. guzik będący faktycznie obiektywem mikroskopijnego aparatu, nagrywania rozmów w hotelu czy namierzania Radia Solidarność. Jest też oryginalny wariograf z tamtego okresu.

Mamy wystawę naszych zbiorów, które otrzymaliśmy w darze: z oryginalnymi ryngrafami, bronią, więziennymi różańcami z chleba czy rzeczami po niezłomnych duchownych.

Mamy też niedawno otwartą czasową wystawę poświęconą jednemu z najważniejszych duchownych polskiego Kościoła – abp. Antoniemu Baraniakowi, który jako sekretarz kardynała Stefana Wyszyńskiego wytrzymał tutaj blisko 150 brutalnych przesłuchań i nie załamał się. Dzięki tej postawie uratował polski Kościół i nie było w Polsce propagandowego ani sfingowanego procesu wobec Prymasa Tysiąclecia.

Zbliża się 40. rocznica stanu wojennego, a to miejsce szczególnie przypomina o więzionych tutaj aktywnych działaczach opozycji w okresie PRL. Dlaczego trzeba o nich mówić i przypominać ich działania?

Tutaj przetrzymywano polskich patriotów, którzy się nie zgadzali na panujący system pod sowieckim protektoratem. Siedzieli tu w czasie PRL działacze opozycji demokratycznej, niepodległościowej, antykomunistycznej, chłopskiej, studenckiej... generalnie wszyscy, którzy chcieli coś zmienić i mieli do tego jeszcze odwagę. Mieli też pomysły, jak walczyć z komuną. Tak było również w czasach Solidarności, gdzie w latach 80. przebywali tutaj ludzie podziemia z całej Polski, z różnych struktur, razem z Anną Walentynowicz, Andrzejem Gwiazdą czy Kornelem Morawieckim, którego z tego więzienia przewieziono przez bezpiekę na lotnisko, aby pozbyć się go z Polski na czas rozmów okrągłego stołu i wysłać bez jego zgody do Wiednia.

Jak by pan zachęcił do przekroczenia dawnej więziennej bramy i zwiedzania muzeum?

Nasza historia jest tragiczna, krwawa, ale zwycięska. Ona w tych murach się również wykuwała. Dzięki postawie wielu Polaków, którzy uwierzyli, że jednak mogą wywalczyć sobie i innym niepodległość, właśnie tworzymy to muzeum. Wczoraj więzienie – dzisiaj muzeum. Zapraszam na naszą stronę internetową: www.muzeumrakowiecka37.pl, gdzie jest wiele informacji o historii tego miejsca, i zachęcam, aby śledzić nasz profil na Facebooku (@MuzeumWykletych), poprzez który się komunikujemy. Zwiedzanie z przewodnikiem jest u nas bezpłatne, trzeba się tylko wcześniej zapisać telefonicznie: 22 54 79 610, 22 54 79 607 lub wysłać e-mail na adres: edukacja@muzeumrakowiecka37.pl. Zapraszam.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 9/0821/F

eprasa.pl e761a75206

STANISŁAW RESZKA, HISTORYK I DYPLOMATA

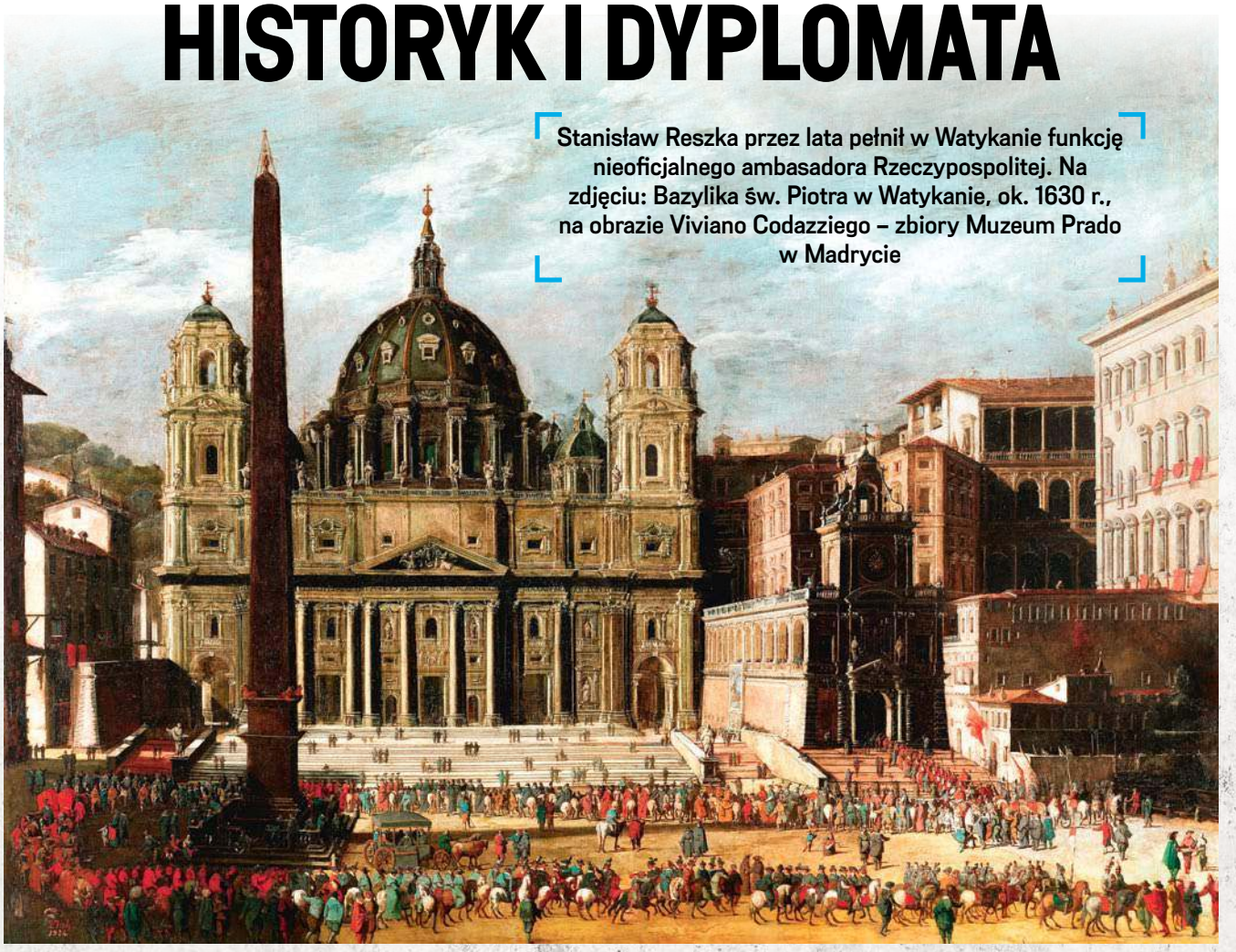

Stanisław Reszka przez lata pełnił w Watykanie funkcję nieoficjalnego ambasadora Rzeczypospolitej. Na zdjęciu: Bazylika św. Piotra w Watykanie, ok. 1630 r., na obrazie Viviano Codazziego – zbiory Muzeum Prado w Madrycie

W DZIEJACH SZLACHECKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ ODNOTOWUJEMY LICZNE PRZYKŁADY KARIER OSÓB WYWODZĄCYCH SIĘ ZE ŚRODOWISK PLEBEJSKICH, NAJCZĘŚCIEJ MIESZCZAŃSKICH. DOBRYM EXEMPLUM TAKIEGO AWANSU MOŻE BYĆ ŻYCIORYS STANISŁAWA RESZKI, KSIĘDZA, DYPLOMATY, HISTORYKA I PISARZA POLEMICZNEGO ŻYJĄCEGO W DRUGIEJ POŁOWIE XVI w.

HENRYK LITWIN

Urodził się w roku 1544 w rodzinie mieszczańskiej, w niewielkim miasteczku Buk pod Poznaniem. Zdobywał wykształcenie na uniwersytetach w Krakowie, we Frankfurcie nad Odrą i Wittenberdze, ale nigdzie – jak się zdaje – nie uzyskał dyplomu. Dopiero w wieku dojrzałym uzupełnił ten brak, uzyskując doktorat na uniwersytecie w Perugii (1579). Najlepszym uniwersytetem okazał się dla Reszki dwór biskupa warmińskiego i kardynała Stanisława Hozjusza, wielkiej postaci polskiego i europejskiego katolicyzmu, jednego z najważniejszych architektów trydenckiej reformy Kościoła. Reszka zdobył sympatię i zaufanie kardynała, stał się jego sekretarzem i najbliższym współpracownikiem. W służbie warmińskiego biskupa Reszka nauczył się

eprasa.pl e761a75206

sztuki dyplomacji, poznał kulisy polskiej polityki, a potem sekrety papieskiej kurii. Otrzymał święcenia kapłańskie, został współtwórcą polskiego hospicjum w Rzymie i pierwszym rektorem polskiego kościoła św. Stanisława w tym mieście. Zwiedził Europę i rozpoczął działalność pisarską. Uzyskał urząd w kurii papieskiej, rozbudował sieć kontaktów i znajomości w tym środowisku. Kiedy w 1579 r. Hozjusz zmarł, Stanisław Reszka był już znaczącą postacią „polskiego" Rzymu.

Rzymskie ostrogi

Po śmierci swego promotora pozostał w Rzymie. Nadal działał jako opiekun Polaków odwiedzających Wieczne Miasto i przyczynił się do rozbudowania sieci polskich placówek w stolicy papiestwa, zakładając w 1582 r. kolegium polskie. Można powiedzieć, że pełnił funkcję nieoficjalnego ambasadora Rzeczypospolitej, podejmował się bowiem także załatwiania wielu spraw państwowych na zlecenie króla Stefana. Pod koniec 1582 r. został wezwany przez monarchę do kraju. Przebywał tu krótko, Batory wysłał bowiem znowu do Rzymu (1583–1584) jako ochmistrza dworu swego bratanka Andrzeja, dla którego zabiegał o godność kardynalską. Reszka miał zadbać o skuteczność tych zabiegów. Zadanie nie było łatwe, ale zostało w końcu wykonane, a ksiądz Stanisław odnotował wielki dyplomatyczny sukces, który przyniosło zastosowanie brawurowego blefu w czasie decydującej rozmowy z papieżem. Wdzięczność króla wyraziła się poprzez nadanie Reszce opactwa w Jędrzejowie, które było bogato uposażone (1585). W tymże roku nastąpił ponowny wyjazd do Rzymu na czele orszaku Andrzeja Batorego już kardynała.

W trakcie tego pobytu w Stolicy Apostolskiej miało miejsce wydarzenie, które pozwala nam poznać Reszkę nieco bliżej i docenić jego rozległą wiedzę. Znamy je z jego własnego opisu zawartego w liście do jednego z przyjaciół z Rzeczypospolitej. 10 września 1586 r. odbyły się prace związane z ustawieniem na placu św. Piotra antycznego obelisku (który zresztą stoi tam do dziś). Był to istny spektakl realizowany pod nadzorem architekta Domenico Fontany, a przypatrywała się mu widownia składająca się z licznych kardynałów i innych dostojników kościelnych oraz ich świt. Obecny był też Reszka, który m.in. opisał zadziwiająco dokładnie i fachowo inżynieryjną stronę przedsięwzięcia, z uwzględnieniem rozmiarów oraz sposobu działania rusztowań i kołowrotów, których użyto do podniesienia obelisku. Zrelacjonował też dyskusję, która wywiązała się wśród widzów spektaklu. Jeden z kardynałów, zwracając się do Reszki, wyraził żal, że tak niewiele antycznych pamiątek w Rzymie „uniknęło gwałtów waszych Wandalów i barbarzyńskiej furii Gotów". Najwyraźniej uznał Polaka za spadkobiercę północno-europejskich „barbarzyńców", którzy spowodowali upadek Cesarstwa Rzymskiego. Ksiądz Stanisław nie zaprzeczył temu powinowactwu – mit sarmacki był już wszak wówczas popularny – i postanowił dać napastliwemu kardynałowi nauczkę. Wygłosił w związku z tym swoisty wykład o historii Wiecznego Miasta i jego zabytków. Sypiąc konkretami, podważył tezę o niszczycielskich działaniach Gotów i Wizygotów w Rzymie, przypominając m.in., że król Teodoryk opiekował się antycznymi zabytkami i finansował ich renowacje. Wykazując się głęboką znajomością rzeczy, wskazał, że w antycznej stolicy cesarstwa istniały 44 obeliski przeniesione z Egiptu i nie istnieją żadne świadectwa, by którykolwiek z nich został wywieziony bądź zniszczony przez Gotów. Przypomniał natomiast liczne zniszczenia spowodowane przez samych Rzymian oraz rabunki cesarzy wschodnio-rzymskich, którzy wielokrotnie wywozili skarby sztuki antycznej do Konstantynopola. Nie oszczędził nawet papieży i ich działań niszczących ślady „pogańskiego zabobonu", choć rzecz jasna wykazał zrozumienie dla ich chrześcijańskiej żarliwości. Przytoczył fakty dotyczące rabunkowych działań władców włoskich, którzy rzymskimi dziełami sztuki ozdabiali swoje stolice, wskazując m.in. na Florencję i Wenecję. Wyraźnie dał do zrozumienia włoskiemu kardynałowi, że prawdziwych barbarzyńców, winnych zniszczenia i kradzieży wielu antycznych zabytków powinien szukać w dziejach własnego kraju, a przy okazji pokazał, że rzekomy „barbarzyńca" z północnej Europy o wiele lepiej zna historię Rzymu niż jego stali mieszkańcy.

Biskup warmiński i kardynał Stanisław Hozjusz (1504-1579), wielka postać polskiego i europejskiego katolicyzmu, był promotorem kariery Stanisława Reszki. Rycina ze zbiorów Biblioteki Narodowej

Dyplomata pełen sukcesów

Kilka miesięcy później do Rzymu dotarła wiadomość o śmierci króla Stefana i przygotowaniach do kolejnej elekcji. Kardynał Andrzej Batory natychmiast wyruszył do kraju, ale Reszkę choroba zatrzymała dłużej we Włoszech. W sierpniu 1587 r. powrócił do Rzeczypospolitej rozdartej sporami po niedawnej elekcji, w czasie której rywalizujące stronnictwa obwołały monarchami dwóch kandydatów: szwedzkiego królewicza Zygmunta i Maksymiliana Habsburga. Ksiądz Stanisław, związany wcześniej z dworem Batorego, pozostawał w kręgu oddziaływania kanclerza Jana Zamoyskiego i wraz z nim poparł „Szweda" oraz był świadkiem zbrojnej walki o tron, rozstrzygniętej na niekorzyść „Rakuszanina", który po bitwie pod Byczyną trafił do polskiej niewoli. Zygmunt III i Rzeczpospolita znaleźli się w konflikcie z Habsburgami, piastującymi trony cesarski i hiszpański, których ambicje zdobycia korony polskiej wspierało wcześniej papiestwo. Sprawą najwyższej wagi stało się uzyskanie uznania legalności władzy młodego Wazy przez papieża Sykstusa V. Taką właśnie misję powierzono Reszce, który w marcu 1588 r. został mianowany posłem nadzwyczajnym i wysłany do Wiecznego Miasta.

Do Rzymu dojechał już 8 maja, mimo że musiał nadkładać drogi, unikając ziem Habsburgów, a przez te, których ominąć nie było sposobu – jak Tyrol – przemykać się incognito. Na Kwirynale, gdzie w owej epoce rezydowali papieże, poseł Rzeczypospolitej zetknął się z rezultatami wcześniejszych działań posła cesarskiego, hiszpańskiego ambasadora, a także Lorenza Madruzzo, księcia biskupa Trydentu, który był eksponentem interesów habsburskich w kolegium kardynalskim. Starali się oni ugruntować w Rzymie przekonanie, że legalnym królem Polski jest Maksymilian, zwyciężony w bitwie przez „buntowników", ale zachowujący pełnię praw. Poseł Rzeczypospolitej musiał zdezawuować potężnych rywali »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, PRADO MUSEUM

eprasa.pl e761a75206

>> i przekonać papieża oraz kurię rzymską, że sytuacja w jego kraju wygląda zupełnie inaczej, niż to opisywali przedstawiciele „Casa d'Austria". Reszka wykonał ten dyplomatyczny majstersztyk, wykorzystując możliwość oddziaływania na papieża dzięki ich dawniejszej osobistej znajomości. Nie zaniedbał kontaktów z ważnymi osobistościami kurii rzymskiej, wśród których miał licznych przyjaciół i znajomych. Udało mu się rozpowszechnić w Rzymie pozytywny wizerunek Zygmunta III, pobożnego katolika, gwaranta ostatecznego triumfu katolicyzmu w Rzeczypospolitej po latach ekspansji protestantyzmu. Przekonał Sykstusa V, że w interesie papiestwa będzie doprowadzenie do porozumienia Wazy z Habsburgami, umożliwiającego przyszłą współpracę dwóch największych katolickich monarchii północno-wschodniej Europy. Nie zajęło mu to nawet zbyt wiele czasu, już 23 maja 1588 r. ogłoszono bowiem decyzję o wysłaniu do Rzeczypospolitej papieskiego legata a latere z misją mediacyjną i powierzeniu tej funkcji kardynałowi Ippolito Aldobrandiniemu. Przyszły papież Klemens VIII znakomicie wywiązał się z zadania, przyczyniając się znacznie do podpisania traktatów będzińsko-bytomskich (9 marca 1589), które zakończyły spór o tron polski na korzyść Zygmunta III, co otworzyło drogę do ukształtowania się trwałego sojuszu polskich Wazów z austriackimi Habsburgami. W ten sposób skromny mieszczanin z Buka pod Poznaniem stał się jednym z architektów ładu politycznego, który panował w Europie północno-wschodniej przez długie dziesięciolecia, właściwie aż do 1668 r.

Zygmunt III docenił dyplomatyczną sprawność Stanisława Reszki i zadbał, by była ona nadal wykorzystywana. W 1592 r. Reszka został wysłany do Neapolu z misją odzyskania spadku po królowej Bonie dla jej wnuka króla polskiego. W mieście pod Wezuwiuszem przebywał aż do śmierci w roku 1600, ale tym razem nie zdołał osiągnąć dyplomatycznego sukcesu. Stworzył natomiast w Neapolu stałe przedstawicielstwo Rzeczypospolitej, które funkcjonowało przez osiem lat, co jest ważnym wydarzeniem w historii polskiej służby dyplomatycznej.

Wśród intelektualnej śmietanki

Choć znaczną część życia Reszka poświęcił działalności dyplomaty, trudno rozstrzygnąć, czy nie ważniejsza dla niego była aktywność naukowa i pisarska. Był autorem licznych dzieł historycznych, a także religijnych pism polemicznych, w których występował jako krytyk protestantyzmu. Wydał również część swoich listów. Drukował przede wszystkim po łacinie w wielu oficynach wydawniczych Europy. Nieliczne pisma polskie charakteryzują się piękną polszczyzną i eleganckim stylem. Działalność naukowa związana była z utrzymywaniem intensywnych kontaktów z intelektualistami z różnych krajów Europy. Imponujące wrażenie robi krąg przyjaciół i korespondentów Stanisława Reszki. Pamiętać trzeba, że w owej epoce listy przesyłane między ludźmi nauki i sztuki były głównym nośnikiem wymiany intelektualnej w Europie i często miały charakter swoistych artykułów naukowych. Warto przypomnieć bliską znajomość księdza Stanisława z Michałem de Montaigne, z którym zetknął się w 1573 r. – jeszcze przed przyjęciem święceń – odwiedzając Paryż w czasie jednej ze swoich dyplomatycznych misji. Przyjaźń obu panów była podtrzymywana korespondencyjnie, a w roku 1581 doszło do ich kolejnego spotkania w Rzymie, o czym dowiadujemy się z dedykacji Reszki na książce jego autorstwa ofiarowanej wielkiemu filozofowi. Także znakomity romanista i wybitny filozof Justus Lipsius był korespondentem księdza Stanisława. Należał do kręgów znajomych i towarzyszy intelektualnych zabaw wybitnych przedstawicieli nauki katolickiej – Roberta Bellarmina i Cesare Baronio. Mógł liczyć na życzliwość i wsparcie Filipa Nereusza, wielkiego organizatora reformy Kościoła i przyszłego świętego. Znał też wielkich poetów tej epoki – włoskich Torquato Tasso i Giambattistę Mariniego oraz polskich Jana Kochanowskiego i Szymona Szymonowica.

Stanisław Reszka, mieszczanin, w młodym wieku dołączył do dworu biskupiego i zaczął się sposobić do kariery duchownej. Kontusza nie nosił w swoim życiu zapewne ani przez chwilę, ale znaczna część jego aktywności polegała na promowaniu pozytywnego wizerunku „kontuszowej" Rzeczypospolitej za granicą, a w szczególności w Rzymie. Jego pisma świadczą o silnym identyfikowaniu się z ojczyzną. Choć nie doczekał się formalnej nobilitacji, to jednak nominacje na wysokie urzędy kościelne i powierzane mu misje dyplomatyczne świadczą, iż przez Stefana Batorego i Zygmunta III był traktowany jak szlachcic, co wskazuje na fakt, że drogi społecznego awansu mieszczan w „szlacheckiej Rzeczypospolitej" nie były tak zamknięte, jak przekonywała dawniejsza historiografia.

D.
STANISLAI
HOSII S. R. E. CAR.
DINALIS, MAIORIS POENITENTIARII, ET EPISCOPI VARMIENSIS.

OPERA OMNIA IN DVOS DIVISA TOMOS, quorum primus ab ipso auctore plurimis subinde in locis, integris & dimidijs paginis ficauctus & recognitus, vt nouum opus fere censeri possit. Secundus autem totus nouus, nuncq; primum typis excusus.

ACCESSERE NECESSARII ATQVE copiosi Indices, cùm locorum Sacra scriptura explicatorum, tum etiam eorum omnium, quæ in hisce operibus obseruatione digna censentur.

Saluo in omnibus sanctæ Sedis Apostolicæ iudicio.

COLONIAE,
Apud Maternum Cholinum.
ANNO M. D. LXXXIIII.
Cum Gratia & Priuilegio Cæsareæ Maiest. in Decennium.

STANISLAI
RESCII
EPISTOLARVM
LIBER VNVS,
QVIBVS NONNVLLA
eiusdem Auctoris.
PIA EXERCITIA
Pijs Lectoribus non indigna Pij quidam Viri adiungenda putauerunt.

Ex officina Horatij Saluiani.
NEAPOLI, Apud Io. Iacobum Carlinum, & Antonium Pacem. M. D. XCIV.

BIBLIOTECA NAZIONALE VENEZIA DI S. MARCO

Karty tytułowe dzieł naukowych bp. Stanisława Hozjusza i Stanisława Reszki (poniżej)

POKAZAŁ, ŻE RZEKOMY „BARBARZYŃCA" Z PÓŁNOCNEJ EUROPY O WIELE LEPIEJ ZNA HISTORIĘ RZYMU NIŻ JEGO STALI MIESZKAŃCY

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl e761a75206

Aleksander Temler (1825–1917)

„KSIĄŻĘ POLSKIEGO PRZEMYSŁU" I JEGO DZIECI

WIELCE ZASŁUŻONA RODZINA WIELKICH PRZEMYSŁOWCÓW TEMLERÓW TO ŚWIETNY PRZYKŁAD NIEZWYKŁEGO FENOMENU POLONIZOWANIA SIĘ OBCOKRAJOWCÓW W XIX w.

WACŁAW LESZCZYŃSKI

Aleksander Ferdynand Temler urodził się w Warszawie 4 listopada 1825 r. jako trzecie dziecko luteranina Jana Gotfryda (1793–1985), właściciela garbarni, i katoliczki Anny Marii (1797–1857) z domu Franke. Ojciec Aleksandra brał udział w powstaniu listopadowym, w domu panowała atmosfera patriotyczna. W jej wyniku sześcioletni Aleksander wraz z ośmioletnim bratem uczestniczyli w kopaniu okopów na Woli w 1831 r. Mieszkając przy ul. Ogrodowej 13/15 przy garbarni ojca, uczył się tam zawodu, równocześnie uczęszczając do szkoły. Po zdaniu matury w 1845 r. poszedł pieszo przez Niemcy do Paryża, wstępując do niemieckich i francuskich garbarni i odbywając w nich paromiesięczne praktyki, aby zapoznać się z różnymi technologiami w swoim fachu. W Paryżu studiował w Collège de France, słuchając m.in. wykładów Adama Mickiewicza. Szczegółowe notatki z tych wykładów spłonęły w czasie powstania warszawskiego. W stolicy Francji zaprzyjaźnił się z właścicielem warszawskiej garbarni, dziewięć lat starszym Ludwikiem Szwede. Wracając, spotkał w Berlinie Stanisława Pfeiffera, syna warszawskiego garbarza (przyszłego szwagra), odbywającego podobną pieszą podróż po niemieckich i francuskich garbarniach. Wówczas uważano, że podróżując pieszo, lepiej się poznaje kraj i ludzi, a dzięki temu doszlifowuje się obce języki.

Romantyk z garbarni

Gdy Aleksander wrócił z Paryża, jego ojciec wycofał się z interesów, przekazując w 1848 r. garbarnię jemu i jego bratu Karolowi.

Do zwyczajów mieszkańców Warszawy należało udawanie się w Zielone Świątki (zwłaszcza w drugi ich dzień) na przejażdżkę do Lasku Bielańskiego położonego na północ od Warszawy. Niewiasty z dobrych domów jechały tam powozami, młodzi mężczyźni zaś konno. Na takiej przejażdżce w 1851 r. Aleksander Temler ujrzał w jednym z powozów dziewczę, w którym z miejsca się zakochał. Pojechał za powozem do Warszawy, zobaczył, gdzie mieszka i kim jest jej ojciec. Następnego dnia wybrał się doń z prośbą o zgodę na składanie wizyt jego córce. Tym ojcem był właściciel wielkiego przedsiębiorstwa budowlanego Ferdynand Granzow (1799–1860), absolwent berlińskiej architektury i budownictwa, który zbudował kościół Wszystkich Świętych i Hotel Europejski w Warszawie, pałac w Skierniewicach i wiele innych. Granzow zgodził się na wizyty, zastrzegając, że jego córka Emilia (1836–1925) ma dopiero 15 lat! Aleksander odrzekł, że poczeka. Trzy lata później odbył się ich ślub, a młodzi zamieszkali przy ul. Ogrodowej 13/15.

Aleksander był bardzo zakochany w żonie. Ze wszystkich podróży, gdy jechał bez niej, przysyłał jej listy ze szczegółowymi opisami tego, co robił i co widział. W domu to ona rządziła, pozostawiając mężowi sprawy fabryki i innych jego zawodowych oraz społecznych »

FOT. MBC.CYFROWEMAZOWSZE.PL

eprasa.pl e761a75206

» spraw, a potrafiła bardzo emocjonalnie reagować, gdy coś szło nie po jej myśli. Obowiązywała wówczas zasada, że w pierwszym dniu Bożego Narodzenia i Wielkanocy nie wolno było się kłócić, gniewać i podnosić głosu. Na Boże Narodzenie wielki stół zastawiony potrawami (w tym 12 rybnych!) zaścielany był kosztownym świątecznym, śnieżnobiałym obrusem. I w taki dzień Aleksander potrącił kieliszek napełniony czerwonym winem, które wielką strugą popłynęło po obrusie (wtedy nie było odplamiaczy, proszków do prania ani pralek). Na to jego żona poczerwieniała, ale rzekła: „No nic, to się wypierze", bo to był pierwszy dzień świąt!

„Książę przemysłu"

W 1859 r. Aleksander i Karol Temlerowie przyjęli do spółki Ludwika Szwede, co pozwoliło na znaczny rozwój garbarni i wybudowanie większego zakładu przy ul. Okopowej. W 1879 r. spółkę przekształcono w Towarzystwo Akcyjne Temler i Szwede. Wkrótce stało się ono największe w swojej branży w Królestwie Polskim. Dochody z fabryki Aleksander inwestował w rozwój przemysłu. Był współzałożycielem i współwłaścicielem fabryk Bormann i Szwede, produkującej aparaturę dla przemysłu spożywczego, oraz Norblin, Bracia Buch i Teodor Werner, produkującej wyroby srebrne i platerowane. Firmy te przynosiły Aleksandrowi też ogromne dochody, sięgające w pewnych latach łącznie 70 tys. rubli. Dochody te były efektem zdolności i przedsiębiorczości oraz ogromnej pracowitości Aleksandra. W literaturze pisze się o długim, nieraz kilkunastogodzinnym dniu pracy robotnika fabrycznego. Nie mówi się jednak, że dzień pracy właściciela fabryki nie był krótszy, a nieraz był nawet dłuższy.

W interesie Polaków był rozwój gospodarczy kraju, a do tego konieczne były pieniądze, i to polskie. Aleksander więc współtworzył instytucje finansowe, które miały to zapewnić. W 1870 r. z pomocą bankiera Leopolda Kronenberga zorganizował Kasę Pożyczkową Przemysłowców Warszawskich (na jej kapitał zakładowy złożyli się polscy przemysłowcy), instytucję kredytową dla średniego i drobnego przemysłu i wiele lat był jej prezesem, oczywiście społecznie. Również w 1870 r., też z Kronenbergiem, założył Bank Handlowy, który posiadał oddziały w wielu miastach Imperium

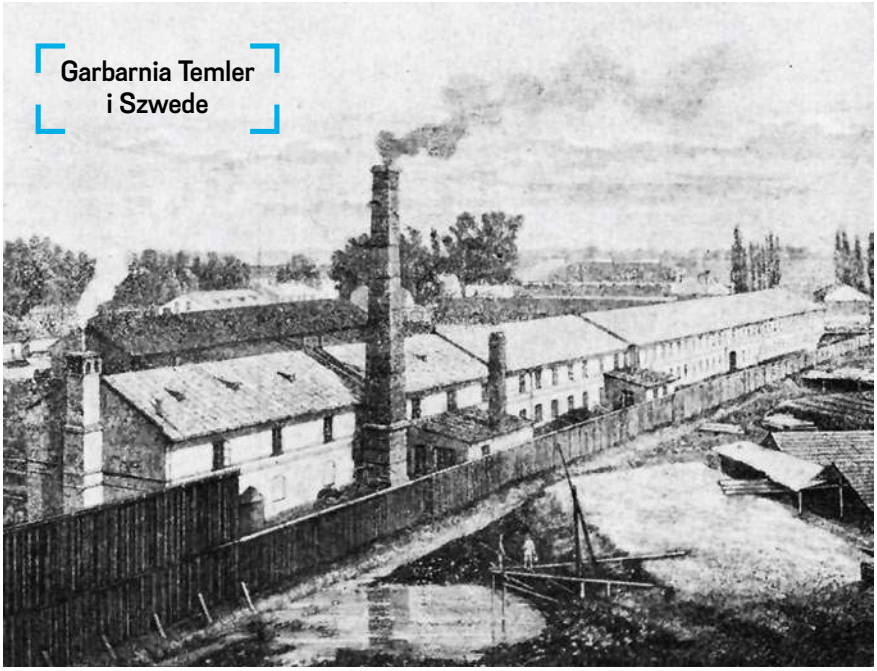
Garbarnia Temler i Szwede

FOT. ARCHIWUM

Rosyjskiego i w Niemczech. Na początku XX w. jego obroty wynosiły 2 mld rubli, czyli więcej niż budżet Rosji carskiej! W tym samym roku przyczynił się też Temler do założenia Towarzystwa Kredytowego Miejskiego w Warszawie, instytucji udzielającej kredytów długoterminowych, i przez 32 lata był członkiem jego Komitetu Nadzorczego. Wraz z Leopoldem Kronenbergiem i księciem Janem Tadeuszem Lubomirskim zakładał spółki rolnicze, zrzeszenia rzemieślnicze i kasy pożyczkowe oraz kilka warsztatów rzemieślniczych. Nazywano wtedy Aleksandra „księciem polskiego przemysłu".

Patriotyzm Aleksandra przejawiał się nie tylko na polu gospodarczym. W 1861 r. był sygnatariuszem listu do Kolegium Kościelnego parafii ewangelicko-augsburskiej Świętej Trójcy w Warszawie, domagając się języka polskiego w nabożeństwach, które prowadzone były w języku niemieckim. W wyniku tej interwencji od 1863 r. odprawiano je również po polsku. Aleksander był członkiem Kolegium Kościelnego i przekazał na rzecz parafii znaczne sumy pieniędzy.

Działalność społeczna

We wrześniu 1861 r. został wybrany do Rady Miejskiej Warszawy jako jeden z 24 jej członków. Od 1867 r. był przez kilka lat sędzią Trybunału Handlowego. Po wybuchu powstania styczniowego Aleksander wspierał je finansowo, a do oddziałów Langiewicza i Taczanowskiego wysyłał transporty uprzęży końskich i siodeł wytwarzanych w garbarni. Został za to osadzony w Cytadeli, a wypuszczony z niej po jakimś czasie dzięki wpłaceniu wielkiej kaucji przez Leopolda Kronenberga. Od dalszych prześladowań, więzienia czy zsyłki na Sybir uchronił go margrabia Wielopolski, mający uznanie dla jego działalności gospodarczej i społecznej. Aleksander należał w 1875 r. do założycieli i sponsorów budowy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, posiadającego od 1881 r. własny budynek przy Krakowskim Przedmieściu. Przyczynił się do zakładania Osad Rolnych w Studzieńcu, zakładu resocjalizacji nieletnich i wspierał je finansowo. Od 1881 r. należał do warszawskiej Fundacji Szkolnej Przemysłowców. Był też jednym z 12 sponsorów renowacji kolumny Zygmunta na pl. Zamkowym w Warszawie w 1887 r., ofiarowując na ten cel 5 tys. rubli, kwotę wtedy bardzo znaczną.

Temler uważał, że mając duże dochody, winien się dzielić nimi z innymi. Dbał o warunki bytowe pracowników swej fabryki. Działały tam: kasa pożyczkowo-oszczędnościowa dla robotników, „kasa przezorności" dla urzędników i „kasa wsparć dla wdów i starców". Był współorganizatorem powstałego w 1898 r. Przytułku dla Podupadłych Rzemieślników i Robotników Fabrycznych w Warszawie. Przy garbarni otworzył szkołę dla 120 dzieci. Wybudował też

eprasa.pl e761a75206

dom, w którym robotnicy fabryki mieli „tanie i zdrowe lokale, za umiarkowaną opłatą". Finansował dobroczynne instytucje, takie jak jadłodajnia Posiłek dla najbiedniejszej ludności i żłobek. Po zamieszkach w Warszawie w grudniu 1881 r. wspomógł materialnie tysiąc poszkodowanych rodzin. Jego żona ufundowała ochronkę i szwalnię.

Aleksander wiele podróżował. W 1886 r. był w Egipcie, w Ziemi Świętej, Turcji i Grecji. W 1893 r. pojawił się na Wystawie Światowej w Chicago i zwiedził przy okazji Nowy Jork, Filadelfię, Waszyngton i był przy wodospadzie Niagara. Wielokrotnie jeździł do Włoch i Francji, zwłaszcza na Riwierę (m.in. do Monte Carlo, gdzie grał w kasynie tylko do kwoty pięciu rubli) i do wielu miejscowości wypoczynkowych oraz uzdrowiskowych. Był częstym gościem w Zakopanem. Początkowo jeździł tam furką z Krakowa, a po otwarciu w 1884 r. linii kolejowej do Chabówki, stamtąd furką góralską. W wieku 80 lat wszedł na Giewont. Przepowiadał, że jak Niemcy wejdą do Warszawy, to pl. Teatralny porośnie trawą. Po 30 latach to się sprawdziło. Zmarł 22 października 1917 r. w Warszawie i został tam pochowany na cmentarzu ewangelicko-augsburskim.

Dzieci, dzieci...

Miał siedmioro dzieci. Najstarszy syn Ludwik (1857–1938) był mecenasem malarzy. To on sprowadził wypchane ptaki, gdy Chełmoński malował obraz „Kuropatwy". Ten i „Niedziela", i wiele innych obrazów tego malarza zostało własnością Ludwika.

Z trzech córek najstarsza Julia (1858–1931) była bardzo muzykalna i miała ładny, silny głos. Będąc jako nastolatka z rodzicami w Paryżu, bywała z nimi na różnych przyjęciach. Przyjęte wtedy było, że młoda panna poproszona przez gospodarzy zabawiała gości śpiewem. Pewnego razu Julia zaśpiewała kilka pieśni. Obecny przy tym dyrektor Opery Paryskiej zachwycił się jej głosem i za zgodą rodziców zorganizował na scenie Opery próbę, a następnie zaproponował Julii angaż. Oczywiście rodzice słyszeć o tym nie chcieli („artystka?!") i przyspieszyli powrót do domu. Wkrótce Julia wyszła za swego kuzyna Władysława, a jej siostra Emilia za jego brata Stanisława Pfeiffra. Siostra Aleksandra, Zuzanna, była żoną Stanisława Pfeiffra, właściciela wielkiej garbarni w Warszawie. Najmłodsza córka wyszła za Konstantego Schiele, właściciela Browaru Haberbusch i Schiele.

Jeden z synów Julii, Bolesław, chodził w Warszawie do państwowej szkoły. Był tam inspektor (jak opisany w „Syzyfowych pracach" Żeromskiego), Rosjanin. Miał on prawo przyjść do domu ucznia i grzebać w jego rzeczach, czy nie posiada on „zabronionych" pism lub książek. Gdy przychodził do domu Bolka, Julia przyjmowała go rozmową i wódeczką oraz wręczała mu w prezencie tomik poezji rosyjskich. W nim co kilka kartek tkwił banknot rublowy. Inspektor już nie kontrolował rzeczy ucznia i wychodził. Pytany potem przez Julię, jak mu się te wiersze podobały, odpowiadał, że „Śliczne, tylko szkoda, że w jednym tomie!". Ale Bolka i tak ze szkoły wyrzucono za odezwanie się na przerwie do kolegi po polsku.

Trzeci syn Aleksandra, Aleksander junior (1868–1919), ukończył politechnikę w Rydze. Do dobrego tonu należało wtedy bojkotowanie Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego utworzonego w miejsce zlikwidowanej w 1869 r. Warszawskiej Szkoły Głównej. Dlatego ci, których było na to stać, studiowali w innych miastach Imperium Rosyjskiego lub poza jego granicami. Aleksander był wysoki, bardzo silny, miał kawaleryjską fantazję i wybuchowy charakter. Pracował w rodzinnej garbarni, ale bardziej cenił sobie sztuki piękne, rozrywki i życie towarzyskie. Po Warszawie jeździł, samemu powożąc zaprzężoną w jednego konia „biedką" (dwukółką), zawsze kłusem. W okresie, gdy robiono zamachy bombowe na władze carskie, przed ratuszem na pl. Teatralnym był zakaz szybkiej jazdy. Jednak Aleksander jr lekceważył rosyjskie przepisy i jechał przed ratuszem też kłusem. Na to wybiegł mu naprzeciw rosyjski wartownik sprzed ratusza, nastawiając karabin. Rozgniewany tym Aleksander jr chwycił za kołnierz wartownika, wciągnął go do „biedki", wsadził między kolana głową do dołu i obwiózł go fikającego w górze nogami wokół placu ku uciesze publiczności. Wyrzucił jego i jego karabin przed ratuszem i dalej pojechał kłusem. Nieznana jest kwota łapówek wręczonych rosyjskim władzom, aby zdarzenie to nie pociągnęło za sobą przykrych konsekwencji.

W warszawskich restauracjach, poza salą ogólną, były też „gabinety", pokoje, w których można było się spotkać w towarzystwie paru osób. Taki gabinet Aleksander zarezerwował w jednej z restauracji na spotkanie z kilkoma przyjaciółmi. Gdy przyszedł tam nieco wcześniej, właściciel lokalu bardzo go przepraszał, że jego gabinet zajęli oficerowie Gwardii Cesarskiej, nie zważając na rezerwację. Wówczas Aleksander jr podjął się samemu rozmowy z tymi oficerami, obiecując, że załatwi to dyplomatycznie. Wszedł do gabinetu, gdzie za stołem siedziało czterech oficerów rosyjskich w mundurach, z szablami u boku. Grzecznie (oczywiście po francusku) poprosił ich, aby przenieśli się do sali ogólnej, bo ten gabinet on wcześniej zarezerwował. Oni, już nieco podpici, odpowiedzieli mu bardzo niegrzecznie. Aleksander jr się zdenerwował i błyskawicznie po kolei brał ich za kołnierz i nogi i wyrzucał przez (zamknięte) okno (lokal był na parterze). Ostatniego musiał wyciągać spod stołu, gdzie się chował. Bladego ze strachu właściciela lokalu prosił o szybkie wstawienie wybitych szyb i zrobienie porządku, bo zaraz mają przyjść umówieni goście. Wydarzenie nie miało żadnych konsekwencji, bo oficerowie gwardii, zazwyczaj z arystokratycznych rodów, woleli się nie chwalić tym, że jeden cywil gołymi rękami wyrzucił przez okno ich czterech uzbrojonych.

PISZE SIĘ O KILKUNASTOGODZINNYM DNIU PRACY ROBOTNIKA FABRYCZNEGO – DZIEŃ PRACY WŁAŚCICIELA FABRYKI BYŁ NAWET DŁUŻSZY

eprasa.pl e761a75206

NAPOLEOŃSKA JESIEŃ 1806 r.: POGROM PRUS I SZANSA DLA POLSKI

PIERWSZA RUNDA WOJNY Z IV KOALICJĄ – SPROWADZAJĄCA SIĘ DO KRÓTKIEJ KAMPANII JENAJSKIEJ – BYŁA JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ PIORUNUJĄCYCH OPERACJI „BOGA WOJNY", NIEKIEDY STAWIANĄ PONAD ROK WCZEŚNIEJSZĄ ROZGRYWKĘ ZAKOŃCZONĄ POD AUSTERLITZ. Z POLSKIEGO PUNKTU WIDZENIA WAŻNIEJSZE BYŁO JEDNAK CO INNEGO. W PAŹDZIERNIKU 1806 r. PRUSY ZOSTAŁY WYELIMINOWANE Z GRY, NIEPEWNE POZOSTAWAŁO JEDNAK, CZY NAPOLEON PÓJDZIE ZA CIOSEM – I JAK DALEKO

DOMINIK SZCZĘSNY-KOSTANECKI

C. Meynier, „Napoleon wkraczający do Berlina", 1810

Można zaryzykować tezę, że na początku XIX w. państwo Hohenzollernów padło ofiarą własnego sukcesu. Z jednej bowiem strony dzięki rozbiorom Rzeczypospolitej Prusy zwiększyły swą powierzchnię o ok. 200 tys. km kw. wraz z 2,5 mln nowych poddanych wzmacniających zasoby ludzkie choćby dla kantonalnego systemu poboru wojskowego. Jednocześnie – do końca roku 1805 – wychodziły obronną ręką z dotychczasowych wojen toczonych przez Europę z rewolucyjno-napoleońską siłą. Co więcej, za odmowę wzięcia udziału w rozprawie zakończonej klęską sprzymierzonych pod Austerlitz, przed Fryderykiem Wilhelmem III zamajaczyła szansa, by za cenę pewnych ustępstw przejąć kontrolę nad ważnym strategicznie Hanowerem.

Pycha i antyfrancuska histeria

I nagle wszystko to, co wydawało się sprzyjać domowi brandenburskiemu, obróciło się na jego niekorzyść. W lipcu 1806 r., kładąc kres istniejącemu blisko 900 lat Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu, 16 państw niemieckich utworzyło – za namową i pod protektoratem Napoleona – nowy byt polityczny w postaci Związku Reńskiego. W ten sposób granica między Prusami a francuską strefą wpływów utworzyła łuk obejmujący je od zachodu i południa. Jakby tego było mało, do rangi królestw wyniesione zostały Bawaria i Wirtembergia, co sprawiło, że rządzące w tych krajach dynastie zrównywały się prestiżem z Hohenzollernami. Gdy wreszcie Fryderyk Wilhelm zorientował się, że Napoleon Hanoweru nie odda, wobec czego dotychczasowy bilans układów z Francją nie wychodzi nawet na zero, ale zaczyna przynosić straty – nastąpił punkt zwrotny.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE (2X)

eprasa.pl e761a75206

Na dworze berlińskim i wśród junkierskiej kadry oficerskiej – w tych dwóch kręgach przede wszystkim – wybuchła antyfrancuska histeria, istny spektakl nienawiści, budzący najgorsze skojarzenia z wiecami pewnego austriackiego malarza... Amokowi temu patronowała jedna z bardziej wpływowych kobiet tamtego okresu, żona władcy Prus i kochanka cara Rosji – królowa Luiza. Do legendy przeszły opowieści o tym, jak jeżdżąc konno wśród żołnierzy, dopingowała ich w antynapoleońskim uniesieniu. Podobnie jak smakowita anegdota o pruskich żołnierzach ostentacyjnie ostrzących swe szable na stopniach francuskiej ambasady. Uczciwie wierzono, że armię cechują te same przymioty, co pół wieku wcześniej, w okresie wojny siedmioletniej. Rossbach – toponimik symbolizujący zwycięską szarżę kawalerii na oddziały francuskie – było na ustach wszystkich.

Wszystko to było złudzeniem. Pruski system manewrowania, nieznający m.in. tyraliery ani czworoboku, pozostawał przeżytkiem wobec nadzwyczajnej sprężystości Wielkiej Armii. Nie było zresztą się komu tych nowinek uczyć – na czele korpusu oficerskiego stali bowiem ludzie, którzy dawno powinni przejść w stan spoczynku. Do tego dochodził o wiele słabszy – w porównaniu z francuskim – duch bojowy. O ile poborowy żołnierz Napoleona wiedział, że „w plecaku nosi buławę marszałkowską", o tyle pruskiego gemaina motywował głównie strach przed własnym kapralem. Można sobie tylko wyobrazić, jak nisko spadało jego morale, jeśli jeszcze pochodził z owych 2,5 mln nowych poddanych, a odczuwał związek z dawną Rzecząpospolitą.

Rozbici Prusacy i co dalej?

I stało się: dwa tygodnie po tym, jak pewny swego Fryderyk Wilhelm III wystosował do Paryża ultimatum z żądaniem wycofania oddziałów francuskich za linię Renu, śmiałym manewrem wszedłszy na tyły pruskiej armii, Napoleon pod Jeną i „żelazny marszałek" Louis-Nicolas Davout pod Auerstädt, dokonali istnego pogromu przeciwnika. Zwyczajowo wymienia się owe stoczone 14 października bitwy w tej właśnie kolejności, de facto jednak decydujące znaczenie miało Auerstädt, właśnie tu bowiem dowódca III korpusu w nadzwyczaj trudnych warunkach pokonał – przy dwukrotnym dezawantażu – gros sił przeciwnika dowodzonych przez zdolnego księcia Brunszwiku, przy których znajdował się sam król, gdy tymczasem „bóg wojny" z łatwością rozprawiał się z o wiele mniej licznym korpusem osłonowym.

Kolejne dwa tygodnie później Cesarz rozpoczął swój miesięczny pobyt w zdobytym Berlinie. Nadrzędną kwestią, jaką przyszło mu wówczas rozważyć, było pytanie, czy zakończyć rozprawę z Prusami niejako na linii Odry, podpisać korzystny pokój i w glorii chwały wrócić do Paryża, czy też podjąć dalszą walkę, obliczoną być może nawet na całkowitą likwidację „zbójeckiego", za jakie je uważał, państwa Hohenzollernów – postulat taki padnie podczas rozmów w Tylży – ale która wiązałaby się niechybnie z kontrakcją Rosji przerażonej wkroczeniem Francuzów na ziemie polskie. Wobec tych połączonych alternatyw można z powodzeniem bronić tezy, że w tych dniach bardziej, niż to miało miejsce pod Iławą Pruską czy Frydlandem, decydował się dalszy los Polaków. Nie tyle Polski – do rezurekcji państwa było jeszcze daleko – ile właśnie narodu.

Gdyby wojna z IV koalicją zakończyła się w listopadzie 1806 r., a gen J.H. Dąbrowski – wezwany przez cesarza celem zorganizowania antypruskiej dywersji – zostałby wskutek przerwania działań zbrojnych odprawiony, nie tylko nigdy nie powstałoby Księstwo Warszawskie, a par conséquence również Królestwo Kongresowe, ale pewnie rodzime procesy narodowotwórcze uległyby znacznemu opóźnieniu. W tym scenariuszu Napoleon zapisałby się w zbiorowej pamięci nie jako „jedyny mocarz" – słowa są Szymona Askenazego – dla którego Polska bądź co bądź „zachowała serce", ale przetrwałby w niej w charakterze cynicznego gracza wykorzystującego polską ofiarność. Mniejsza, że do walki z Austrią – tę można było tłumaczyć potrzebą szarpania wroga – ale przede wszystkim do pacyfikowania Bogu ducha winnych Murzynów z San Domingo.

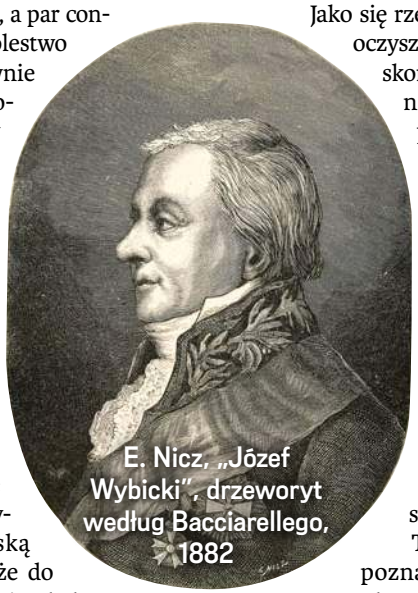

E. Nicz, „Józef Wybicki", drzeworyt według Bacciarellego, 1882

Napoleon z Polakami – Polacy z Napoleonem

Na szczęście zwyciężyła opcja pierwsza. 3 listopada w Berlinie przed Napoleonem ponownie stawił się Dąbrowski, tym razem w towarzystwie swego najbliższego współpracownika z okresu legionowego. Józef Wybicki – bo o nim mowa – w nadchodzących wydarzeniach odegrał rolę trudną do przecenienia, choć w społecznym odbiorze jakby niedoszacowaną. Po pierwsze, to właśnie autor pieśni Legionów Polskich we Włoszech zredagował słynną odezwę do mieszkańców Wielkopolski, w której obaj politycy wzywali do wstępowania w szeregi narodowego wojska, co wobec stacjonowania na tym terenie załóg pruskich było równoznaczne z wybuchem powstania. Odezwa głosiła: „Napoleon Wielki, niezwyciężony wchodzi w trzykroć sto tysięcy wojska do Polski. »Obaczę – powiedział nam [...], jeżeli Polacy godni są być Narodem«".

Powstanie odnosiło sukcesy. W dużej mierze – i to jest po drugie – było to zasługą Wybickiego, metodą faktów dokonanych „organizującego rząd administracyjny". Oczywiście praca cywilna nie zdałaby się na nic, gdyby nie równie sprawna organizacja wojska będąca dziełem samego Dąbrowskiego. W założeniu armia miała się dzielić na trzy 10-tysięczne dywizje: poznańską pod komendą twórcy Legionów, kaliską J. Zajączka i warszawską J. Poniatowskiego.

Jako się rzekło, polska insurekcja oczyszczająca przedpole wojskom napoleońskim miała nad wyraz pomyślny przebieg. Pruskie garnizony kapitulowały jeden po drugim. Kalisz wpadł w ręce powstańców już 7 listopada. Do legendy przeszło zdobycie twierdzy częstochowskiej, której nie zmógł szwedzki potop, zajętej jednak przez 150–200 powstańców wspomaganych przez szwadron kawalerii.

Tak oto Polacy dawali poznać, że „godni są być narodem"... Często się mówi, że Napoleon wciągał Polaków do swoich rozgrywek. Być może to prawda. Ale w takim razie równie prawdziwa jest uwaga poczyniona przez prof. A. Zahorskiego, iż Polacy – dodajmy: z powodzeniem – wciągali Napoleona w swoje sprawy tak, by już nie mógł ich porzucić. Lata 1812–1813 dały tego dowód: powstali u jego boku i klęskę również ponieśli razem.

eprasa.pl e761a75206

60 SEKUND HISTORII

KONKURSY FILMOWE FUNDACJI PATRIA NOSTRA

HISTORIA TO JEDEN Z FUNDAMENTALNYCH SKŁADNIKÓW POLSKOŚCI. NIEZMIERNIE WAŻNE JEST, ABYŚMY JĄ ZNALI I O NIEJ PAMIĘTALI. TYMI WŁAŚNIE WARTOŚCIAMI KIERUJE SIĘ NASZA FUNDACJA, ORGANIZUJĄC JUŻ VI EDYCJĘ FILMOWEGO KONKURSU HISTORYCZNEGO „PATRIA NOSTRA"

Konkurs filmowy Fundacji Patria Nostra miał dotychczas 13 odsłon. Łącznie wzięło w nim udział 4 tys. uczniów i nauczycieli, powstało już blisko tysiąc filmów i animacji. Dwie pierwsze edycje obejmowały Mazowsze, następnie poszerzyliśmy zasięg konkursu o Małopolskę i Wielkopolskę. W 2018 r. po raz pierwszy konkurs został zaadresowany także do młodzieży polonijnej.

Filmowy Konkurs Historyczny „Patria Nostra" inspiruje młodzież polską na całym świecie do wnikania w procesy historyczne, które ukształtowały współczesny świat, dzięki czemu mogą lepiej zrozumieć otaczającą rzeczywistość. Prace uczestników konkursu są coraz lepsze. Powstają z użyciem technik animacji lub z wykorzystaniem gry aktorskiej, rekwizytów dotyczących podejmowanego wydarzenia (np. do jednego z filmów w V edycji konkursu wynajęto autentyczny wagon, którego Niemcy używali do przewożenia więźniów do Auschwitz). Zdarza się też, że film czy animacja jest wynikiem pracy badawczej nad danym epizodem.

Młodzież mobilizuje się też dzięki rosnącemu prestiżowi konkursu, który jest objęty patronatem wielu ważnych i szanowanych osób oraz instytucji. Nad poprawnością merytoryczną wszystkich dzieł czuwa Rada Programowa, której przewodniczącym jest prof. Jan Żaryn. Trud uczestników jest honorowany cennymi nagrodami fundowanymi przez partnerów konkursu, wręczanymi podczas uroczystych gal finałowych, a także emisją zwycięskich prac na telebimach w miejscach publicznych w Warszawie.

Za wielki sukces nasza fundacja poczytuje sobie przeprowadzenie filmowych konkursów historycznych w roku 2020, w trudnej sytuacji epidemii COVID-19. Do zmagań konkursowych przystąpiło wówczas 1,1 tys, uczniów i nauczycieli z Polski i spośród Polonii. Uczestnicy nadesłali blisko 300 filmów związanych z historią naszego kraju.

14 listopada 2020 r. odbyła się również finałowa gala konkursu Patria Nostra – edycja światowa. Niestety w związku z pandemią nie dane nam było spotkać się z młodzieżą polonijną osobiście. W uroczystym wydarzeniu zorganizowanym za pośrednictwem komunikatora Zoom wzięły udział wszystkie drużyny zgłoszone do konkursu. Było ich aż 76! Ich członkowie pełni emocji uczestniczyli w gali finałowej i byli bardzo dumni z możliwości zaprezentowania siebie oraz szkoły na wydarzeniu o tak szerokim zasięgu.

W ramach aktualnej VI edycji konkursu zrealizowane zostaną trzy odrębne konkursy dla młodzieży polskiej z finałami w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. W każdym z trzech konkursów weźmie dodatkowo udział siedem drużyn polonijnych. Czwartym konkursem jest konkurs międzynarodowy skierowany wyłącznie do Polonii. W każdym z czterech konkursów weźmie udział ok. 80 drużyn czteroosobowych.

Formuła prac konkursowych pozwala na wykorzystanie nowoczesnych technologii przekazu filmowego w edukacji historycznej. Prace konkursowe to animacje lub filmy o długości 60 sekund, prezentujące ważne wydarzenia historyczne. Zostaną opublikowane na stronie konkursu, a także będą emitowane za pośrednictwem mediów polonijnych oraz wyświetlane na telebimach.

W prace fundacji zaangażowana jest prezes Nataliya Volynets, fundator fundacji Mirosław Gryko oraz co najmniej czterech wolontariuszy współpracujących na stałe i doświadczonych podczas organizacji wcześniejszych edycji konkursu. Osoby zaangażowane w projekt tworzą go od samego początku i były obecne przy opracowaniu koncepcji oraz realizacji od pierwszej jego edycji (2015 r.).

Jako Fundacja Patria Nostra jesteśmy niezwykle zaszczyceni, że mamy możliwość przyczynić się do propagowania historii wśród najmłodszego pokolenia Polaków.

Niezwykle cieszy nas to, że młodzież tak chętnie uczestniczy w kolejnych edycjach konkursu i że z roku na rok poziom prac przesyłanych przez kolejne drużyny stale się podnosi. Kreatywność uczestników związana z wykorzystywaniem coraz to nowych technik tworzenia filmów i animacji wielokrotnie budzi podziw oraz zachwyt w naszym zespole.

Cieszy nas również, że udało się nam połączyć oczywiste zainteresowanie młodych ludzi nowoczesną technologią z nauką o historii Polski. Zdajemy sobie sprawę, że czas spędzony przy tworzeniu inscenizacji filmowych bardzo często owocuje przyjaźniami między uczestnikami, co daje nam ogromną siłę do działania.

Już jesienią nabór do VII edycji konkursu – zapraszamy: https://konkurs-patrianostra.pl/

EMILIA BARANOWSKA

FOT. SHUTERSTOCK

eprasa.pl e761a75206

POLSKIE LOTNICTWO KOMUNIKACYJNE II RP

PORÓWNANIE STANU LOTNICTWA Z LAT 30. XX w. I WSPÓŁCZESNEGO POZWOLI OCENIĆ SKALĘ POSTĘPU

Lotnisko cywilne w Krakowie, rok 1929. Na płycie samoloty pasażerskie Junkers F-13 w barwach PLL Aerolot

PIOTR ŚWIĄTECKI

Z góry Czytelnik proszony jest o wybaczenie... Sporo jest w tekście liczb, ale bez nich nie byłoby skutecznych porównań. Komunikacyjne lotnictwo cywilne istnieje nieco ponad sto lat. W tym czasie mogliśmy zaobserwować jego niezwykły rozwój. Polska bierze udział w tym fascynującym wyścigu cywilizacyjnym od początku. W tym tekście jest mowa o komunikacji lotniczej, czyli o odpłatnym przewozie pasażerów dokonywanym regularnie (wg rozkładu). Tak pojmowane lotnictwo komunikacyjne pojawiło się na świecie po I wojnie światowej jako wynik szybkiego rozwoju techniki towarzyszącego zmaganiom. Polacy byli w awangardzie – pierwszy polski pilot samolotu, inżynier Michał Scipio del Campo, już w 1910 r. zdobył w aeroklubie francuskim licencję pilota.

Początki

W 1921 r. francuskie linie lotnicze CIDNA uruchomiły komunikację między Warszawą a czeską Pragą, z której można było lecieć dalej – do Paryża. W 1922 r. polski przewoźnik – Aerolloyd (późniejsza nazwa Aerolot) rozpoczął przewozy na krajowej linii z Gdańska przez Warszawę do Lwowa (wówczas to centrum przemysłu naftowego!) czteroosobowymi junkersami (notabene to za pośrednictwem tej właśnie firmy – Junkersa – rząd niemiecki po cichu wspierał rozwój tego przewoźnika w Polsce). W 1925 r. samorząd poznański powołał kolejną lotniczą firmę – Aero, obsługującą linię Warszawa – Poznań. Wkrótce przyszedł czas na to, by niewidzialną, acz niezbyt zręczną rękę rynku zastąpiła silna wola polityczna.

Powstaje LOT

14 marca 1928 r. prezydent RP rozporządzeniem z mocą ustawy ustanowił pierwsze polskie prawo lotnicze – i zaczęły się porządki. W 1929 r. kontrolę nad komunikacją lotniczą przejęła administracja publiczna, a PLL LOT Sp. z o.o. przejęła mienie Aerolotu i Aera. Na 8 mln zł kapitału zakładowego LOT złożyły się środki skarbu państwa, samorządów śląskich, miast: Poznania i Bydgoszczy. LOT połączył Warszawę z Gdańskiem, Poznaniem, Lwowem, Katowicami i dalej – Brnem i Wiedniem. Później stolica uzyskała połączenia z Wilnem, Rygą, Tallinem, Helsinkami, Bukaresztem, Sofią, Salonikami, Atenami, Rodos i Lyddą w Palestynie. Za granicą LOT rozwijał sieć połączeń południkowo, ze względu na złożone relacje z sąsiadami: zachodnim i wschodnim. Dopiero w końcu dekady powstały połączenia Warszawy z Berlinem, Londynem, Bejrutem, Kopenhagą i Rzymem.

Już od 1924 r. komunikacja lotnicza w Polsce była prowadzona również w zimie. W sezonie 1932–1933 było dużo śniegu, więc samolotom do startów i lądowań założono płozy zamiast kół.

Samoloty

Początkowo wykorzystywano maszyny Fokker F II – zabierające ośmiu pasażerów i dwóch członków załogi, produkowane od pewnego momentu na licencji w Lublinie, oraz sześciomiejscowe »

eprasa.pl e761a75206

» junkersy. Na początku lat 30. LOT wprowadził do służby polskie sześcio- i dziesięcioosobowe samoloty PWS produkowane – jak akronim wskazuje – w Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Białej Podlaskiej, wyposażone w silniki Skoda Wright, które produkowała polska fabryka Skody pod Warszawą.

Maszyny początku lat 30. zapewniały wysoki komfort podróży, gdyż miały kajuty szczelne i ogrzewane. Na wszelki wypadek jednak zalecano zabranie na pokład pledu (wypożyczalnia była na każdym lotnisku), ze względu na przeciągi. Dozwolone było bowiem otwieranie okien, co pozwalało lepiej obserwować krajobraz przesuwający się za oknami samolotu lecącego z prędkością ok. 150 km/h na wysokości ok. 1 tys. m.

Zatrzymajmy się przy tych liczbach i porównajmy ze współczesnymi wartościami. Od 10 lat LOT użytkuje boeingi 787 – dreamlinery. Samolot ten korzysta z dróg lotniczych na wysokości ok. 10 km (10 razy wyżej niż w 1933 r.), porusza się z prędkością do 950 km/h (sześciokrotnie szybciej niż w 1933 r.) i zabiera – w maksymalnej konfiguracji – do 330 pasażerów (55 razy więcej). A odwiedzający niekiedy Warszawę jumbo jet (boeing 747) może ich zabrać nawet 660...

Wybierając się w podróż lotniczą w 1933 r., oprócz wypożyczonego przez przewoźnika pledu warto było również skorzystać z waty udostępnionej w kabinie pasażerskiej. Zatkanie nią uszu pozwalało zapomnieć o niejednostajnym turkocie silników denerwującym zwłaszcza wówczas, gdy pilot któryś z nich wyłączył na chwilę... W kabinie w czasie lotu wolno było wstawać z miejsc, jedynie na czas startu i lądowania nakazywano przypiąć się do fotela. Wolno było w czasie lotu otwierać okno, ale nie wolno było otwierać drzwi, nie wolno też było wyrzucać czegokolwiek ani robić zdjęć lub palić tytoniu.

Droga przyjemność

Zajrzyjmy na warszawskie lotnisko na Polu Mokotowskim w czasie obowiązywania letniego rozkładu lotów PLL LOT – od 1 maja do 31 sierpnia 1933 r.

O 15:30 możemy polecieć do Gdańska-Wrzeszcza – zdążymy na połączenie do Berlina – bo o 17:30 startuje samolot Deutsch Russische Luftverkehrs Gesellschaft, a następnego dnia rano o 9:20 ta sama niemiecko-rosyjska firma zawiezie nas do Königsbergu (Królewca).

O 16:00 z Mokotowa codziennie odlatuje samolot do Poznania. A jak nie Poznań, to może skusimy się na połączenie 16:30 Warszawa – Katowice-Muchowiec. Są też loty poranne – 6:50 do Krakowa na Czyżyny, a może trochę później – 7:10 – do Wilna, albo o 10:30 – do Lwowa. Tylko trzy dni w tygodniu można skorzystać z lotu do Bydgoszczy (start o 15:45).

W CZASIE LOTU WOLNO BYŁO OTWIERAĆ OKNO, ALE NIE WOLNO BYŁO OTWIERAĆ DRZWI, NIE WOLNO TEŻ BYŁO WYRZUCAĆ CZEGOKOLWIEK ANI ROBIĆ ZDJĘĆ LUB PALIĆ TYTONIU

Bilety były drogie – w kraju od 35 zł na lot do Bydgoszczy do 50 zł do Wilna. Za granicę jeszcze drożej – od 90 zł do Rygi do 150 zł do Bukaresztu. 150 zł to wysokość zasadniczego uposażenia miesięcznego posterunkowego Policji Państwowej lub plutonowego w Wojsku Polskim. Senatorowie, posłowie, żołnierze służby czynnej i urzędnicy państwowi korzystali przy zakupie biletu z ulgi 50 proc.

Można też było samolot wynająć – dziesięcioosobowy za 2,40 zł za km. Do Bydgoszczy (250 km) kosztowałoby to, bagatela, 600 zł.

Było drogo, ale ludzie latali. GUS w roczniku 1939 pokazał dynamikę przewozów PLL LOT. Liczba pasażerów rocznie gwałtownie rosła: 1922 r. – tysiąc osób, 1933 r. – 14 tys., 1938 r. – 35 tys. (w 2019 r. przed pandemią z lotniska Okęcie w Warszawie skorzystało prawie 19 mln pasażerów...).

I jak to zwykle bywa, latali zamożni, ale płacili wszyscy. LOT korzystał z hojnych subwencji budżetowych, podobnie jak inni europejscy przewoźnicy lotniczy. Przyjmowano, że przychody wystarczały na pokrycie do 70 proc. kosztów. Ale prestiż posiadania własnego przewoźnika lotniczego był bezcenny.

Nowa technika

Budżet musiał znaleźć środki na opłacenie bieżących rachunków i na inwestycje. Od 1935/36 r. w PLL LOT wprowadzano nową generację amerykańskich samolotów Douglas DC2 i Lockheed Elektra, a w 1938 r. na polskim niebie pojawiły się najnowocześniejsze maszyny Lockheed L-14 Super Electra.

To była nowa jakość. Douglas DC-2 poruszał się z prędkością podróżną ok. 270 km/h, Lockheed Elektra – 306 km/h, Lockheed L–14 Super Electra rozpędzał się aż do 400 km/h i wznosił ponad 7 km nad ziemię. Tu już nie było mowy o otwieraniu okien, przy tych prędkościach i wysokościach kabiny musiały być hermetyczne. Maszyny zabierały po 10–12 pasażerów. Skończył się czas, w którym Polska była w stanie produkować nowoczesne samoloty pasażerskie, konkurujące z konstrukcjami z bardziej rozwiniętych przemysłowo krajów.

Polacy nie wzięli także udziału w budowie połączeń transoceanicznych. W 1930 r. Niemcy rozpoczęli przewozy pasażerskie z Europy do Ameryki Południowej, ale nie samolotami, lecz... sterowcami. Ten rodzaj komunikacji między kontynentami zakończył tragiczny pożar sterowca LZ-129 Hindenburg w Lakehurst w USA w trakcie lądowania (8 maja 1937 r.). Zginęły wówczas 34 osoby. W Polsce balony i sterowce były wykorzystywane w celach militarnych (wojska balonowe), naukowych i sportowych (Franciszek Hynek, Zbigniew Burzyński), nie doczekały się zastosowań komunikacyjnych.

Wracając zaś do komunikacji – nowe samoloty LOT – Lockheed i Douglas miały nie tylko większe osiągi (prędkości, udźwig, pojemność), lecz również nowocześniejsze wyposażenie nawigacyjne. Na ich pokładach pojawiły się urządzenia pozwalające na ustalanie położenia w przestrzeni (goniometry), a nawet radiolatarnie wspierające lądowanie w trudnych warunkach atmosferycznych.

Lotniska

Ówczesne samoloty nie wymagały nawierzchni sztucznych (betonowych, asfaltowych). Warszawskie lotnisko Moko-

eprasa.pl e761a75206

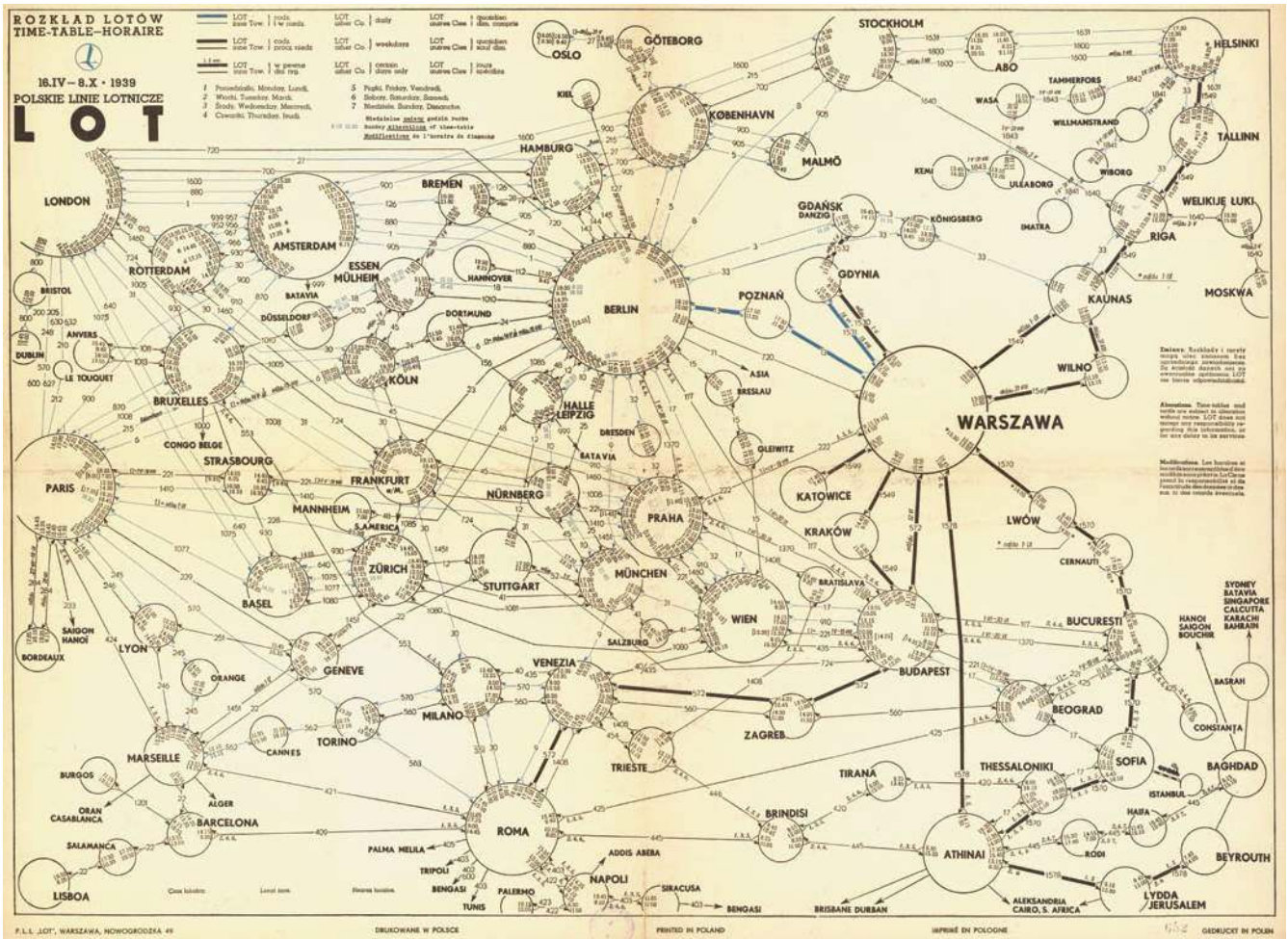

tów miało nawierzchnię gliniastą, krytą darnią; w informatorach ostrzegano pilotów przed... kretowiskami. Nieregularny wielobok mokotowskiego pola wzlotów rozciągał się na długości: NW–SE 470 m, E–W – 1200 m. Port lotniczy Bydgoszcz to nawierzchnia piaszczysta słabo porosła trawą, rozmiary pola wzlotów 900 x 800 m. Lotnisko Kraków-Czyżyny to gliniasto-piaszczyste pole wzlotów o wymiarach 1000 x 500 m. Port Poznań-Ławica dysponował piaszczystym polem wzlotów 1300 x 800 m (polem wzlotów nazywa się powierzchnię wyznaczoną do startów i lądowań statków powietrznych, podlegającą z tego względu szczególnym wymaganiom co do równości, braku przeszkód, ograniczeń dostępu osób trzecich itd.).

Paradoksalnie, brak dróg startowych ułatwiał lądowania zwłaszcza w warunkach ograniczonej widoczności, pilot nie musiał bowiem ustawiać się w osi wyznaczonej drogi do lądowania. Dwie prędkości – oderwania się od ziemi przy starcie i przyziemienia przy lądowaniu – były na tyle małe, że można było jeszcze korzystać z naturalnych, trawiastych, piaszczystych i gliniastych nawierzchni, sporadycznie porytych kretowiskami.

II wojna światowa wydatnie przyspieszyła postęp techniczny, m.in. prowadząc do takich zmian konstrukcyjnych samolotów (zwiększenie masy oraz prędkości startu i lądowania), które zmusiły do budowy dróg startowych o nawierzchni sztucznej. Wojskowe lotnisko Okęcie doczekało się pierwszej betonowej drogi startowej w 1940 r. – wybudowały ją oddziały inżynieryjne Luftwaffe.

Dokąd zmierzamy?

Rozwój urządzeń nawigacyjnych, ułatwiających pracę pilotom, od lat 30. XX w. do dziś wymyka się wszelkim porównaniom. Nowoczesne wyposażenie radiowe (ILS – Instrument Landing System) i świetlne pozwala nawet (jeszcze co prawda nie w Polsce) w warunkach złej widoczności (noc, mgła) na doprowadzenie lądującego samolotu aż na stanowisko postojowe do rękawa przy dworcu lotniczym. Inaczej mówiąc – pilot nie musi nic widzieć za oknem, by bezpiecznie wylądować. W latach 30. XX w. było to niewyobrażalne.

Pilot dzisiejszy umiałby prowadzić fokkera czy PWS. Pierwszy polski pilot, Michał Scipio del Campo, nie podjąłby się pewnie pilotażu boeinga, choć mógł już podróżować jumbo jetem (zmarł w 1984 r.).

Nadal wykorzystywane jest pierwsze lotnisko, nad którym wzbił się polski samolot – poznańska Ławica – lecz tam niewiele obiektów przypomina te sprzed stu lat. Komunikacja lotnicza stała się zdecydowanie tańsza, dostępniejsza i powszechniejsza niż przed wiekiem. Pozostaje nadal brać udział w tym wielkim, cywilizacyjnym przedsięwzięciu i nie zostawać w tyle...

Wykorzystane źródła: Tomasz Kluz, „Komunikacja lotnicza", Warszawa 1937; „20-lecie komunikacji w Polsce odrodzonej 1918–1939", Warszawa 1939; „Informator pilota turystycznego", Warszawa 1939; „Mały rocznik statystyczny 1939", GUS, Warszawa; „Przewodnik polskiej komunikacji lotniczej – lato 1933".

eprasa.pl e761a75206

TRZY ŻYCIORYSY ZARAKOWSKIEGO

PRZED WRZEŚNIEM 1939 r. UCHODZIŁ ZA ZDOLNEGO STUDENTA PRAWA UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO W WILNIE. BYŁ TEŻ SZEFEM JEDNEJ Z NAJBARDZIEJ ENDECKICH KORPORACJI AKADEMICKICH. PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ, GDY ROBIŁ NIEPRZECIĘTNĄ KARIERĘ W STALINOWSKIM „WYMIARZE SPRAWIEDLIWOŚCI", NIEWYGODNE FAKTY ZE SWOJEJ BIOGRAFII PRÓBOWAŁ UKRYĆ. KIM ZATEM BYŁ STANISŁAW ZARAKOWSKI?

eprasa.pl e761a75206

GRZEGORZ MAJCHRZAK

PAWEŁ SZTAMA

Warszawa, maj 1953 r. Józef Stalin nie żyje już od przeszło dwóch miesięcy. Niemniej nad Wisłą stalinizm trwa i ma się dobrze. Kilka miesięcy wcześniej, w więzieniu mokotowskim w Warszawie, zamordowany został legendarny żołnierz i dowódca AK – gen. August Emil Fieldorf ps. Nil. W specjalnym areszcie w Miedzeszynie przebywa były I sekretarz Polskiej Partii Robotniczej Władysław Gomułka, a we wrześniu 1953 r. ubecy zatrzymają prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego. W ówczesnym polskim państwie nie było w zasadzie żadnej opozycji ani jakiegokolwiek poważnego oporu. Społeczeństwo było stłamszone i zastraszone.

W tym samym czasie trwała weryfikacja kadr różnych państwowych instytucji PRL. Główny Zarząd Informacji Wojska Polskiego, czyli kontrwywiad wojskowy, sprawdzał życiorysy urzędników zatrudnionych m.in. w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej. W apogeum polskiego stalinizmu praktycznie każdy mógł się stać podejrzanym o działalność antypaństwową, a tym samym zostać uznanym za wroga „ludowej ojczyzny".

Raport Halbersztadta

Oficer Biura Studiów GZI ppłk Władysław Halbersztadt dostał do analizy dokumenty biograficzne ówczesnego naczelnego prokuratora wojskowego płk. Stanisława Zarakowskiego. Ten ostatni trafił do wojskowego „wymiaru sprawiedliwości" Polski Ludowej w 1945 r. i zrobił w nim zawrotną karierę. Zaczynał jako śledczy w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej, potem był prokuratorem w Wojskowej Prokuraturze Okręgowej w Warszawie, a od 1947 r. piastował już stanowiska kierownicze. Był m.in. I zastępcą prezesa Najwyższego Sądu Wojskowego, zastępcą szefa Departamentu Sprawiedliwości MON, a w lipcu 1950 r. objął stanowisko naczelnego prokuratora wojskowego. W tym czasie oskarżał w procesach wielu polskich patriotów, m.in. Adama Doboszyńskiego, Franciszka Niepokólczyckiego czy Kazimierza Pużaka.

Halbersztadt przeanalizował dokumentację bardzo skrupulatnie. Pewne rzeczy mu się ewidentnie nie zgadzały. Dlatego we wnioskach pokontrolnych stwierdzał: „W pierwszym rzędzie nasuwa się potrzeba przeprowadzenia dokładnego wywiadu na miejscu w Wilnie [gdzie Zarakowski studiował – P.Sz., G.M.]. Przeprowadzenie sprawdzenia przede wszystkim w Wilnie jest poza tym wskazane w celu maksymalnego zabezpieczenia konspiracji podjętych przedsięwzięć operacyjnych. W 1950 r. zapytywano już raz Radzieckie Organa Bezpieczeństwa o opinie na Zarakowskiego. W rezultacie sprawdzenia otrzymano odpowiedź, że Radz[ieckie] Org[ana] Bezp[ieczeństwa] nie posiadają materiałów kompromitujących odnośnie płk. Zarakowskiego i że dane o przebiegu jego życia podane przez niego odpowiadają prawdzie. Sprawdzenie to jednak nie objęło szeregu dokumentów uwidocznionych w powyższym zestawieniu i dlatego trzeba sprawę zbadać na nowo bardziej głęboko. W szczególności należałoby wyjaśnić następujące zagadnienia: 1. Dokładny przebieg studiów i pracy oraz opinie Zarakowskiego w Wilnie do 1939 r. 2. Działalność społeczna Zarakowskiego przed 1939 r. 3. Dokładny przebieg pracy i opinię w okresie okupacji. 4. Praca i zachowanie się w okresie pozostawienia na stanowisku administratora hotelu Astoria. 5. Stosunki Zarakowskiego z [Marianem] Okulicz-Kozarynem i ew[entualnymi] działaczami AK w Wilnie znanymi mu z Uniwersytetu, Izby Kontroli, Czerwonego Krzyża itp.".

Wątpliwości Halbersztadta były zasadne. Okazało się bowiem, że jeden z najważniejszych prawników Polski Ludowej, czyli Stanisław Zarakowski, mógł okłamać tzw. czynniki partyjne w kwestii swojej przeszłości, a nawet wręcz okazać się „elementem obcym klasowo, poważnie obciążonym drobnomieszczańskim balastem i skompromitowanym przeszłością".

Życiorys oficjalny

Według oficjalnych ankiet i życiorysów, przygotowanych osobiście przez Zarakowskiego, urodził się on 7 listopada 1909 r. w Swołnie (obecnie na terenie Białorusi). Jego ojciec – również Stanisław – odziedziczył folwark, w którym gospodarzył przez kilka kolejnych lat. Matka natomiast – Helena z d. Samonowicz – pochodziła z rodziny sadowników, którzy swój majątek mieli na przedmieściach Witebska.

W 1918 r. rodzina Zarakowskich przyjechała do niepodległej, aczkolwiek walczącej o swój byt i granice Polski. Osiedlili się w Kobryniu. Tam Stanisław senior znalazł pracę na stanowisku drogomistrza w Powiatowym Zarządzie Drogowym, a jego syn ukończył (w 1928 r.) tamtejsze gimnazjum humanistyczne. Młody Zarakowski został przyjęty na studia na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Wówczas zaangażował się w działalność koła naukowego i – co było zdecydowanie istotniejsze z punktu widzenia władzy ludowej – został członkiem korporacji akademickiej K!Polesia. Odszedł z niej w 1930 r. Rok później przerwał studia i powrócił do Kobrynia, gdyż po śmierci ojca musiał się zaopiekować chorą matką. W 1932 r. rozpoczął Dywizyjny Kurs Podchorążych Piechoty 19 Dywizji Piechoty w Lidzie, a po jego ukończeniu służył w 85 Pułku Piechoty w Nowej Wilejce.

Powrócił na wileński Uniwersytet i w 1935 r. uzyskał dyplom magistra prawa. Został zatrudniony w wileńskim oddziale Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych Rzeczypospolitej. Dwa lata później rozpoczął pracę w Okręgowej Izbie Kontroli w Wilnie.

Wziął udział w kampanii 1939 r. Po kapitulacji swojego oddziału wrócił do Wilna i znalazł zatrudnienie m.in. w Sekcji Uchodźców Polskich, działającej w strukturach Litewskiego Czerwonego Krzyża. Potem został administratorem hotelu Astorija. Funkcję tę piastował przez kilkanaście kolejnych miesięcy, kiedy Wilno było w rękach sowieckich, a potem litewskich i niemieckich. W 1942 r. miał być wysłany na roboty przymusowe do III Rzeszy, jednak udało mu się tego uniknąć. Pracując jako budowlaniec i ślusarz, dotrwał do roku 1944, kiedy Wilno zostało zajęte przez Armię Czerwoną. Wówczas znalazł pracę na stanowisku buchaltera w Instytucie »

FOT.: PAP/WOJCIECH KONDRACKI

eprasa.pl e761a75206

» Geologicznym. Na początku następnego roku został żołnierzem „ludowego" Wojska Polskiego.

Poważne luki w biografii

Sprawdzając powyższe dane, Halbersztadt mógł je porównać z dokumentami zgromadzonymi w różnego rodzaju archiwach, relacjami czy też informacjami zdobytymi metodami operacyjnymi. Okazało się wówczas, że niektórych faktów ze swojego życiorysu Zarakowski nie ujawnił, innych natomiast nie opisał dostatecznie. I tak np. wyszło na jaw, że przyszły Naczelny Prokurator Wojskowy PRL zataił w swoich życiorysach, że zanim rozpoczął działalność w korporacji K!Polesia, był członkiem innego tego rodzaju stowarzyszenia Vilensia. Co więcej, jak napisał w swoim „Pamiętniku" Lech Beynar (znany szerzej pod literackim pseudonimem Paweł Jasienia), który znał Stanisława Zarakowskiego z okresu przedwojennego, szeregi tej ostatniej organizacji opuścił on z powodu ideologicznego skrętu Vilensii w lewą stronę. I przeniósł się do K!Polesia, która uchodziła za najbardziej endecką korporację w Wilnie! Halbersztadt odnotował zresztą w swoim raporcie, że „Zarakowski należał wówczas do korporacji studenckiej o charakterze endecko-oenerowskim". Jednak nawet funkcjonariusz Głównego Zarządu Informacji nie odkrył, że w K!Polesia przyszły Naczelny Prokurator Wojskowy nie był tylko zwykłym comilitonem, czyli członkiem o pełni praw. Był tam oldermanem, czyli działaczem, który miał się opiekować kandydatami na członków, tzw. fuksami. Co więcej, Stanisław Zarakowski został nawet prezesem konwentu K!Polesia...

Podobnych luk w życiorysie Zarakowskiego Halbersztadt odnalazł więcej. Oficer GZI zauważył choćby to, że w okresie przedwojennej służby wojskowej przyszły generał był oceniany bardzo dobrze zarówno jako dowódca plutonu, jak i obywatel. Jego stosunek do władz II RP określony został jako „lojalny i życzliwy". Co więcej, z ustaleń Urzędu Bezpieczeństwa wynikało, że kuzynem Zarakowskiego był rtm. Marian Okulicz-Kozaryn. Ten ostatni był wybitnym oficerem Wojska Polskiego, który szlify zdobywał w Rosji, jeszcze w okresie I wojny światowej. Później w szeregach 10 pułku Ułanów Litewskich brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Po zakończeniu tego konfliktu pozostał w wojsku i w latach 30. był m.in. oficerem Korpusu Ochrony Pogranicza. Z kolei w czasie II wojny światowej był żołnierzem Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej, brał udział m.in. w operacji „Ostra Brama". Po wojnie zaś współpracował ze Zrzeszeniem Wolność i Niezawisłość. W 1951 r. został jednak aresztowany przez urząd bezpieczeństwa, skazany na kilkanaście lat więzienia, w którym zmarł w 1955 r. W okresie, gdy Zarakowski administrował hotelem Astorija, Okulicz-Kozaryn pracował tam jako portier. Jak napisał w swoim raporcie Halbersztadt: „Wg słów płk. [Józefa] Różańskiego Okulicz-Kozaryn w czasie przesłuchiwania sam podał, że płk Zarakowski jest jego kuzynem. W tym momencie zorientował się, że popełnił gafę i zaczął prosić płk. Różańskiego: »Panowie nie róbcie mu nic złego, to jest Wasz człowiek itp.«".

Informacje niepokojące

Oficer GZI zebrał także dane, które trudno dziś zweryfikować. Sam Halbersztadt podzielił je na pewne oraz takie, których nie był w stanie ocenić. Wśród tych pierwszych były informacje Juliana Nytki, który podobnie jak Zarakowski zdobył dyplom magistra prawa na wileńskim uniwersytecie, a po wojnie był sędzią m.in. w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Białymstoku. Nytko opowiadał, że przed II wojną światową słyszał o przyszłym generale rzeczy stawiające go w nie najlepszym świetle. Wspominał m.in., że część działaczy endeckich miała rzekomo wydać w Wilnie ulotkę, na której można było przeczytać, że Stanisław Zarakowski był „defraudatorem". Co więcej, Nytko twierdził, że bohater niniejszego szkicu należał do jeszcze jednej prawicowej korporacji Batorii, a także miał być pracownikiem Prokuratorii Generalnej Rzeczypospolitej Polskiej. To ostatnie domniemanie Halbersztadt uznał jednak za mało prawdopodobne. Do materiałów opisanych jako „Dane operacyjne niesprawdzone, zeznania świadków niejasne i dotychczas niewyjaśnione" zaliczył też m.in. informację dotyczącą rzekomej przynależności lub współpracy Zarakowskiego z ZWZ/AK.

Niezwykle ciekawie mówił także o prokuratorze brat byłego marszałka Michała Roli-Żymierskiego Stanisław Żymierski, który również znalazł się w więzieniu, a wcześniej był m.in. komendantem Oficerskiej Szkoły Broni Pancernej. Ten ostatni był przesłuchiwany przez Stanisława Zarakowskiego i po powrocie do celi stwierdził bardzo buńczucznie: „Z niego [Zarakowskiego] taki komunista jak ze mnie. [Prokurator generalny Stefan – P.Sz., G.M.] Kalinowski mógłby coś o nim powiedzieć, co to za numer. Znamy dobrze Zarakowskiego, nie wiem, jak Michał się do niego ustosunkuje i co będzie mówił. On wie dobrze, że jego godziny [Zarakowskiego] są policzone i że na niego też przyjdzie kolejka. Jego żona swego czasu zwróciła się do Cepowej – mieszkali w jednym domu – z prośbą w sensie, że on tzn. Zarakowski i ona mogą się wykończyć i aby w tym wypadku Cepowa zaopiekowała się ich synem. Zarakowski to zero i nie chcę się jego w ogóle bać. Niech on się boi Żymierskiego, a nie Żymierski Zarakowskiego. [...] Zarakowski niech lepiej cicho siedzi".

Bezkarny Zarakowski

Wydawałoby się, że Stanisław Zarakowski po ujawnieniu takich informacji zostanie odwołany ze stanowiska Naczelnego Prokuratora Wojskowego i będzie odpowiadał za to, że ośmielił się w tak bezczelny sposób oszukać swoich komunistycznych przełożonych. Utrzymał jednak swoją funkcję. We wrześniu 1953 r. sporządził dokument, który był zapewne odpowiedzią na zarzuty opisane w raporcie oficera GZI. Nie wyparł się choćby swojej korporacyjnej przeszłości, a swoje postępowanie tłumaczył błędami młodości. Zarakowskiemu „wybaczono" biograficzne krętactwa. Wpływ na to miała zapewne jego uległość wobec komunistów. Człowiek ten, przynajmniej jak wynika z zachowanych dokumentów, był w stanie wykonać każde postawione przed nim zadanie. Za swoją lojalność otrzymał nawet awans do stopnia generała brygady. Kiedy przyszła destalinizacja, musiał się pożegnać ze swym stanowiskiem, nigdy jednak nie poniósł kary za przestępstwa sądowe, których się dopuścił. ■

Autorzy są pracownikami Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl e761a75206

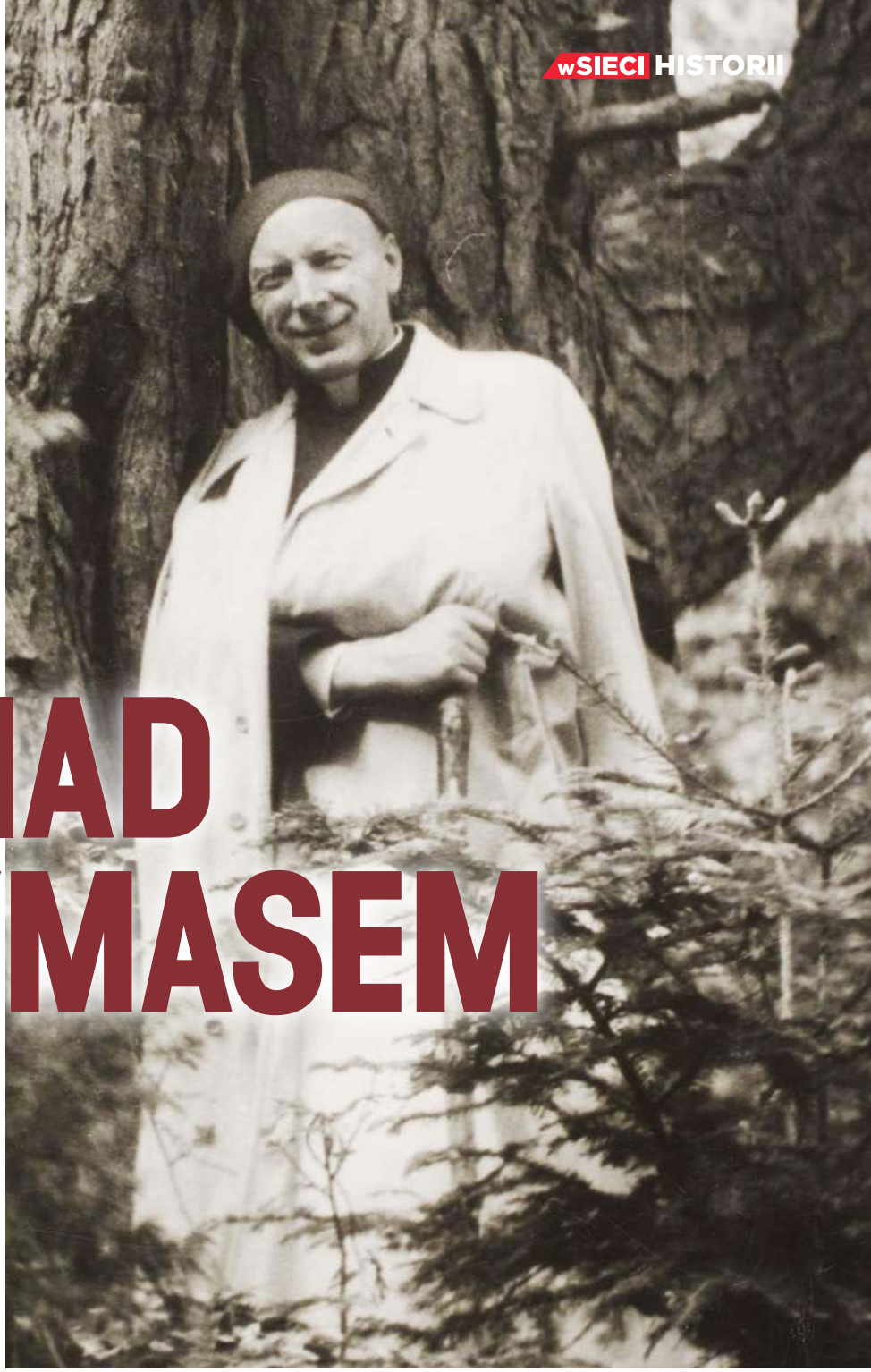

GŁĘBOKA WIARA, MĄDROŚĆ, WRODZONY TALENT DO NEGOCJACJI, PEWNA RĘKA W PROWADZENIU KOŚCIOŁA I HUMOR STANOWIĄ POCIĄGAJĄCE WĄTKI BIOGRAFII STEFANA KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO

WYWIAD Z PRYMASEM

MARCIN RÓŻAŃSKI

Stąd narodził się pomysł, aby ukazać postać Błogosławionego za pomocą jego własnych słów. Prezentowany tekst jest fragmentem książki napisanej w formie „wywiadu" z Prymasem Tysiąclecia. Rozmowy miałyby się toczyć podczas siedmiu spacerów w czasie letnich wakacji na Bachledówce w 1967 r. Jednak autor nigdy nie spotkał kardynała. W momencie Jego śmierci miał zaledwie sześć lat. Konstrukcja książki jest zatem literacką fikcją. Zamieszczone teksty prymasa Wyszyńskiego natomiast są jego prawdziwymi wypowiedziami zaczerpniętymi z kazań, listów, artykułów i osobistych zapisków.

Pomówmy o nominacji i święceniach biskupich, które miały miejsce 12 maja 1946 r. na Jasnej Górze. Po modlitwie w kaplicy Cudownego Obrazu święceń w bazylice udzielił Księdzu kard. August Hlond wraz z asystującymi biskupami: Karolem Radońskim i Stanisławem Czajką. Na tej uroczystości byli obecni ojciec i macocha Księdza Prymasa, rodzeństwo oraz delegacja księży z Lublina, z ks. prałatem Piotrem Stopniakiem. Wówczas, w starym kalendarzu liturgicznym, wspominano uroczystość Matki Bożej Łaskawej, patronki Warszawy. Nie była to zapowiedź późniejszej drogi jako Prymasa Polski, urzędującego w stolicy?

Bł. Stefan kardynał Wyszyński: Podobało się Bogu, aby doprowadzić mnie po wielu latach służby kapłańskiej do pełni kapłaństwa. W 1946 roku otrzymałem powołanie na biskupa lubelskiego. Byłem tym mocno przestraszony. Ponieważ czułem, że przerasta to moje siły, zwłaszcza »

FOT. POLONA.PL

eprasa.pl e761a75206

» w tak trudnych czasach, jakie przed Kościołem Bożym stanęły w okresie powojennym, opierałem się woli Stolicy Świętej. Musiałem jednak ustąpić i szukałem pomocy. Przypomniałem sobie modlitwę mojej matki i mojego ojca przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, w kościele parafialnym w Zuzeli. Postanowiłem iść w ich ślady. Dlatego po konsekrację biskupią pojechałem na Jasną Górę. Odtąd już życie moje związane jest z Jasną Górą.

A czemu taki właśnie wybór hasła biskupiego: „Soli Deo"?
Jeżeli na czele swojego programu służby Ludowi Bożemu, najpierw w diecezji włocławskiej, później w lubelskiej, a następnie w gnieźnieńskiej i warszawskiej, przyjąłem zawołanie „Soli Deo", które umieściłem na szczycie odbudowanej katedry lubelskiej, to wyboru dokonałem w dziecięcej wierze, iż człowiek śmiertelny najskuteczniej życie swoje spędza w łączności z Tym, który nie umiera. Jeśli ku Bogu kieruje swoją dobrą wolę, choćby słabą, w Nim odnajduje wszystko, co było przedmiotem jego trudów, wysiłków, osiągnięć czy przegranych całego życia.

Księże Prymasie, dewizą posługi Księdza są słowa: „Soli Deo per Mariam", które z dwóch ścieżek tworzą jeden zwarty program życia i pracy duszpasterskiej. Jak to się stało?
Nadal jestem wierny memu założeniu biskupiemu, że służę Soli Deo – Bogu samemu. Doświadczenie w pracy kazało mi dodać do tego hasła słowa: per Mariam. A więc: Per Mariam – soli Deo, „Przez Maryję – Bogu samemu". Doszedłem do wniosku, że jest to droga pewna i niezawodna.

Bezpośrednio po święceniach biskupich wziął Ksiądz, pierwszy raz, udział w posiedzeniu Konferencji Episkopatu Polski...
Zdaje się, że nie od razu. Pamiętam, że wróciłem do Włocławka. Odwiedziłem drukarnię diecezjalną, żegnając się z pracownikami. 19 maja obchodziliśmy 150-lecie koronacji obrazu św. Józefa w Kaliszu. Uroczystościom przewodniczył prymas Hlond. Konferencja Episkopatu na Jasnej Górze miała miejsce 22–24 maja.

Na zakończenie tej konferencji ogłoszono list pasterski, który dotyczył m.in. obrony życia. Biskupi pisali: „Już niejednokrotnie biskupi polscy podnosili swój głos pasterski w sprawie zabijania dzieci, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego. Wiadomości, jakie Episkopat co do tego otrzymuje, są tak przerażające pod względem moralnym i dla przyszłości Narodu naszego, że postawieni na straży wiary i moralności Chrystusowej Pasterze zaklinają matki, lekarzy, położne i wszystkich, którzy mają jakikolwiek wpływ na tę doniosłą sprawę, do energicznego zwalczania masowej zbrodni. Do życia i rozwoju Narodu wprowadza ona straszniejsze skutki niż okrutna groza ostatniej wojny. Przy tym zatruwa nieuleczalnie ducha Narodu przez stępianie sumienia i wrażliwości na zbrodnie zabójstwa".
Wspominam wszystkie niewiasty mężne, cierpiące i walczące, które umiały stanąć w obronie wiary i ołtarzy, w obronie kołyski i rodziny, w obronie wolności sumienia i swojej godności; one to wychowały wspaniałe pokolenia kobiet katolickich, za które jesteśmy wdzięczni Bogu, Chrystusowi i Kościołowi.

Jak, według Księdza Prymasa, kobiety i matki katolickie mają dziś wykonywać swoje zadania?

Postaci wspominane przez bł. Stefana kardynała Wyszyńskiego

- **Stanisław Czajka (1897–1965)**
  święcenia kapłańskie przyjął w 1920 r.; doktor prawa kanonicznego; rektor seminarium częstochowskiego z siedzibą w Krakowie; biskup pomocniczy diecezji częstochowskiej (od 1944).

- **Piotr Stopniak (1892–1979)**
  święcenia kapłańskie przyjął w 1915 r.; w czasie II wojny światowej więziony przez Niemców, bliski współpracownik bp. Wyszyńskiego w okresie lubelskim; rektor w WSD w Lublinie (1932–1946).

- **Władysław Emil Korniłowicz (1884–1946)**
  święcenia kapłańskie przyjął w 1912 r.; wykładowca liturgiki w seminarium diecezjalnym we Włocławku; wykładowca KUL; od 1930 r. zamieszkał w Zakładzie dla Niewidomych w Laskach, ojciec Dzieła Lasek i współpracownik Róży Czackiej; zmarł na nowotwór.

- **Antoni Marylski (1894–1973)**
  filozof i działacz społeczny związany z Laskami i bliski współpracownik matki Róży Czackiej, ks. Władysława Korniłowicza i prymasa Wyszyńskiego. Przyjął święcenia kapłańskie w 1971 r.

- **Teresa Zofia Landy (1894–1972)**
  siostra zakonna w Zgromadzeniu Franciszkanek Służebnic Krzyża; pedagog, tłumaczka, eseistka; pod wpływem spotkań z ks. Korniłowiczem z judaizmu przeszła na katolicyzm (1917); jest współautorką polskiego alfabetu Braille'a.

- **S. Maksencja, właśc. Helena Jechalik (1903–1983)**
  siostra zakonna w Zgromadzeniu Sióstr Elżbietanek; z zawodu pielęgniarka; posługiwała kard. Hlondowi (1946–1948); od 1949 pracowała w rezydencji prymasa Wyszyńskiego, prowadząc jego gospodarstwo domowe; była przełożoną sióstr pracujących na ul. Miodowej (1950–1963).

- **Maria Okońska (1920–2013)**
  założycielka Instytutu Prymasa Wyszyńskiego i jego bliska współpracowniczka. Brała udział w powstaniu warszawskim; po wojnie aresztowana przez UB i uwolniona po interwencji bp. Wyszyńskiego (1948); współorganizatorka Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego (1956) i Wielkiej Nowenny Tysiąclecia Chrztu Polski (1957–1966).

- **„Ósemki"**
  żeńska wspólnota przekształcona w instytut świecki znany dziś pod nazwą Instytutu Prymasa Wyszyńskiego. Powstała w 1942 r. z inicjatywy Marii Okońskiej; ideą instytutu było odrodzenie narodu polskiego przez odrodzenie polskiej kobiety.

eprasa.pl e761a75206

Przede wszystkim muszą stać na straży życia. Muszą być wierne życiu, pamiętając, że są służebnicami Ojca wszelkiego życia. Są zaszczytnie powołane do tego, aby życie, brane z Ojca Niebieskiego, przekazywać rodzinom, młodym pokoleniom, Narodowi i Kościołowi, Ojczyźnie ludu Bożego. Drogie kobiety i matki! Waszym zadaniem, tak jak dotychczas, jest straż wiary. Na przestrzeni naszych dziejów mamy wspaniałe przykłady wierności kobiet polskich Chrystusowi i Kościołowi. Umiałyście być wierne Kościołowi – w sercach waszych i w rodzinach waszych. Dzisiaj musicie stanąć na straży wiary młodego pokolenia, aby ono weszło w nowe tysiąclecie jako pokolenie wychowane w rodzinie wiernej Bogu, silnej Bogiem. Rodzina Bogiem silna da nowej Polsce młodzież wierną Chrystusowi. Oto zadanie: straż życia, wiary, obyczajów; straż trzeźwej i ofiarnej rodziny; straż miłości i ducha pokoju w Narodzie. To będzie nowy początek cudów w polskiej Kanie.

Księże Prymasie, czy ten szacunek do kobiet to także owoc spotkań z wielką postacią w polskiej historii – matką Różą Czacką, która oddała się służbie niewidomym dzieciom?

Wbrew zamierzeniu utopiłem w Laskach więcej serca niż rozumu. Właściwie nie można powiedzieć, co wiąże tam serce – nie poszczególne „byty" laskowskie, ale raczej „powietrze" laskowskie. Matkę Czacką poznałem w 1926 roku, kiedy odwiedziłem z ojcem Korniłowiczem pierwszy raz Laski. W sposób szczególny związałem się z dziełem Lasek w okresie wojny. Matka Czacka żyła z zamkniętymi oczami, otwartym sercem, z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Przed jej pogrzebem Antek Marylski przysłał mi zapiski maszynowe matki, które odsłoniły jej wnętrze. Opierała się nieustannie na ojcu Korniłowiczu i na Antku. Siostry w zapiskach matki występowały mniej, głównie Teresa Landy i matka mistrzyni. Później i to zanikało. Matka była „sama" i szukała samotności, chociaż żyła ciągle wśród spraw towarzystwa i zgromadzenia.

Oprócz matki Czackiej miał Ksiądz nieustanny kontakt, w Domu Arcybiskupów w Warszawie, z siostrami elżbietankami, które tam posługiwały, m.in. z ich przełożoną, s. Maksencją. Także jako ojciec duchowny związał się Ksiądz Prymas z Marią Okońską i dziełem „Ósemek". Ta ostatnia znajomość zaczęła się w 1942 roku, kiedy przebywał Ksiądz w Laskach. Maria Okońska wspominała to wasze pierwsze spotkanie w 1942 roku. A cóż mówi? „Miał wtedy 41 lat, a wyglądał na trzydzieści kilka. Szczuplutki, blady. Wcale mnie nie zauroczył od pierwszej chwili. Nie zrobił na mnie szokującego wrażenia".

W SPOSÓB SZCZEGÓLNY ZWIĄZAŁEM SIĘ Z DZIEŁEM LASEK W OKRESIE WOJNY. MATKA CZACKA ŻYŁA TAM Z ZAMKNIĘTYMI OCZAMI, OTWARTYM SERCEM, Z WYCIĄGNIĘTYMI PRZED SIEBIE RAMIONAMI

Ja się bałem kobiet. Ale w przezwyciężeniu tego lęku pomógł mi kard. Hlond i szczególnie ks. Korniłowicz, który stwierdził: „Stefku, nie ma Kościoła mężczyzn i Kościoła kobiet, jest tylko jeden Kościół – Chrystusowy". Kiedy przyjmowałem godność biskupa w 1946 roku, była we mnie też zgoda na udział zespołu „Ósemek" w moim biskupim życiu.

26 maja, w Dzień Matki, wyruszył Ksiądz Prymas do Lublina. Zatrzymał się Ksiądz przy kościele garnizonowym, uczestnicząc we mszy świętej polowej, po niej na KUL-u, aby w południe dotrzeć do katedry. Towarzyszyły Księdzu Prymasowi rzesze ludzi. Wśród witających nowego biskupa były władze państwowe, co już się nie powtórzyło przy uroczystościach w Warszawie. Trudno chyba tak od razu odnaleźć się w roli pasterza?

Gdy patrzyłem na te rzesze, jak w stłoczonej, zwartej gromadzie stali w świątyni i na ulicach, gdy widziałem przed ołtarzem przedstawicieli władz państwowych, wojskowych, szkolnych, samorządowych, sądowych, gdy widziałem te zastępy ludzi pracy spod znaków rzemieślniczych, kupieckich, rękodzielniczych, robotniczych, gdy widziałem przedstawicieli zawodów wolnych, różne stowarzyszenia i organizacje, gdy widziałem profesorów i młodzież akademicką obydwu wyższych uczelni, zastępy młodzieży szkół średnich i powszechnych, czuwających harcerzy i młodzież czerwonokrzyską, gdy widziałem szeregi duchowieństwa, sióstr zakonnych i parafie lubelskie – gdy to wszystko ogarniałem wzrokiem, serce moje i myśli poruszane były pytaniem: co ich tu sprowadza? Przecież nie rozkaz. Wiemy, jak nieudolną siłą jest rozkaz, by wywołać zapał, sprowadzić rzesze. Więc cóż wyciągnęło ich z domów – może ciekawość? Czyż mało widzieli wspaniałych manifestacji?

Co więc ludzi przywiodło w tak wielkiej liczbie?

Ich przywiodła jakaś niewypowiedziana tęsknota za czymś innym, czymś lepszym od codzienności. Ich przywiodła głęboka wiara i miłość – nie do mej nieudolnej osoby! Gdy patrzyłem na nich, wiedziałem, że w katolickim narodzie polskim żyje wielka moc, moc wiary i miłości. One zdolne są gromadzić i jednoczyć naród tak, jak byliśmy wówczas zespoleni i zjednoczeni. ■

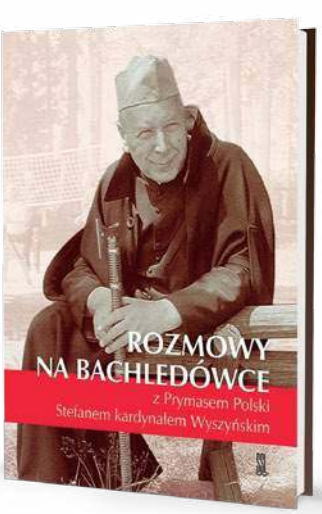

Więcej można przeczytać w: „ROZMOWY NA BACHLEDÓWCE z Prymasem Polski Stefanem kardynałem Wyszyńskim. Biskup w Lublinie i początki prymasostwa 1946–1950", wybór tekstów ks. Marcin A. Różański, Wydawnictwo Sióstr Loretanek, 2021

eprasa.pl e761a75206

BOŻYSZCZE POLSKI – BACHOR KOMUNIZMU

LEONID TELIGA SAMOTNIE OPŁYNĄŁ W LATACH 1967–1969 ZIEMIĘ NA JACHCIE OPTY. TO WIEMY. ALE KTO TO BYŁ?

ANDRZEJ URBAŃCZYK

Polskie Radio 21 maja 1970 r. zakomunikowało patetycznym tonem: „W dniu dzisiejszym zmarł Leonid Teliga. Wielki żeglarz, pisarz, postać odznaczona najwyższymi honorami państwowymi...". Następnie rozległy się dźwięki marsza żałobnego...

Teliga „Bóstwo Polski" (Jerzy Putrament) zaznał w PRL wszystkich możliwych honorów: od medalu „Za wybitne osiągnięcia sportowe" do Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski, od Stoczni imienia Leonida Teligi do znaczka pocztowego, od oceanicznego statku m/s Leonid Teliga do Nagrody Literackiej Leonida Teligi, od patronatu szkół, hufców harcerskich, regat, festiwali do ulic w każdym mieście. Pozostawał już tylko Wawel...

Leonid Teliga został zaprezentowany społeczeństwu jako „pilot polskich sił RAF". Na skutek protestów osób zorientowanych w materii polskiego lotnictwa został zdegradowany do rangi strzelca pokładowego. W dokumentach RAF nie odnotowano jednak lotów bojowych przyszłego bohatera.

Był też Teliga prezentowany jako „poeta" oraz „pisarz". Autorowi nie udało się znaleźć choćby debiutanckiego tomiku poezji Teligi. Trafiły się za to dwie broszurki „pisarza" Teligi wydane przez wydawnictwo MON i dające formalnie wstęp do Związku Literatów Polskich.

Oba te elaboraty nie przynoszą sławy. „Pod skrzydłami żagli" to makabryczna socrealistyczna brechta opisująca intrygi o klasowym charakterze na żeglarskim obozie młodzieżowym, pełna recept wychowawczych i dydaktycznych według sowieckich wzorców.

Druga praca „Roman Paziński" jest apoteozą napaści ZSRR na Polskę. A oto próbka, scena z Łucka z 17 września 1939 r.: „...Bolszewiki idą, idą! Przed oczami przeleciały jasne płatki. A może to łzy radości... Świat jest wspaniały! Idzie wyzwolicielka – Armia Czerwona. Armia robotników i chłopów. Najmłodsza i najukochańsza z armii na świecie. Idzie wyzwalać uciśnione narody... Myśli Pazińskiego wybiegły w przyszłe lata. Kiedyż to na polskich czołgach założą czerwone proporce? Nie martw się człowieku! Założą! Przyjdzie czas i na to! Założą i nad twoją ukochaną Warszawą, nad całą wolną Polską. A tymczasem serce wchłania radość tej chwili...".

Książkę tę polecam szczególnie szkołom mającym Leonida Teligę za patrona...

Homo novus polskiego żeglarstwa

Gdy w roku 1966 ukazała się w prasie niewielka nota, iż kapitan żeglugi jachtowej Leonid Teliga planuje opłynięcie globu własnym jachtem Opty, w świecie żeglarskim wywołała ona zdumienie i niedowierzanie. Przyszły heros polskich żagli był tam bowiem osobą absolutnie nieznaną.

Jeszcze bardziej zagadkowo przedstawia się kwestia tytułu Teligi – kapitan (formalnie kapitan jachtowy, później kapitan jachtowy żeglugi wielkiej). Tytuły takie wymagają tysięcy mil w funkcjach załogowych, kilku tysięcy w oficerskich, »

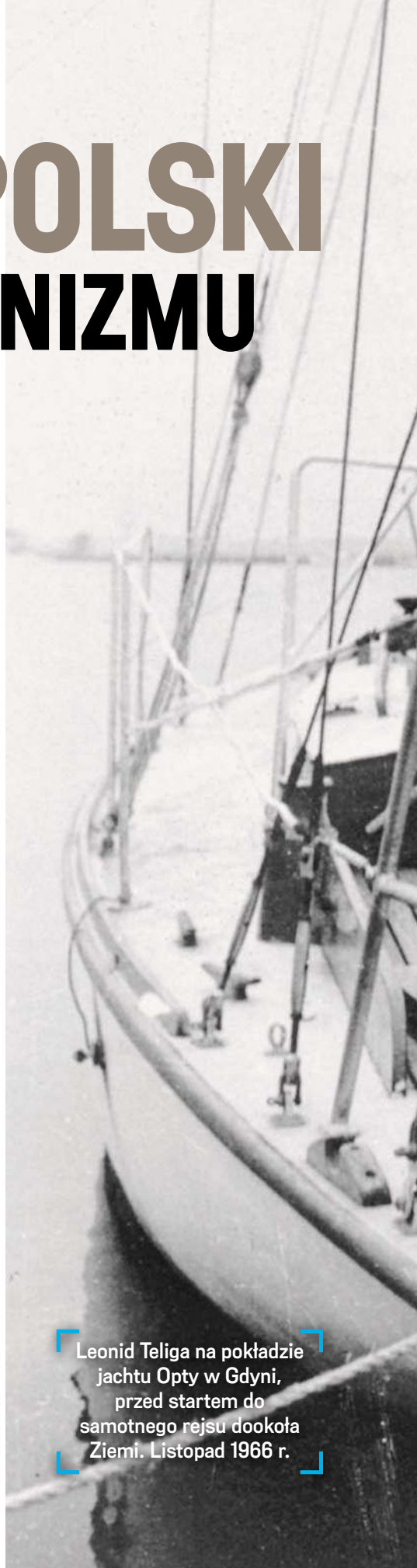

Leonid Teliga na pokładzie jachtu Opty w Gdyni, przed startem do samotnego rejsu dookoła Ziemi. Listopad 1966 r.

FOT. JANUSZ UKLEJEWSKI/PAP

eprasa.pl e761a75206

OPTY
GDYNIA

» dowodzenia jachtami w rejsach zatokowych i przybrzeżnych. Nie mówiąc już o niełatwej i długiej drodze egzaminacyjnej. Wszystko to czyni delikwenta personą żeglarsko znaną długo przed włożeniem na głowę „kapusty" (gwarowa nazwa czapki kapitańskiej).

O kapitanie Telidze zaś nie słyszał dotąd nikt, na czele z kpt. Mieczysławem Przewłockim, przewodniczącym komisji egzaminacyjnej PZŻ na stopień kapitana. W samej biografii Teligi (400 stron) nie ma jednego zdania o dotychczasowym żeglowaniu. Ot „zagadka Leonida Teligi"...

Kim naprawdę był Leonid Teliga?

Niniejszy tekst napisano, dopasowując istniejące w rozproszeniu kawałki życiorysu, głównie na podstawie wypowiedzi samego Leonida i tekstów jego brata Stanisława w miesięczniku „Żagle" (dziesięć odcinków!) oraz najistotniejszego źródła: dokumentów Teligi w archiwach brytyjskich, Blackpool P.2375.

Nazwisko Teliga i imię Leonid nie budzą wątpliwości. Nie nasuwa też wątpliwości powtarzające się miejsce urodzenia: Wiaźma, ZSRR, ani rok 1917. Dokumenty nie podają wprawdzie narodowości, jednak powtarzające się wielokrotnie obywatelstwo polskie nie budzi zdziwienia. Źródła nie mówią nigdy nic o ojcu Teligi ani o jego zawodzie. Poza tym, że nie mieszkał z rodziną. Matka Teligi pewnie była Rosjanką, czego dowodem są późniejsze korespondencje prowadzone z synem w języku Puszkina. Nieznana jest ani motywacja przybycia do Polski, ani jego data.

Leonid Teliga ma typową młodość – szkoła, harcerstwo, wycieczki. Stąd pochodzi jedyne „żeglowanie" w życiorysie Teligi – „pływanie z helskimi rybakami".

W relacjach brata Lońka jest dzieckiem wszechstronnie uzdolnionym i wszechstronnie szlachetnym. Brylującym tak w sportach, jak i edukacji. Wytrwale pracującym nad sobą. Nieco zaskakuje więc informacja o repetowaniu klas, zaraz jednak przebita pochwałą za lekturę premarksistów: Bakunina, Plechanowa, Kautsky'ego, a także Nietzschego...

Teliga kończy edukację w 1935 r. i zostaje przyjęty do szkoły podchorążych piechoty w Komorowie, którą kończy ze stopniem podporucznika w roku 1938.

Relacje zaczynają się jednak coraz bardziej gmatwać po mobilizacji Teligi we wrześniu 1939 r. zupełnie niejasne są wiadomości o „znalezieniu się" polskiego porucznika w ZSRR zamiast w Rumunii. Kwestia ta staje się podstawą późniejszego sprawdzania Teligi w polskich siłach zbrojnych na terenie Anglii.

Relacje z ZSRR mają niekiedy humorystyczny aspekt – jak informacja, iż Teliga wędrował (w oficerskim mundurze?) przez Związek Sowiecki. Jeśli tak było istotnie – szczęście, że nie zawędrował jak tysiące oficerów do Katynia. Jeśli w cywilu – szczęście, że nie rozstrzelano go natychmiast jako szpiega. Według relacji „brytyjskich" został aresztowany na stacji kolejowej i „pracował jako marynarz na rzece Don". Według wersji polskiej „deus ex machina" zostaje kapitanem motorowca „Wola" – statku pełniącego wojenne funkcje ewakuacyjne. W zasadzie istnieje dwuletnia luka życiorysowa. Oto niespodziewanie otrzymuje przydział do wojska polskiego, które formował Władysław Sikorski. Następują niejasne wędrówki po bezkresach ZSRR, 300 km piechotą na głodno.

Wreszcie odnalezienie Wojska Polskiego, podróż z Armią Andersa do Iraku, dalej Indie i wreszcie brytyjski statek Mariposa. Tam „z niewiadomych przyczyn" Teliga zostaje osadzony w areszcie. Więcej na ten temat mówią relacje innych „dezerterów andersowskich". Według akt przechowywanych w Hoover Institute w USA Telidze, za gloryfikację ZSRR i krytykę „zdrady Andersa", współtowarzysze zagrozili wyrzuceniem za burtę. Jakkolwiek było, wielbiący ZSRR uciekinier z ZSRR Teliga dociera żywy do Kanady, a następnie do Anglii. Jak po byłym kapitanie motorowca można się spodziewać – wybiera oczywiście lotnictwo...

„POD SKRZYDŁAMI ŻAGLI" AUTORSTWA TELIGI TO MAKABRYCZNA SOCREALISTYCZNA BRECHTA OPISUJĄCA INTRYGI O KLASOWYM CHARAKTERZE NA ŻEGLARSKIM OBOZIE MŁODZIEŻOWYM

Mozaika, która nie daje się ułożyć...

We wspomnieniach Teligi i w relacjach brata Stanisława brak opisu choćby jednego lotu. W dokumentach brytyjskich brak zapisu o lotach bojowych. Rozsypana mozaika.

Mozaiki dalsze rozrzucone kawałki. Po zakończeniu wojny i demobilizacji Teliga bynajmniej nie spieszy się do demokratycznej i bierutowej ojczyzny.

Niespodziewanie odnajduje się brat Leonida Stanisław – w ambasadzie londyńskiej demokratycznej Polski... Już samo mianowanie kogoś, kto ma brata na „zaplutym Zachodzie", do pracy w zrusyfikowanej dyplomacji wydaje się nieprawdopodobne. Chyba że...

Wkrótce ekskapitan sowieckiego statku Leonid odnajduje właściwy kurs. Przedłuża pobyt w Anglii, dokształca się w Szkole Handlowej w Londynie (nazywanej w relacjach brata „University"), zamierza otworzyć własny handlowy biznes, żeglować po wodach świata. Oczywiście na razie nie tracąc kontaktu ze swoją andersowską jednostką RAF.

Wraca do Warszawy dopiero, w niewymienionym w żadnych ze wspomnień, późnym roku 1948... Nie przeszkodziło to w otrzymania etatu „dziennikarza" i newralgicznej pozycji na niesławnym Wrocławskim Kongresie Intelektualistów.

Dziwnej kariery ciąg dalszy. Spóźniony andersowiec Teliga awansuje na personę – dziennikarza regularnie akredytowanego w newralgicznych punktach na mapie świata: Korei, Laosie czy teczkowo udokumentowanym Rzymie...

Finale. Niestety „mozaika Leonida Teligi" pozostaje niezłożona. Zabrakło najważniejszych faktów... Dokumenty Teligi, których autor szukał w Archiwum WP w Rembertowie, zostały zniszczone. Dziwne – zachowano tekę starszego brata... Podobnie brak akt w MSW, IPN i Komisjach Nadzorczych.

Na zakończenie zmagań z biografią – arcysensacja! Na wszystkie pytania odpowiada i wszystkie wątpliwości rozwiązuje, pozwalając na złożenie mozaiki herosa Leonida Teligi, „hipoteza komandora

eprasa.pl e761a75206

Czerwińskiego" – eksperta samotnego żeglarstwa i znawcy tajemnic wojny. Autor niniejszego tekstu jedynie sygnalizuje tę hipotezę poniżej.

Gloria rejsu Opty

Informacja o zamierzonym solowym rejsie wokółziemskim zupełnie nieznanego w świecie żeglarskim człowieka wzbudziła powszechne zainteresowanie jako novum w zniewolonym kraju. Pikanterii sprawie dodawała buńczuczna wypowiedź prasowa Teligi: „Rejs mój zaaprobowany został przez najwyższe czynniki państwowe...".

Opty – duży (długość 10 m) jacht zbudowany został specjalnie na wokółziemski rejs przez gdyńskiego szkutnika i żeglarza Macieja Dowhyluka. Signum temporis, w latach minionych pozbawionego prawa pływania, nawet po niewielkiej Zatoce Gdańskiej. Od niego pochodzą też poniższe informacje (relacja dla autora artykułu).

„Patrząc, jak organizowano rejs Opty, nabrałem przekonania, że Teliga może załatwić sobie wszystko. Mowa o pomocy wielu instytucji (PLO – sprzęt, Arka – materiały, Baltona – żywność...). Nie przeszkadzało to anonsować rejsu jako prywatny i wręcz ubogi".

Najbardziej szokująca – zwłaszcza dla świata żeglarskiego – była informacja, że Opty zostanie załadowany na statek PLO i przewieziony (drobne 4 tys. km...) do Casablanki. Na najkrótszą i najłatwiejszą trasę równikową via Kanał Panamski. Koszt takiej operacji należało szacować na porównywalny z wartością chałupniczo zbudowanego jachtu.

Po wypłynięciu z Casablanki Opty przebył bez większych problemów Atlantyk łatwą, tzw. damską trasą. Media oczywiście nie wspomniały, że długo przed Teligą ocean ten zaliczyli pierwsi samotni nawigatorzy pod polską banderą. Pilot – heros z prawdziwego zdarzenia, Krzysztof Grabowski (Farys 1959) oraz Stanisław Jabłoński (Ametyst 1963). Trudno się temu dziwić, skoro nazwisk tych zabrakło w „Historii polskiego jachtingu" pióra prezesa PZŻ Włodzimierza Głowackiego – rezerwującego dla Teligi osiem stron.

Zagrzmiały więc oklaski – Polak samotnie pokonał ocean! Na piersi herosa zalśnił pierwszy medal – „Za wybitne osiągnięcia sportowe"... Niestety nie wszyscy byli zachwyceni heroicznym wyczynem Polaka. Amerykańskie władze Kanału Panamskiego odmawiają Opty przejścia. Nasza oburzona prasa nadaje faktowi propagandowy aspekt: imperializm USA przeciwko samotnemu Polakowi. Natomiast świat żeglarski pamiętał, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej Śmiały z 12-osobową załogą, w której składzie był dziennikarz „Trybuny Ludu" Krzysztof Baranowski, nie miał najmniejszych problemów z Panamą. Bezprzykładna dyskryminacja „samotnego romantyka i poety"... Jednak FBI, indagowana przez autora niniejszego tekstu, miała zupełnie inne stanowisko...

Sowieckie czułości

Po dyplomatycznych interwencjach Opty zwycięża jednak i wypływa na drugi z oceanów – Pacyfik. Na oceanie tym pojawia się kolejna niezwykłość, Teliga spotyka wyłącznie statki sowieckie, które ku zdumieniu polskich żeglarzy salutują, wspierają i bratają się z Opty. Natomiast w porcie towarzysze sowieccy wizytują Teligę i z najwyższą troską pytają, czy nie potrzebuje pomocy... Sytuacja ta, nagłaśniana przez prasę PRL, zraża do rejsu Opty niemały odsetek Polaków.

Tymczasem niezwykłość goni niezwykłość. Australia, w której Teliga ma rodzinę, nie życzy sobie wizyty żeglarza. Wkrótce do wrednych Kangurów dołączy podobna odmowa ze strony RPA. Oczywiście kolejny akt wrogości imperializmu niechętnego socjalistycznej Polsce...

Ale największa sensacja „romantycznego rejsu samotnika Teligi" następuje w niewielkim porciku Suwa. Jest to bomba z opóźnionym zapłonem, która eksploduje dopiero po latach. Eksploduje, gdy ukaże się książka „Podwójny agent" Krzysztofa Starzyńskiego. W czasie niejawnego przeszukania Opty przez brytyjskich tajniaków odkryte zostają wojskowa radiostacja nadawcza oraz karabin. Radiostacja wyjaśnia niezwykłość bezwzględnego powracania Teligi na jacht przed godz. 24.00.

Starzyński, goszczący żeglarza i piszący o nim z sympatią, nie powstrzymuje się od przedstawienia Teligi jako komunisty i agresywnego agitatora komunizmu. To samo dotyczy Stanisława Teligi.

Co gorsze, rejs, który przez wielu ludzi brany był za romantyczne spełnienie marzeń młodości, komplikuje się po kolejnej odmowie wizy. Następne fatum – choroba Teligi. Znajdujący się na drugiej półkuli żeglarz jest chory i niechciany. W odważnej, choć desperackiej decyzji, Teliga decyduje się na imponującą żeglugę non stop na dystansie 15 tys. mil do Casablanki.

Niestety wciąż nękają żeglarza kwestie zdrowotne, nabierając symptomów hipochondrii. Teliga stale opisuje cierpienia – (lumbago), kontuzje („uderzenie bomem w krocze"), „jeżdżenie przez całą noc dupą po pokładzie". Krańcowe cierpienia – gryzienie koca z bólu... Relacje takie budują podziw publiki dla męstwa żeglarza. Nie imponują jednak prawdziwym żeglarzom...

Jeśli składowa bohatersko-cierpiętnicza razi – są również u Teligi przykłady tzw. dobrej roboty żeglarskiej. Jednak 15 tys. mil od Dakaru, gdzie zawija Opty, zasługuje na uznanie. Oczywiście żeglarz otrzymywał z kraju jak najbardziej należną mu w tej sytuacji wszelką pomoc. Również tak samo powszechne zainteresowanie, przechodzące u laików w zachwyt.

Tymczasem na Opty sprawy idą coraz gorzej. Finalnie ciężko chory żeglarz doprowadza swój jacht via Dakar do Casablanki, skąd wyruszył przed dwoma laty i dwoma miesiącami. 28 tys. mil w 11 etapach. Niemal tego samego dnia kończy swój rejs na Suhaili roześmiany Anglik Knox Johnston. Dookoła świata non stop! 30 tys. mil w 313 dni! Jednak w szczególnej sytuacji, w jakiej znalazł się Teliga i jego jacht, rejs Opty zasługuje na oczywiste uszanowanie. Uszanowanie czy też zwyczajne ludzkie współczucie... Opty znowu zostaje załadowany na statek do Gdyni.

Po powrocie do Polski Teligę, 26. nawigatora, który okrążył glob, witają najgłośniejsze fanfary. Deszcz medali, tytułów, nagród, honorów wszelkiego kalibru. Sytuacja ta nie u każdego wzbudza zachwyt. Teliga odbywa triumfalny tour po Polsce, mężnie znosząc coraz bardziej niszczącą go chorobę nowotworową.

Umiera rok po powrocie do kraju. Pochowany w Alei Zasłużonych staje się owym putramentowym „bóstwem Polski" – honorowanym na wszystkie możliwe sposoby – aż do granic wytrzymałości.

Finale

W roku 1981, podczas dorocznego posiedzenia Joshua Slocum Society – stowarzyszenia praktyków i teoretyków samotnego jachtingu wokółziemskiego (USA), zgłoszono wniosek o pozbawienie Leonida Teligi statusu jachtsmena globokrążcy. Motywacja: dokumenty CIA i inne, wykazujące, iż rejs Teligi miał charakter wywiadowczy, zatem nie może być salutowany jako aktywność gentelmeńska i bezinteresowna, jak wymaga tego definicja jachtingu. Kierownictwo Slocum Society, prawdopodobnie rozważnie, nie przyjęło wniosku, motywując sytuację brakiem precedensu. Przesłało jednak wniosek, wraz z jego dokumentacją, do Polskiego Związku Żeglarskiego.

eprasa.pl e761a75206

Siedziba Sądu Najwyższego na warszawskim Lesznie, lata 50.

„SEKCJE TAJNE"

W SĄDOWNICTWIE POWSZECHNYM 1950–1955

W LATACH 1950–1954 POLSCY „PRAWNICY" OPRACOWALI REGUŁY TAJNEGO SĄDZENIA, KTÓRE BYŁY NARUSZENIEM WSZYSTKICH PODSTAWOWYCH ZASAD PROCESOWYCH. NA WZÓR SOWIECKI STWORZONO W WYDZIAŁACH KARNYCH SĄDÓW WOJEWÓDZKICH OSOBOJE SOWIESZCZANIJE, W LITERATURZE PRZEDMIOTU NAZWANE „SĄDEM TAJNYM"

ELŻBIETA ROMANOWSKA

Wydaje się, że powstanie w sądownictwie powszechnym nieformalnych jednostek organizacyjnych spowodowała dogmatyczna koncepcja Stalina o zaostrzaniu się walki klasowej w miarę umacniania się ustroju socjalistycznego, rywalizacja o władzę w PZPR między grupami Bieruta i Gomułki, a także chęć rozliczenia się b. działaczy Komunistycznej Partii Polski ze swymi prześladowcami i tymi z jej członków, którzy podjęli współpracę z policyjnymi organami władzy II RP.

eprasa.pl e761a75206

Podstawą do oskarżeń wielu osób o współpracę stały się odnalezione w 1947 r. dokumenty Policji Państwowej i akta Oddziału II Sztabu Głównego WP (wojskowy wywiad i kontrwywiad) z zachowanymi informacjami o ich agenturze w ruchu komunistycznym. Służby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) w posiadanie tych dokumentów weszły na przełomie lat 1948–1949. Wówczas to najwyższe kierownictwo PZPR – Bolesław Bierut, Jakub Berman i Hilary Minc – postanowiło, za zgodą uzyskaną podczas III Plenum KC PZPR w listopadzie 1949 r. wszcząć przeciw tym osobom śledztwo, a wykonawcami byli posłuszni partii komunistycznej pracownicy wymiaru sprawiedliwości.

Założyciel i jego motywy

Organizatorem „sekcji tajnej" był zastępca prokuratora generalnego PRL Henryk Podlaski, dyrektor Departamentu Nadzoru Prokuratorskiego w Ministerstwie Sprawiedliwości. To właśnie Podlaski na wyraźną prośbę Romana Romkowskiego, wiceministra bezpieczeństwa publicznego, zwrócił się z żądaniem do dyrektora Departamentu Nadzoru Sądowego w Ministerstwie Sprawiedliwości, Henryka Chmielewskiego, o zorganizowanie szczególnego sposobu rozpoznawania spraw karnych. Chmielewski był absolwentem Wydziału Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W okresie okupacji współpracował z Sowietami. W grudniu 1942 r. Sąd Specjalny Rzeczypospolitej Polskiej wydał wyrok skazujący go na karę śmierci i pozbawienie praw obywatelskich za współpracę ze „Związkiem Sowieckim na szkodę Polski". Od 1943 r. współpracował z komunistycznym Związkiem Patriotów Polskich – jak pisał w swoim życiorysie, „wykonując drobne zadania wywiadowcze". Jednak szybko został zdekonspirowany i tylko nadejście Armii Czerwonej uratowało go przed sądem polowym. Po powrocie do kraju w styczniu 1946 r. wstąpił do PPR. W uznaniu zasług dla komunistów skierowano go do MBP. Trzy lata później, w listopadzie 1949 r., na polecenie Wydziału Personalnego KC PZPR objął kierownictwo Wydziału Nadzoru Sądowego w Ministerstwie Sprawiedliwości. Nie dziwi zatem, że pod kierownictwem tak politycznie ustawionego dyrektora powoływano „sekcje tajne", które były plamą polskiego sądownictwa.

„...dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy"

Na początku 1950 r. „sekcję tajną" zorganizowano na terenie Departamentu Nadzoru Sądowego w Ministerstwie Sprawiedliwości jako organ orzekający w sprawach w I instancji. W drugiej połowie 1950 r. odpowiednia sekcja powstała w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie, a 1 stycznia 1951 r. w Sądzie Wojewódzkim dla m.st. Warszawy utworzono sekcję III w Wydziale IV określaną jako sekcję do spraw szczególnej wagi. W połowie 1951 r. „sekcję tajną" utworzono w Sądzie Najwyższym jako organ odwoławczy.

Wybrane podmiotowo sprawy karne, polityczne – zdaniem ówczesnych decydentów – o wielkiej wadze dla interesów partii i państwa – były rozpatrywane w sposób szczególny z wyłączeniem wszelkiej jawności. Taki tryb uzasadniano koniecznością ochrony dobrego imienia osób sprawujących władzę w ówczesnej Polsce, ponieważ ich nazwiska przewijały się w zeznaniach świadków i podsądnych.

Początkowo śledztwo prowadzono w kierunku popełnienia przez te osoby zbrodni szpiegostwa. Jednak po odpadnięciu tego zarzutu jako podstawę oskarżenia przyjęto dekret z 22 stycznia 1946 r. o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego; oraz dekret z 31 sierpnia 1944 r., „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną oraz dla zdrajców Narodu Polskiego".

Zakładano, że w trybie tym zostanie osądzonych ok. 100 spraw. Jednak w miarę upływu czasu ich liczba wzrosła do 506, z tym że 20 spośród nich rozpatrzono w trybie pozasądowym w Departamencie Nadzoru Ministerstwa Sprawiedliwości. Pozostałych 486 spraw rozpoznano zaś w sekcji III Wydziału IV Sądu Wojewódzkiego.

Sędziowie

Pierwszy zespół sędziów, który został powołany przez wspomnianego już Chmielewskiego do rozpatrywania tych spraw, składał się z urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości, którzy tylko z nominacji byli sędziami. Znaleźli się wśród nich: Kazimierz Czajkowski, Maria Gurowska, funkcję trzeciego sędziego pełnili wymiennie Gąbczak, Alicja Graff oraz Malina Matwin, żona wysokiego rangą

Roman Romkowski, wiceminister bezpieczeństwa publicznego

FOT. IPN

funkcjonariusza partyjnego i państwowego Władysława Matwina. Powołanie wskazanych sędziów, których cechowała jedynie wysoka świadomość polityczna i przynależność partyjna, było aktem bezprawia, niemającym odpowiedników w dziejach sądownictwa.

To w tym sądzie został skazany na karę śmierci gen. August Emil Fieldorf, bohater wojenny, dowódca Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Armii Krajowej. Najbardziej znani sędziowie „sądów tajnych" to: Igor Andrejew, Gustaw Auscaler, Jerzy Bafia, Maria Gurowska, Ignacy Iserles, Henryk Kempisty, Emil Merz, Stanisław Pławski, Mieczysław Szerer, Feliks Roszkowski, który nazywany był „Felusiem brzytewką" z powodu wyjątkowej ostrości orzekanych przez niego kar. Do aktywnych i oddanych partii sędziów należał również Marian Stępczyński, który przed 1956 r. miał „jak mówiono, niemały własny cmentarzyk", a po skazaniu na karę śmierci szefa komórki śledczej Kierownictwa Walki Podziemnej Kazimierza Moczarskiego awansował do Sądu Najwyższego. W „sądach tajnych" sądziło ogółem 50 sędziów.

„Sąd tajny" orzekał w składzie trzech sędziów zawodowych lub w składzie ławniczym. Ławnikami byli wprawieni politycznie działacze partyjni wyznaczani z listy specjalnie przygotowanej we współpracy z organami bezpieczeństwa i zatwierdzonej przez organa PZPR w Warszawie. Kary orzekane przez te „sądy" były bardzo surowe, 1/3 z nich to kary 10-letnie i dłuższe. Wykonano dziewięć wyroków śmierci. Wyroków nie ogłaszano publicznie. »

FOT. EDMUND KUPIECKI/WIKIPEDIA

eprasa.pl e761a75206

Za tajne do ewidencji, za polityczne dla prokuratury

Sprawy wpływające do „sekcji tajnej' nie były ewidencjonowane w repertorium – z uwagi na ich rzekomą ścisłą tajność, która „dochodziła do absurdu". Sekretarz rezerwował tylko numer i miejsce w repertorium. O istnieniu tych spraw wiedział jedynie Podlaski, kierownictwo Departamentu IV Generalnej Prokuratury i zaufane osoby. Sprawy te były poprzedzone wieloletnim śledztwem, z obligatoryjnym tymczasowym aresztowaniem wszystkich podejrzanych, którzy potem przebywali przez wiele lat w więzieniu mokotowskim. O areszcie tymczasowym nie decydował prokurator, lecz funkcjonariusze bezpieczeństwa publicznego. W praktyce wyglądało to tak, że przedstawiciel bezpieki zgłaszał się z wnioskiem bez akt (tj. bez materiału śledczego) do prokuratora po wydanie zgody na tymczasowe aresztowanie. Tenże prokurator otrzymywał polecenie podpisania (bez analizy akt) wniosku przygotowanego przez władze bezpieczeństwa lub wniosek podpisywał prokurator wyższego szczebla, jak Podlaski czy Stefan Kalinowski, prokurator generalny PRL. Często sprawa kończyła się tak, że sporządzony przez funkcjonariuszy śledczych akt oskarżenia wpływał do prokuratury z poleceniem merytorycznego załatwienia. Prokurator w przedmiotowej sprawie po zapoznaniu się zatwierdzał, a dyrektor Departamentu IV kierował akt oskarżenia do sądu. Należy jednak podkreślić, że brak sankcji wcale nie hamował inicjatywy funkcjonariuszy bezpieczeństwa publicznego.

Materiał dowodowy

Głównymi dowodami – zgodnie z założeniami – były na ogół wymuszane przyznania się oskarżonych do winy, pomówienia współoskarżonych i odczytywane zeznania świadków – również często wymuszane w śledztwie. Sąd nie poddawał kontroli materiału dowodowego zebranego przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa publicznego, dając wiarę tylko temu, co było zawarte w aktach. W sprawach tych brakowało na ogół dowodowych podstaw do skazania, co wykazały późniejsze procesy rehabilitacyjne.

Oskarżeni, chcąc odsłonić prawdę na temat metod śledczych i bezprawności zarzutów, demonstrowali przed sądem obrażenia ciała odniesione na skutek tortur, i to często w obecności swoich oprawców na sali rozpraw i ze świadomością, że muszą powrócić do więzienia pod ich władzę. Myśleli bowiem, że niezawisły sąd uniewinni ich od zarzutów. Jak wskazują badania akt sądowych, tak jednak nie było.

DO AKTYWNYCH I ODDANYCH PARTII SĘDZIÓW NALEŻAŁ RÓWNIEŻ MARIAN STĘPCZYŃSKI, KTÓRY PRZED 1956 r. MIAŁ „JAK MÓWIONO, NIEMAŁY WŁASNY CMENTARZYK"

Sędziowie nie zauważali skarg na zachowanie funkcjonariuszy bezpieczeństwa publicznego. W protokołach rozprawy nie czyniono o tym wzmianek. Zdarzały się także ostrzejsze reakcje sądu na ujawnienie torturowania w śledztwie przez funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa. Uznawano je za pomówienia i szkalowanie władzy, zwłaszcza Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Uważano bowiem, że czyny takie nie mogły mieć miejsca i takie wyjaśnienia poczytywano na niekorzyść oskarżonych, czemu sądy dawały wyraz w zaostrzeniu kary.

Adwokaci w tajnych procesach politycznych byli często pomocnikami oskarżenia. Oskarżeni doskonale wiedzieli, że w czasie rozprawy siedział za stołem sędziowskim zaprzedany sędzia, że prokurator jako rzecznik oskarżenia widział w siedzącym na ławie oskarżonych zbrodniarza, tylko w adwokacie chcieli widzieć swego prawdziwego obrońcę, nie dodatkowo oskarżyciela, jakim bywał najczęściej. To było największym zawodem dla oskarżonego.

Bez ludzkiego sumienia

Nadzór nad tymi śledztwami sprawował Departament Specjalny (IV) Generalnej Prokuratury, który teoretycznie miał nadzorować śledztwa prowadzone przez MBP. Departament ten nadzorował na szczeblu wojewódzkim wydziały specjalne prokuratur, które z kolei miały pełnić taką samą funkcję wobec WUBP. Należy zaznaczyć, że bezpośrednie kierownictwo Departamentu Specjalnego GP od początku jego istnienia, tj. od września 1950 do maja 1956 r., sprawował wicedyrektor tego departamentu Władysław Dymant. Prokurator Dymant legitymował się wykształceniem zawodowym. Od 1946 r. był członkiem partii komunistycznej, sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej w GP. W latach 1948–1949 „studiował" w Szkole Prawniczej we Wrocławiu i na tej podstawie został powołany do służby w komunistycznym aparacie wymiaru sprawiedliwości. W jego aktach osobowych zapisano, że „[...] wykazał zdolności organizacyjne, trafność w podejmowaniu decyzji i nawiązał właściwą współpracę z organami bezpieczeństwa". Brakowało mu tylko jednego – ludzkiego sumienia. Jak ustaliła powołana w październiku 1956 r. komisja badająca łamanie prawa w prokuraturze i w Departamencie Specjalnym PG, prokurator Dymant „nie tylko nie reagował na otrzymywane już w 1953 r. wiadomości o maltretowaniu więźniów śledczych, ale utwierdzał podległych sobie prokuratorów w przekonaniu, że jest to szkalowanie organów bezpieczeństwa publicznego".

Początkowo rozprawy odbywały się na terenie więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie z obawy przed, jak oficjalnie podano, „ucieczką bądź też próbą odbicia więźnia", a potem także w specjalnej sali nr 15 Sądu Wojewódzkiego w Warszawie.

Warto też zwrócić uwagę na dramatyzm sytuacji ludzi oskarżonych i sądzonych w tym okresie. Jeżeli oskarżony przyznał się do przestępstwa, którego nie popełnił, to został skazany zgodnie z zarzutem. Natomiast jeśli się nie przyznał, odpowiadał za to, że negował „prawdę" o sobie, ustaloną przez funkcjonariusza bezpieczeństwa publicznego, zatwierdzoną przez prokuratora i przedstawioną sądowi do wydania wyroku skazującego.

„Sekcje tajne" w sądownictwie powszechnym zlikwidowano na początku 1955 r., jednak sprawy dotyczące tzw. czystości szeregów PZPR sądzono nadal z wyłączeniem jawności (np. sprawa Włodzimierza Lechowicza czy Stefana Kilanowicza, czyli Grzegorza Korczyńskiego, w 1955 r.).

Autorka pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej

eprasa.pl e761a75206

CECYLIA RENATA

PRZYSZŁA KRÓLOWA RZECZYPOSPOLITEJ URODZIŁA SIĘ W 1611 r., JEJ OJCEM BYŁ ARCYKSIĄŻĘ FERDYNAND Z RODU HABSBURGÓW, PÓŹNIEJSZY CESARZ FERDYNAND II, MATKĄ NATOMIAST MARIA ANNA, KSIĘŻNA BAWARSKA Z RODU WITTELSBACHÓW

MAREK BARAŃSKI

Całe dzieciństwo i młodość Cecylia spędziła na cesarskim dworze w Wiedniu, w Pradze, w Ratyzbonie. Z domu wyniosła głęboką pobożność, poznała też łacinę, nauczyła się mówić po włosku. Dzięki wychowaniu stała się osobą bardzo kulturalną, uwielbiała muzykę, ale też lubiła polowania.

W 1636 r. król polski Władysław IV uzyskał zgodę cesarza Ferdynanda II na poślubienie jego córki Cecylii Renaty. W następnym, 1637 r. została zawarta stosowna umowa i w sierpniu tego roku odbył się w Wiedniu ślub per procura. Pana młodego zastępował jego brat Jan Kazimierz. Właściwy ślub odbył się we wrześniu 1637 r. w Warszawie, a dzień po nim koronacja królowej. Uroczystości weselne były wspaniałe, jednak niezadowolenie wywołała koronacja królowej w Warszawie, a nie w Krakowie.

Władysław był nieco rozczarowany swą żoną. Była wprawdzie wykształcona, miła, kulturalna, ale nie była piękna. Pewnie dlatego mimo ślubu pozostawił na zamku w Warszawie swą kochankę, Jadwigę Łuszkowską. Tego jednak Cecylia Renata nie mogła ścierpieć i wymogła na mężu usunięcie rywalki. Władysław wydał więc Jadwigę dobrze za mąż za starostę mereckiego Jana Wypyskiego i sprawa została załatwiona. Nie ułatwiało współżycia małżonków zdrowie Władysława. Król cierpiał na silny artretyzm, a gdy zaczynał odczuwać bóle, bywał nieprzyjemny.

Początkowo nowa królowa spotkała się z niechęcią królewskiego otoczenia, jednak z czasem stworzyła własne stronnictwo. Dzięki temu mogła mieć pewien wpływ na rozdawnictwo urzędów. Bardzo serdeczne stosunki łączyły ją z królewskimi braćmi, Janem Kazimierzem i Karolem Ferdynandem, zaprzyjaźniła się z królewską siostrą Anną Katarzyną Konstancją. Nie wtrącała się do polityki, nigdy nie występowała przeciw polskim interesom.

Cecylia Renata nie była osobą wybitną, ale wzorowo sprawowała funkcję żony i królowej. Znalazła uznanie poddanych. Mimo to między małżonkami dochodziło do sporów – król narzucił żonie niemiłego jej marszałka dworu, zmusił do oddalenia przyjaciółki. Jednak łączyły ich wspólne zainteresowania. Oboje uwielbiali muzykę, teatr i balet, Cecylia Renata nawet opracowywała choreografię przedstawień baletowych. Brała też czynny udział w urządzanych na zamku warszawskim balach, chętnie tańczyła. To zbliżyło do siebie małżonków. Znaczenie królowej wzrosło, gdy w 1640 r. urodziła syna Zygmunta Kazimierza, w którym powszechnie widziano następcę tronu. Cecylia Renata urodziła jeszcze dwie córki, pierwszą w 1642 r., dziecko to przeżyło tylko jeden miesiąc, drugą w 1644 r. Niestety dziewczynka urodziła się martwa, a dzień później zmarła też Cecylia Renata. Śmierć tę Władysław bardzo przeżył, żałowali królowej również jej poddani. Pobożność, kultura, a także to, że uznała polskie zwyczaje i nie starała się wpływać na politykę, zaskarbiły jej powszechne uznanie.

Majątkiem Cecylii było nadane jej starostwo golubskie. Była dobrą gospodynią, miała duże dochody. Posądzano ją o skąpstwo, jednak skąpa nie była, hojnie obdarowywała wydawane za mąż panny ze swojego dworu. Chciała też pozostawić jak największy majątek synowi, bo choć powszechnie widziano w nim następcę tronu, to przecież wiedziała, że w Rzeczypospolitej królów się wybiera, i nie mogła być pewna jego przyszłości.

Cecylia Renata zmarła w Wilnie, ale pochowana została w Krakowie na Wawelu, natomiast jej serce pozostało w Warszawie.

FOT. KHM.AT

eprasa.pl e761a75206

RADIO GDAŃSK NA SZLAKU EDUKACJI I HISTORII

BYŁ GENIALNYM PIANISTĄ, WYBITNYM DYPLOMATĄ, MĘŻEM STANU, POLSKIM PATRIOTĄ, JEDNYM Z OJCÓW ODRODZONEJ W 1918 r. RZECZYPOSPOLITEJ. IGNACY JAN PADEREWSKI. W CZERWCU, Z OKAZJI 80. ROCZNICY ŚMIERCI, JEGO POSTAĆ PRZYPOMNIAŁO RADIO GDAŃSK. TERAZ, DZIĘKI WSPÓŁPRACY GDAŃSKIEJ ROZGŁOŚNI POLSKIEGO RADIA Z MAGAZYNEM „wSIECI HISTORII", SŁUCHOWISKO „PADEREWSKI. MAESTRO, LEGENDA EPOKI" TRAFIA DO SŁUCHACZY W CAŁEJ POLSCE

Obchodzoną wciąż w postaci wielu edukacyjno-historycznych projektów, często organizowanych oddolnie przez organizacje społeczne, setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości (z kulminacją w 2018 r.) należy uznać za wielki sukces w kontekście tożsamościowym i patriotycznym. Warto wskazać co najmniej dwa wymiary. Po pierwsze, pokazała ona, że odzyskanie niepodległości w 1918 r., a później scalenie ziem dawnych zaborów i obrona granic odrodzonego państwa, były wieloletnim procesem, m.in. z przygotowanymi na odpowiedni moment historyczny elitami narodu, a nie jednorazowym spontanicznym działaniem. Po drugie, obchody rocznicowe pozwoliły w większym stopniu wypromować całą paletę Ojców Niepodległości II Rzeczypospolitej, którzy dotychczas pozostawali w cieniu dwóch najważniejszych z tej palety, nie da się ukryć, czyli Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego (zwłaszcza pierwszego z nich) – Ignacego Daszyńskiego, gen. Józefa Hallera, Wincentego Witosa, Wojciecha Korfantego oraz Ignacego Jana Paderewskiego. Każdy z tego grona zasługuje na pamięć i szacunek, ale pod wieloma względami wyróżnia się postać „mistrza Jana".

Dał nam przykład Paderewski

Nie ma sensu przywoływać w tym miejscu w sposób szczegółowy biografii Paderewskiego. Warto hasłowo przypomnieć to, co najważniejsze. Potencjał, jaki niosą z sobą kultura i twórczość wielkich artystów. Potrafią oni kumulować wokół siebie wielką energię społeczną, inspirować innych nie tylko w kontekście artystycznym. Jeśli angażują tę energię we właściwą stronę, np. działalności patriotycznej, ta moc może mieć historyczne znaczenie. Polacy doświadczyli tego właśnie m.in. w latach I wojny światowej, gdy Ignacy Paderewski, wówczas już słynny i uwielbiany pianista, potrafił swój autorytet w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych, erudycję, znajomość języków obcych i zdolności dyplomatyczne wykorzystać dla sprawy najważniejszej – niepodległości Polski. Jak sam mawiał, był swoistym ambasadorem państwa, którego wówczas nie było na mapach świata. To on w dużej mierze przekonał elity zachodnie, głównie amerykańskie, do tego, aby powstała niepodległa Polska z dostępem do morza. Gdy była taka potrzeba, w kluczowym momencie integracji państwa i narodu, nie zawahał się zostać delegatem na konferencję pokojową w Paryżu, a także premierem i ministrem spraw zagranicznych.

Życie i działalność Ignacego Jana Paderewskiego wskazują zatem na najwyższe cele – niezależnie od życiowego powołania i drogi zawodowej musimy się angażować w życie społeczeństwa, działać na rzecz dobra wspólnego. To kwintesencja patriotyzmu. Przykład Paderewskiego pokazuje też, że samorealizacja i poświęcenie dla ojczyzny dają się pogodzić. Dając cząstkę z siebie innym, nie tracimy wolności indywidualnej ani możliwości swobodnego działania.

W kontekście miejsca działalności Radia Gdańsk warto przypomnieć, że to właśnie do Gdańska Paderewski przypłynął statkiem, aby 25 grudnia 1918 r. zejść na ląd i następnie udać się pociągiem do Poznania. Tam jego przyjazd i płomienne patriotyczne wystąpienie stały się impulsem do wybuchu powstania wielkopolskiego. Podpis Paderewskiego w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej pod traktatem

FOT. ROMAN JOCHER/RADIO GDAŃSK

eprasa.pl e761a75206

wersalskim potwierdzał powrót zdecydowanej większości ziem Pomorza Gdańskiego (niestety bez Gdańska) do Polski. To m.in. dlatego gdański oddział IPN i Stowarzyszenie „Godność" wystąpiły z inicjatywą postawienia w Gdańsku pomnika tego wielkiego pianisty i dyplomaty.

Misja mediów publicznych

Słuchowisko „Paderewski. Maestro, legenda epoki" prowadzi słuchacza przez życie wybitnego muzyka, którego wielka historia skierowała na pole działalności publicznej. Poza głównym bohaterem pojawiają się m.in. prezydent Stanów Zjednoczonych Thomas Woodrow Wilson, marszałek Józef Piłsudski, najbliższa rodzina pianisty czy wybitna aktorka Helena Modrzejewska.

Produkcja słuchowiska poświęconego Paderewskiemu była konsekwencją innych działań z zakresu edukacji, historii i tożsamości narodowej, realizowanych przez Radio Gdańsk w ostatnich latach. W 2018 r., dzięki inicjatywie ówczesnego prezesa Andrzeja Liberadzkiego, rozgłośnia zrealizowała cykl audycji „Pomorzanie polskiej niepodległości". W 2019 r. w gdańskiej rozgłośni powstały m.in. słuchowisko poświęcone bł. ks. Jerzemu Popiełuszce (w 35. rocznicę śmierci) oraz koncert upamiętniający ofiary stanu wojennego.

W 2020, roku wielkich rocznic historycznych, Radio Gdańsk zrealizowało wielowymiarowy projekt „#Pamięć", w atrakcyjnej i zróżnicowanej formie upamiętniający 80. rocznicę zbrodni katyńskiej i 10. rocznicę tragedii smoleńskiej, 40. rocznicę strajków w sierpniu 1980 r. i powstania Solidarności oraz 50. rocznicę zbrodni Grudnia '70. W ramach projektu, zrealizowanego we współpracy m.in. z IPN, Muzeum II Wojny Światowej, NSZZ „Solidarność" i Stowarzyszeniem „Godność" powstały cykle audycji, seria notacji audio-wideo „Wielka Solidarność" (notacje znalazły się później na portalu archiwum historii mówionej IPN Opowiedziane.ipn.gov.pl), okolicznościowe wydawnictwa DVD, a także zorganizowano koncerty młodego wybitnego pianisty Szymona Nehringa, Dariusza Malejonka i „Panien Wyklętych" oraz Orkiestry Kameralnej Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina pod batutą kompozytora i dyrygenta Rafała Janiaka. Dla uczczenia pamięci ofiar komunistycznej zbrodni z grudnia 1970 r. orkiestra wykonała premierowo zamówiony przez Radio Gdańsk utwór „Grudniowy tren". Autor kompozycji Rafał Janiak wspólnie z rozgłośnią nawiązał w ten sposób do polskiej tradycji artystycznej komponowania utworów elegijnych w rocznice tragicznych wydarzeń.

W dramatyczną grudniową rocznicę Radio Gdańsk przygotowało także słuchowisko „Ostry dyżur", którego twórcy zostali niedawno uhonorowani prestiżową Nagrodą im. Byrskich podczas festiwalu Dwa Teatry.

To wszystko pokazuje, jak wiele funkcji instytucjonalnych spełniają we współczesnym świecie, zwłaszcza w ostatnich latach naznaczonych pandemią koronawirusa, publiczne rozgłośnie radiowe. To nie tylko, chociaż przede wszystkim media, ale także w pewnym wymiarze instytucje kultury, mecenasi artystów, integratorzy i organizatorzy debaty publicznej, platformy dostępu do treści wysokiej jakości.

Trzeba podkreślić, że taka działalność misyjna jest cechą charakterystyczną nie tylko Polskiego Radia Rozgłośni Regionalnej w Gdańsku, czyli Radia Gdańsk SA. Podobne projekty w ostatnich latach zrealizowały inne publiczne rozgłośnie regionalne oraz samo Polskie Radio. Odrębne spółki z rodziny mediów publicznych współpracują zresztą w tym zakresie, chociażby emitując wzajemnie swoje produkcje.

Czy taka działalność ma sens? Maestro Ignacy Jan Paderewski, jak sądzę, nie miałby wątpliwości.

ADAM CHMIELECKI

Autor jest politologiem, doktorem nauk społecznych, dziennikarzem i publicystą, od 2019 r. prezesem zarządu i redaktorem naczelnym Radia Gdańsk

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 21/0821/F

eprasa.pl e761a75206

POETA GAJCY – „ORGANIZATOR PAMIĘCI NARODOWEJ"

IDĘ NIESPIESZENIE ul. DZIKĄ W WARSZAWIE, TRZYMAJĄC W DŁONI TOMIK POEZJI TADEUSZA GAJCEGO. ZATRZYMUJĘ SIĘ W MIEJSCU OZNACZONYM DAWNIEJ NUMEREM 43/45, GDZIE PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT 8 LUTEGO 1922 r. PAMIĘĆ O POETACH PRZETRWA TAK DŁUGO, JAK DŁUGO BĘDZIEMY CZERPAĆ Z ICH WIERSZY

MARTA CYWIŃSKA

Gajcy, znany także pod pseudonimami Karol Topornicki, Roman Oścień, Topór – obok Krzysztofa Kamila Baczyńskiego uważany jest do dziś za najwybitniejszego poetę pokolenia Kolumbów. Jego przodkowie przed laty przybyli z Węgier do Polski. Duży wpływ na wychowanie małego Tadka miała babcia. Jego ojciec był ślusarzem w praskim Taborze Kolejowym, matka zaś pracowała jako położna. W 1935 r. został przyjęty do Gimnazjum oo. Marianów na Bielanach i zaczął się bliżej interesować literaturą – w tym przede wszystkim poezją. Służył wówczas podczas porannych mszy w kościele Jana Bożego.

„Gwiazdy niejasnej prowadzony wzorem" (Kantyczka)

We wrześniu 1939 r. zgłosił się do wojska, ale nie przyjęto go z racji wieku. Dotarł pieszo do Włodawy już jako junak Przysposobienia Wojskowego. Do rodzinnego miasta powrócił jednak dopiero po kapitulacji stolicy. Kontynuował naukę na tajnych kompletach licealnych zorganizowanych przez oo. marianów w legalnej Miejskiej Szkole Drogowej. Zdał pomyślnie maturę wiosną 1941 r., a następnie został studentem I roku polonistyki na tajnych kompletach Uniwersytetu Warszawskiego.

„Gdzie zgięty domem grajek smyczkiem/ spod palców wartkich toczy ziemię"

Podczas studiów zaprzyjaźnił się z poetą Zdzisławem Stroińskim, który wiązał swe plany na przyszłość z palestrą. W 1941 r. Tadeusz został członkiem konspiracyjnej organizacji Konfederacja Narodu, założonej z inicjatywy przedwojennego RNR „Falanga". Działał w kręgu młodych twórców skupionych wokół pisma „Sztuka i Naród" oraz związał się z periodykiem „Nowa Polska – Wiadomości Codzienne". Pisał także błyskotliwe reportaże.

Debiutował w 1942 r. na łamach „Sztuki i Narodu" wierszem „Wczorajszemu". W 1942 r. został członkiem redakcji. Po śmierci poety Andrzeja Trzebińskiego przejął obowiązki redaktora naczelnego „Sztuki i Narodu" – jedynego wychodzącego regularnie w czasie okupacji niemieckiej pisma literackiego. Pierwszy numer ukazał się 2 kwietnia 1942 r. Początkowo pismo miało formę zeszytów powielanych, od jesieni 1943 r. było drukowane. Łącznie ukazało się 16 numerów (ostatni w lipcu 1944 r.). Niestety znaczna część nakładu ostatniego numeru spłonęła w powielarni.

Gajcy drukował tam swoje utwory poetyckie, fragmenty prozy, artykuły i recenzje. Wielokrotnie podejmował polemikę z poetyką Skamandra, zarzucając jej teoretykom koniunkturalizm. Prowadził spory z twórcami Awangardy Krakowskiej, kwestionując ich przerost formy nad treścią. Jego płomienne polemiki ominęły twórczość zaledwie dwóch poetów: Józefa Czechowicza i Czesława Miłosza, a czynnikiem decydującym nie była bynajmniej nadrealistyczna wyobraźnia obu, lecz „wysublimowany", niezwykle obrazowy katastrofizm – bliski także Gajcemu twórcy.

Debiutancki tomik Gajcego „Widma" ukazał się w podziemnym wydawnictwie w maju 1943 r., kolejny w 1944 – „Grom powszedni". Gajcy deklarował potrzebę tworzenia poezji narodowej. Wierny Ojczyźnie – również jako poeta zachęcał do romantycznych porywów serca oraz bezwarunkowego heroizmu:

eprasa.pl e761a75206

„Już jutro może nie ostygłym
od łuny okiem będę musiał
ogarnąć świat i spojrzeć wprost
na nieba lot i tęczy most; –
już jutro może dym jak widły
zapachnie chlebem, ognia rózga
wysokim kwiatem w ogród spadnie,
a ptak, co w smutku miał mieszkanie,
odmiennym szeptem zamknie sen”
– pisał w „Na progu”.

„Taką klechdą przełamał się dzień/ walczącej Warszawy” (Wczorajszemu)

Gajcy zafascynowany był najpierw liryką tyrtejską, nawiązującą do walki o niepodległość. Jej nazwa wywodzi się od poety Tyrtajosa – który płomiennym słowem poetyckim zachęcał do heroizmu i złożenia w ofierze własnego życia. Jednak w swojej dojrzałej twórczości wypracował własną wizję poezji. Wyrazem tej konwencji jest m.in. słynna maksyma „dulce et decorum est pro patria mori” („słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę”) z pieśni 2 księgi III Horacego. Często posługiwał się konwencją oniryczną dla łączenia elementów realistycznych oraz baśniowych. Fascynowała go także proza poetycka oraz poematy. Inspirowały go również ballady, bajki, kolędy, piosenki.

Twórczość poetycka Gajcego skupia się w tomach „Widma” oraz „Grom powszedni” (wydanych w podziemiu w 1943 r.), wierszach i opowiadaniach publikowanych na łamach „Sztuki i Narodu” oraz utworach pozostawionych w rękopisach (m.in. „Misterium Niedzielne” oraz dramat „Homer i Orchidea”). W tomie „Grom powszedni” z 1944 r. przewodnim motywem wierszy stały się myśl o mistycznym sensie ofiary w imię miłości do ludzi i ojczyzny, a także Tanatos i Eros pospołu.

Po II wojnie światowej ukazały się „Utwory zebrane. Poezje i dramat »Homer i Orchidea«”, „Gajcego »Utwory wybrane. Wiersze – Poematy – Proza«” oraz „Pisma. Juwenalia – Przekłady – Wiersze – Poematy – Dramat – Krytyka i publicystyka literacka – Varia”.

W 1942 r. otrzymał II nagrodę literacką w konkursie „Biuletynu Informacyjnego” na marsz żołnierski za wiersz „Uderzenie”. Rok później został laureatem nagrody „Kultury Jutra” za „Rapsod o Warszawie” oraz „Śpiew murów”. W tym samym czasie zaniechał planów na przyszłość, by zaangażować się całkowicie w konspirację. W 1943 r. uczestniczył w Kursach Prasowych Sprawozdawców Wojskowych organizowanych przez Biuro Informacji i Propagandy AK. Po wybuchu powstania walczył na Starym Mieście w grupie szturmowo-wypadowej porucznika „Ryszarda”.

Czy już wtedy przeczuwał, jak potoczą się jego losy?

„Ufałeś: na niebo jak na strunę miękko złożysz dłoń,
muzykę podasz ustom, utoczysz dotknięciem,
łukiem wiersza wysokie księżycowe tło
wprowadzisz w bezmiar dolin –
Modlitwę nocnych cieni rozwiesisz jak więcierz,
na słodkich oczach dziewann i szumach topolich”
(Wczorajszemu).

„Jak nie kochać strzaskanych tych murów/ tego miasta, co nocą odpływa” (Epitafium)

25 maja 1944 r. trzej młodzi poeci: Tadeusz Stefan Gajcy, Wacław Bojarski, Zdzisław Stroiński, poszli złożyć wieniec pod pomnikiem Kopernika. Aresztowano Bojarskiego i Stroińskiego.

16 sierpnia 1944 r. Gajcy zginął jako żołnierz AK w kamienicy mieszczącej się przy ul. Przejazd nr 1/3 (czyli przy dzisiejszej ul. Generała Andersa), wysadzonej przez niemieckich żołnierzy. Niektóre źródła podają inną możliwą datę – 22 sierpnia 1944 r. koło Arsenału.

Jego „Poemat letargiczny” brzmi zaś jak profetyczne epitafium:

„Tak; w tych ścianach, za którymi piękna
błyskawica jak głóg ostra miota znaki smutnym,
noc trwa ciągła: to jej usta uporczywe zostały na sękach,
to jej palce widzę w deskach czarne jak na płótnie”.

Finał

Pismo „Sztuka i Naród” opatrzone było sparafrazowanymi słowami Cypriana Kamila Norwida: „Narodowy artysta organizuje wyobraźnię jak na przykład polityk narodowy organizuje siły stanu”, które – w zmienionej formie – brzmiały: „Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej”. I takim powinien pozostać w naszej pamięci Tadeusz Gajcy.

FOT. MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

eprasa.pl e761a75206

Sprawa przynależności Wilna była główną przeszkodą w relacjach polsko-litewskich na emigracji. Na zdjęciu: panorama Wilna, lata 30. XX wieku

O FEDERACJĘ Z LITWĄ

STWORZENIE REGIONALNEGO ZWIĄZKU (FEDERACJI) PAŃSTW LEŻĄCYCH POMIĘDZY BAŁTYKIEM, MORZEM CZARNYM I ADRIATYKIEM ZAJMOWAŁO POCZESNE MIEJSCE W POLITYCE RZĄDU POLSKIEGO W OKRESIE II WOJNY ŚWIATOWEJ. PROJEKTOWANY BLOK PAŃSTW, OPRÓCZ POLSKI, OBEJMOWAĆ MIAŁ CZECHOSŁOWACJĘ I LITWĘ ORAZ WĘGRY, JUGOSŁAWIĘ, RUMUNIĘ. BĘDĄC FILAREM POKOJU W POWOJENNEJ EUROPIE, MIAŁ STANOWIĆ RÓWNIEŻ JEDEN Z PODSTAWOWYCH FUNDAMENTÓW BEZPIECZEŃSTWA POLSKI

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl e761a75206

KRZYSZTOF TARKA

Pomijając nawet – kluczową przecież – sprawę zainteresowania poszczególnych rządów ideą związku (federacji), jakiekolwiek rokowania utrudniało to, że żadne z państw, które brane były pod uwagę, nie było w okresie wojny w pełni suwerenne i niepodległe. Część z nich należała do obozu alianckiego (Polska, Czechosłowacja, Jugosławia), część była sojusznikami Niemiec (Węgry, Rumunia), status Litwy był zaś dość problematyczny. Dochodziło do tego znaczne zróżnicowanie polityczne i etnograficzne, a co chyba najważniejsze, poważne konflikty i spory między poszczególnymi państwami jeszcze z wcześniejszego okresu. Pamiętać należy również o zdecydowanej niechęci Związku Sowieckiego do idei federacyjnych oraz obojętnym ustosunkowaniu się do nich mocarstw zachodnich (Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii) w decydującej fazie wojny. Ostatecznie te śmiałe i dalekosiężne projekty przekreśliły sukcesy Armii Czerwonej oraz zmiany polityczno-ustrojowe w tej części Europy, która na kilkadziesiąt lat znalazła się pod dominacją Kremla.

Sondowanie Litwinów

Myśląc o powojennej organizacji państw w Europie Środkowo-Wschodniej, władze polskie stanęły również przed koniecznością rozwiązania kontrowersji w stosunkach z Litwą. Rząd polski miał nadzieję, że uda się skłonić Litwinów do związku (federacji) z Polską. Rozbieżności w podstawowej dla obu stron kwestii wileńskiej sprawiły, iż ewentualny kompromis okazał się niemożliwy do osiągnięcia.

Zaledwie trzy dni po wkroczeniu Litwinów do Wilna, 31 października 1939 r. minister spraw zagranicznych August Zaleski spotkał się w Paryżu z posłem litewskim we Francji Petrasem Klimasem. Szef polskiej dyplomacji nie poruszył w rozmowie z dyplomatą litewskim kwestii wileńskiej. Nawiązując w pierwszych tygodniach wojny kontakt z Litwinami, rząd RP miał nadzieję, iż w przyszłości możliwa będzie zasadnicza poprawa wzajemnych stosunków.

Świadectwem zainteresowania Litwą była uchwała Komitetu Ministrów dla Spraw Kraju z 15 listopada 1939 r., w której zalecano, „nie przesądzając przyszłej formy współżycia obu państw i narodów, podtrzymywać i rozwijać jak najlepsze stosunki z Litwinami". Chcąc wciągnąć Litwę do wzajemnej współpracy, za pożyteczne uznano wykazywanie Litwinom korzyści, jakie mogliby uzyskać jako członek związku państw Europy Środkowo-Wschodniej. W tym celu postulowano wykorzystywać jak najszerzej „obawy Litwy w obliczu Niemiec i Rosji sowieckiej".

Wrogość Kowna i Sowieci

O koncepcjach regionalnego porozumienia 30 grudnia 1939 r. szefa litewskiej dyplomacji Juozasa Urbšysa poinformował nieoficjalny przedstawiciel rządu polskiego na Litwie prof. Adam Żółtowski. Podkreślił, iż Polska „pragnie na przyszłość najściślejszej i najżywszej współpracy" z Litwą. Strategicznym celem rządu polskiego było „stworzenie na wschodzie Europy grupy państw zdolnej do realnego zapobieżenia powtórzeniu się nowej katastrofy". Żółtowski zapewniał, że ze strony Polski nie ma żadnych zamysłów „ujarzmienia kogokolwiek, lecz jest oczekiwana możność oparcia się o obu naszych sąsiadów od północy i południa [czyli Litwę i Czechosłowację – K.T.], zagrożonych tymi samymi, co my niebezpieczeństwami". Polskie propozycje nie wzbudziły jednak zainteresowania w Kownie.

W kręgach polskiej emigracji we Francji nie wszystkich przekonywała opinia ministra Zaleskiego o konieczności, a zwłaszcza możliwości, bliskiej współpracy Polski i Litwy po zakończeniu wojny. Na posiedzeniu Komitetu Ministrów dla Spraw Kraju gen. Kazimierz Sosnkowski stwierdził: „Jeżeli chodzi o rozwiązanie zagadnienia Litwy, to mamy trzy ewentualności: albo aneksja, albo unia, albo odebranie tego, co było nasze przed wojną". Nadzieje na pojednanie i porozumienie z Litwą rozwiewał przybyły z Kowna Żółtowski. Jednoznacznie stwierdził: „Nie ulega wątpliwości, że iluzji sobie robić nie trzeba. [...] Dla Litwinów wrogiem numer jeden jest Polska i polskość".

Wiosną 1940 r. zaostrzeniu uległy stosunki sowiecko-litewskie. Niebawem (formalnie 3 sierpnia) Litwa stała się republiką sowiecką. Opowiadając się za utrzymaniem przedwojennego status quo, rząd polski przeciwny był aneksji Litwy przez Związek Sowiecki. W wytycznych polskiej polityki zagranicznej przyjętych w końcu sierpnia 1940 r. wskazywano, iż „przyjazne współżycie z Litwą jest stałym celem polityki Polski, dbałej o niepodległy byt Litwy, a również przynależność do Litwy ujścia Niemna w Kłajpedzie, zajętej przez Niemcy, uznaną jest w Polsce za słuszną". Starając się skierować zainteresowanie Litwy ku Kłajpedzie, niewątpliwie liczono, iż tym sposobem uda się ominąć sprawę Wilna – najbardziej zapalny i drażliwy element we wzajemnych stosunkach. Ewentualne zainteresowanie Litwy Kłajpedą, a w konsekwencji zaostrzenie relacji litewsko-niemieckich, miało też – w zamyśle władz polskich – skłonić Litwę do szukania poparcia w Polsce, a tym samym przyczynić się do poprawy wzajemnych stosunków.

Ucieranie konceptów

W połowie grudnia 1940 r. na forum Rady Narodowej doszło do burzliwej debaty w sprawie litewskiej. Ujawniły się w niej różne poglądy na charakter i formy przyszłych relacji z Litwą. Przedstawiciel Stronnictwa Pracy Michał Kwiatkowski stwierdził, iż doświadczenie przeszłości wykazało, że Litwa jako samodzielne niepodległe państwo istnieć nie może. Ze względu na bezpieczeństwo Polski Kwiatkowski za optymalne rozwiązanie uważał jakąś formę protektoratu Polski nad Litwą: „Gdyby Polska miała pewne prawa na Litwie, to Niemcy nie tak łatwo mogliby wykonać ruch oskrzydlający swoją armią via Prusy Wschodnie na Brześć Litewski, a potem na Warszawę". Z wypowiedzią przedstawiciela SP zgodził się gen. Lucjan Żeligowski. Odmiennego zdania był Stanisław Mackiewicz. Były redaktor wileńskiego „Słowa" podkreślił, iż „polityka litewska jest najbardziej zadrażnioną sprawą, ponieważ były ciągłe nieporozumienia i walki, [...] nawet w tym wypadku, kiedy chodzi o naszego sąsiada [...], który zawsze popierał antypolskie plany [...], wyciągamy pierwsi rękę, a dlaczego pierwsi?, bo jesteśmy silniejsi". W dalszej części dyskusji głos zabrał m.in. Adam Ciołkosz. Przedstawiciel Polskiej Partii Socjalistycznej podkreślił, iż „przed takimi rzeczami – żeby dla przykładu – wchłonąć Litwę – należy ostrzegać". Podobny był ton wypowiedzi bp. Józefa Gawliny, który podczas ostatniego dnia posiedzenia stwierdził: „Mówimy inkorporować Litwę, a cóż powiemy, jeżeli ktoś zechce inkorporować Polskę? Litwa jest małym państwem, ale gdzież są dzisiaj granice między małością i wielkością państw – poza imperium?". Wtórował mu przedstawiciel Stronnictwa Ludowego »

eprasa.pl e761a75206

Władysław Banaczyk, podkreślając, że „tak Litwinom, jak i innym narodom, należy się byt państwowy i suwerenność narodowa". W dyskusji większość mówców opowiadała się jednak za istnieniem niepodległego państwa litewskiego. W zasadzie wszyscy się zgadzali, że Litwa była dotychczas krajem nieprzychylnym Polsce. Różne były poglądy na to, jak zmienić tę niekorzystną sytuację. Zastanawiano się, czy skuteczniejsza będzie „miękka" czy „twarda" polityka wobec Litwy.

Litwa a wojna Niemców z Sowietami

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. wywarł znaczący wpływ na próby zbliżenia do Polaków podejmowane przez litewskich emigrantów. W sytuacji gdy Związek Sowiecki stał się sojusznikiem Wielkiej Brytanii, Litwini obawiali się, że Anglicy mogą zaakceptować wcielenie trzech państw bałtyckich do ZSRS. Kontakty z przedstawicielami rządu polskiego dawały szansę na aktualizację idei niepodległości Litwy na arenie międzynarodowej. Zdecydowało to o zmianie postawy emigrantów litewskich wobec władz polskich.

17 lipca 1941 r. poseł RP w Szwajcarii Aleksander Ładoś poinformował ministra Zaleskiego, iż zgłosili się do niego dyplomaci litewscy Petras Klimas i Eduardas Turauskas z propozycją nawiązania rokowań z rządem polskim „co do porozumienia i współpracy na zasadzie suwerenności Państwa Litewskiego, ale związanego z Polską w federację regionalną". Jak dotąd była to najdalej idąca propozycja ze strony litewskiej, jednak brak na emigracji litewskiego rządu czy choćby komitetu narodowego stawiał pod znakiem zapytania kompetencje dyplomatów litewskich.

Kłajpeda za Wilno?

Propozycja litewska trafiła też na skomplikowany dla polskiej dyplomacji okres. 5 lipca 1941 r. w Londynie doszło do pierwszego spotkania premiera Władysława Sikorskiego z ambasadorem sowieckim w Wielkiej Brytanii Iwanem Majskim. Rozmowy polsko-sowieckie zakończyły się co prawda podpisaniem 30 lipca 1941 r. układu o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych, ale ich efektem były także kryzys rządowy i rezygnacja m.in. Augusta Zaleskiego z funkcji ministra spraw zagranicznych.

W okólniku Ministerstwa Informacji i Dokumentacji z 15 sierpnia 1941 r. przedstawiono dotychczasowy stan oraz perspektywy kontaktów polsko-litewskich. W dokumencie podkreślono, że punktem wyjścia dwustronnych rozmów „może i musi być wyłącznie stan rzeczy między Polską i Litwą sprzed 1 września 1939 r.". Godzono się na dyskutowanie spraw terytorialnych „jedynie w płaszczyźnie obustronnych poprawek granicznych", które dotyczyć by miały tylko niewielkich, przygranicznych obszarów. „Sprawa przynależności Wilna – jak jednoznacznie stwierdzono – musi być od razu wykluczona z dyskusji". Wobec Litwinów godzono się jedynie na udzielenie im na terenie miasta Wilna koncesji o charakterze historyczno-kulturalnym, włącznie z wydzieleniem nawet małej dzielnicy litewskiej. Takie propozycje Litwinów nie interesowały. Chodziło im nie o symboliczne ustępstwa, ale o całe Wilno. Polacy ciągle mieli nadzieję na odciągnięcie Litwinów od Wilna, w tym celu deklarowali poparcie ich „morskich" aspiracji. Kalkulowano, że konieczność zasymilowania części Prus Wschodnich i Kłajpedy, włączonych po zakończeniu wojny do Litwy, będzie dla niej „olbrzymim zadaniem" i powinna również wpłynąć ograniczająco na litewskie ambicje terytorialne.

DLA LITWINÓW WROGIEM NUMER JEDEN JEST POLSKA I POLSKOŚĆ

Chwilowa iluzja zbliżenia

Ożywienie wzajemnych kontaktów przyniósł początek 1942 r. Wpłynęły na to nasilające się informacje o rokowaniach brytyjsko-sowieckich i niepewność co do tego, jak zostanie w nich potraktowana Litwa. Obawy, że Anglicy mogą uznać aneksję państw bałtyckich przez ZSRS, niepokoiły także władze polskie. W styczniu 1942 r. nowy kierownik MSZ Edward Raczyński ostrzegał posła litewskiego w Londynie Broniusa Balutisa o niekorzystnym rozwoju sytuacji międzynarodowej. Podobny charakter miały nakazane przez MSZ rozmowy polskich dyplomatów z Litwinami w Waszyngtonie, Bernie i Watykanie. W tej sytuacji Polacy nalegali, aby posłowie litewscy jednostronnie zadeklarowali wobec aliantów wolę przystąpienia Litwy do związku państwowego z Polską.

W odpowiedzi dyplomaci litewscy w Szwajcarii, Jurgis Šaulys oraz Turauskas, przedstawili projekt dwustronnej deklaracji polsko-litewskiej. Nie regulowała ona sprawy przynależności państwowej Wilna, sygnalizowała natomiast wolę stron rozwiązania nawarstwionych problemów. Deklaracja, mimo znacznej ogólnikowości i pominięcia kluczowych we wzajemnych relacjach spraw terytorialnych, mogłaby być rozwiązaniem w dobrym kierunku. Problem tkwił w tym, że ze strony litewskiej akceptowali ją jedynie Šaulys i Turauskas. W sytuacji, gdy podpis Ładosia na dwustronnej deklaracji obowiązywał rząd polski, to podpisy Šaulysa i Turauskasa mogły być bez żadnych konsekwencji zdezawuowane przez emigrację litewską.

Ostatecznie w czerwcu 1942 r. minister Raczyński upoważnił Ładosia do wzajemnej wymiany not. W nocie litewskiej wspominano o ewentualnej woli wejścia wolnej, niepodległej i suwerennej Litwy do związku państw Europy Środkowo-Wschodniej. Odpowiedź polska stwierdzała zainteresowanie suwerennością i niepodległością Litwy.

Paromiesięczne rozmowy polsko-litewskie toczone w Bernie mimo obustronnych zgrzytów kończyły się jednak – jak się mogło wydawać – względnym sukcesem. Bardziej wpłynął na to niekorzystny dla Polski i Litwy rozwój sytuacji międzynarodowej (rokowania brytyjsko-sowieckie) niż rzeczywista chęć, a raczej możliwość porozumienia satysfakcjonującego obie strony. Skutkiem pewnego zbliżenia polsko-litewskiego na emigracji była też pomoc finansowa rządu polskiego dla litewskich działaczy politycznych w Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych. Polacy wspierali też Litwinów w staraniach o utworzenie rządu na terenie USA.

Już niebawem przeszkodą na drodze do dalszych rozmów, obok sprawy Wilna, stały się coraz liczniejsze informacje napływające z okupowanej Polski, mówiące o udziale Litwinów w prześladowaniu Polaków na Wileńszczyźnie i Litwie. Jesienią 1942 r. doprowadziły one nawet do chwilowego zerwania przez rząd polski kontaktów z Litwinami.

Wraz z upływem czasu kontakty polsko-litewskie na emigracji były jednak coraz rzadsze, coraz mniej realne okazywały się też wysuwane przez rząd polski projekty powojennej federacji państw w Europie Środkowo-Wschodniej. Problemy bieżące, w tym przede wszystkim relacje polsko-sowieckie, zdominowały polską politykę zagraniczną, spychając zagadnienie litewskie na dalszy plan.

eprasa.pl e761a75206

PAWEŁ SKIBIŃSKI

1957 rok nastania Gromyki

15 lutego 1957 r. na stanowisko ministra spraw zagranicznych Związku Sowieckiego powołany został Andriej Gromyko, człowiek, który będzie kierował sowiecką dyplomacją przez kolejne 28 lat – do 1985 r.

Gromyko stał się symbolem twardej i perfidnej sowieckiej polityki międzynarodowej, a zarazem symbolem jej ciągłości – przetrwał bowiem kilku kolejnych sekretarzy generalnych Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Powołany przez Chruszczowa Gromyko był jednym z najważniejszych polityków sowieckich ery Breżniewa, Andropowa i Czernienki, by wreszcie poprzeć dojście do władzy Michaiła Gorbaczowa.

W lutym 1957 r. Gromyko zastąpił na czele kremlowskiej dyplomacji Dimitrija Szepiłowa, stosunkowo mniej znanego, który był jednym z bliskich współpracowników Chruszczowa, ale miał nieszczęście przyłączyć do nieudanego antychruszczowowskiego spisku (nazywanego przez ówczesną propagandę Grupą Antypartyjną), w którym główne role odgrywali Lazar Kaganowicz, Gieorgij Malenkow i Wiaczesław Mołotow, doskonale znany w Polsce z sygnowania paktu z Ribbentropem w 1939 r., a którego sam Szepiłow zastąpił ongi na stanowisku ministra spraw zagranicznych.

Kim był nowy szef sowieckiej polityki zagranicznej? Gromyko urodził się w 1909 r. Pochodził z chłopo-robotniczej rodziny białoruskiej z okolic Homla. Wyróżnił się tam jako lokalny lider młodzieżowej organizacji Komsomołu, głównie swoją nieprzejednaną krytyką religii. Kształcił się w dziedzinie ekonomii, specjalizując się w badaniu gospodarki Stanów Zjednoczonych. To pozwoliło mu wkrótce zrobić błyskawiczną karierę i trafić do Sowieckiej Akademii Nauk. W wyniku stalinowskiej wielkiej czystki Gromyko błyskawicznie został przeniesiony z pionu naukowego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie kierował departamentem polityki amerykańskiej, nigdy dotąd nawet nie opuszczając granic Związku Sowieckiego.

W 1939 r. trafił do ambasady sowieckiej w USA, by następnie w 1943 r. zostać tam sowieckim ambasadorem. Odgrywał wówczas kluczową rolę przy wprowadzaniu w życie porządku jałtańskiego. W 1946 r. został przeniesiony na stanowisko reprezentanta Związku Sowieckiego w Radzie Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tam zyskał charakterystyczny przydomek „Mister Niet" – „Pan Nie". Prasa światowa nadała mu go, ponieważ nadużywał przysługującego Moskwie prawa weta podczas głosowań. W czerwcu 1952 r. został ambasadorem w Londynie.

Jako minister spraw zagranicznych wielkiego mocarstwa atomowego odpowiadał za politykę zagraniczną Moskwy przez niemal trzy dekady. Politykę tę można śmiało opisać jako kombinację obłudy i brutalności. Z jednej strony Gromyko był bowiem twarzą tzw. układów rozbrojeniowych, m.in. podpisał traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej w 1968 r. czy układ SALT I z 1972 r., a także sygnował z uśmiechem na ustach akt końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w 1975 r., mający gwarantować zachowanie podstawowych praw człowieka na Starym Kontynencie.

Z drugiej jednak firmował ewidentnie agresywne działania Moskwy – np. wywołany przez próbę umieszczenia przez ZSRS broni jądrowej na Kubie tzw. kryzys kubański z 1963 r. czy interwencję w Czechosłowacji 1968 r., a wreszcie agresję na Afganistan w 1979 r. Gromyko konsekwentnie realizował w zakresie dyplomacji doktrynę Breżniewa, usprawiedliwiającą istnienie twardo rozumianej sowieckiej strefy wpływów, a łamanie praw ludzkich w Sowietach – choćby w rozbudowanej za Breżniewa sieci łagrów – było zwykłą codziennością reprezentowanego przezeń państwa.

Za jego czasów dyplomacja sowiecka poszerzała też wpływy komunistyczne w Afryce i Azji Południowo-Wschodniej, rywalizując tam zdecydowanie z wpływami komunistycznych Chin.

W początkach 1979 r. doszło do pierwszego spotkania Gromyki z papieżem Janem Pawłem II, które sam Ojciec Święty uznał za jedno z najtrudniejszych podczas swojego pontyfikatu. Szef sowieckiej dyplomacji twierdził wówczas uparcie, że w Sowietach przestrzegane są wszystkie prawa ludzi wierzących, choć obaj rozmówcy zdawali sobie doskonale sprawę, że chrześcijanie są w ZSRS stale i brutalnie represjonowani.

Gromyko był jednym z czterech najważniejszych sowieckich polityków za czasów coraz bardziej schorowanego Breżniewa. Jednak w 1984 r. – wyczuwając konieczność nieuchronnych zmian – poparł kandydaturę Gorbaczowa na stanowisko Sekretarza Generalnego KPZS. Mimo tego poparcia okazało się, że Gromyko nie pasował do czasów pieriestrojki. W 1985 r. musiał ustąpić ze stanowiska szefa moskiewskiej dyplomacji na rzecz Eduarda Szewardnadze i otrzymał reprezentacyjną w gruncie rzeczy godność Przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRS, a więc formalnej głowy państwa sowieckiego. W 1988 r. odszedł na emeryturę.

Będą to nowe czasy, gdy Moskwie nie będzie już na rękę, by jej twarzą wobec opinii międzynarodowej było kartoflane oblicze Andrieja Gromyki...

Andriej Gromyko stał się symbolem twardej i perfidnej sowieckiej polityki międzynarodowej, a zarazem symbolem jej ciągłości

FOT. EAST NEWS

Pałac Zabiełłów w Opitołokach, stan obecny

Henryk Zabiełło, 1785–1850, mal. Franciszek Olexiński

KRESOWE DWORY ZABIEŁŁÓW

LITEWSKIE DWORY, W KTÓRYCH DO LAT 90. UBIEGŁEGO WIEKU PRACOWAŁY BIURA KOŁCHOZÓW, JAKOŚ SIĘ TRZYMAŁY, INNE POPADŁY W RUINĘ

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Obecnie sytuacja mocno się zmieniła. Zabytkowe obiekty, które znalazły nowych, przeważnie prywatnych, właścicieli są starannie odbudowywane i zadbane. Natomiast pozostałe są w stanie znacznie gorszym niż za gospodarki komunistycznej.

Kupiony przez litewskiego polityka i milionera Viktora Uspaskiego pałacyk Komorowskich w Syrutyszkach w pow. Kiejdany miał być starannie odremontowany. Jednak polityk okazał się przestępcą i siedzi w więzieniu, oryginalny pałacowy budynek zaś powoli się rozsypuje. Podobnie jak pozostawiony bez właściciela XVIII-wieczny pałac Kossakowskich w Żejmach, który za dyrekcji kołchozu był jako tako zadbany, dziś ledwo się trzyma, mimo że parter zajęła przedsiębiorcza młoda Litwinka prowadząca tam szkołę jazdy konnej. Również niepewne są losy pałacu Zabiełłów w nieodległych Opitołokach.

Zabiełłowie na Litwie

W niezwykle interesującej, ale nie opublikowanej drukiem monografii rodu, opracowanej przez dyplomatę i historyka Stanisława Zabiełłę (1902–1970), przedstawione są różne koleje losu tej bogato skoligaconej rodziny. Maszynopis przechowany jest w rodzinnych archiwach doc. dr hab. Wandy z Zabiełłów Mossakowskiej (1940), małżonki wybitnego historyka sztuki prof. dr. hab. Stanisława Mossakowskiego (1937), wieloletniego dyrektora Instytutu Sztuki PAN. Stanisław Zabiełło w swoim opracowaniu z dużym dystansem traktuje rodzinne mity oraz liczne wywody genealogiczne dotyczące przodków i pisze m.in.: „Zabiełłowie musieli należeć w tamtych czasach (koniec XVI w.) do szlachty średnio zamożnej, gdyż mieli majątki zarówno w Kowieńszczyźnie, jak i na Żmudzi. Mikołaj Zabiełło, syn Macieja, był ciwunem Księstwa Litewskiego i starostą rumszyckim, zaś jego syn Szymon Mikołaj został sędzią grodzkim w Kownie... Przejawem wzrastającej siły materialnej i roli Zabiełłów na terenie powiatu kowieńskiego było posłowanie Salomona Zabiełły na sejm elekcyjny Jana III Sobieskiego. Jego syn Szymon stał się przy boku Sapiehów gorliwym poplecznikiem Szwedów i Stanisława Leszczyńskiego, od którego otrzymał nominację na łowczego nadwornego Wielkiego Księstwa Litewskiego”.

Od najmłodszego brata Szymona Mikołaja Zabiełły, marszałka szlachty kowieńskiej i pułkownika wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego, poczęła się młodsza gałąź Zabiełłów, zwana od wspomnianego majątku

eprasa.pl e761a75206

w Opitołokach opitołocką. Starsza natomiast osiadła w Czerwonym Dworze pod Kownem i z niej wywodzili się zarówno Wanda z Zabiełłów Mossakowska, jak i autor monografii Stanisław Zabiełło. Linia ta pochodziła od najstarszego syna Salomona i brata Szymona – Michała. Syn Michała Antoni, jak pisze Stanisław Zabiełło: „był nawet nie półpankiem, ale panem całą gębą, który trząsł ziemią kowieńską i całą Żmudzią. Ubiegał się o jego względy, jak o tym świadczy liczna korespondencja przechowywana po dziś dzień w muzeum Czartoryskich w Krakowie, taki czołowy »statysta« litewski i mistrz gry sejmikowej, jak kanclerz Michał Czartoryski... Antoni ożeniony był ze Szczyttówną, z którą zostawił czterech synów. Ale kierownictwo polityką rodzinną przekazał wychowankowi swemu, synowi siostry, Józefowi Kossakowskiemu, biskupowi inflanckiemu, przewyższającemu resztę rodziny wielkimi zdolnościami... Najgłośniejszy historycznie, trzeci syn Antoniego Zabiełły – Józef został po ojcu m.in. Wielkim Łowczym Litewskim. Jego pozycja polityczna wzrosła, gdy w 1783 r. ożenił się z Sobolewską, córką szwagierki króla Poniatowskiego. Zaręczał ich uroczyście na Zamku sam król, ślub dawał kanclerz Okęcki. Do ołtarza prowadził pannę młodą siostrzeniec króla podskarbi Stanisław Poniatowski, a od ołtarza kasztelan wileński Michał Radziwiłł".

Żołnierz artysta

Dalsze koleje życia Józefa Zabiełły związane były z Targowicą: „31 maja 1793 r. został marszałkiem Konfederacji Litewskiej, protestował nieśmiało przeciw rosyjskim planom rozbiorowym, ale uspokojono go, przyznając mu na sejmie grodzieńskim buławy polnej litewskiej" – pisał dalej w swoim opracowaniu Stanisław Zabiełło. Podczas insurekcji kościuszkowskiej Józef Zabiełło został na Rynku Starego Miasta w Warszawie stracony.

Ciekawą postacią był syn Józefa Henryk (1785–1850), podpułkownik wojsk Księstwa Warszawskiego, szambelan i koniuszy dworu królewskiego oraz... artysta malarz. Dzielnie walczył w kampanii napoleońskiej, po czym w 1813 r. złożył dymisję, a w 1820 osiadł w Warszawie i zajął się malarstwem. Jego miniaturowy portret wykonany przez innego malarza – Franciszka Xawerego Olexińskiego (1758–1826) – przechowywany jest obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie. Natomiast twórczość malarska samego Henryka Zabiełły jest dziś prawie nieznana. Wiemy tylko, że tworzył sceny batalistyczne, a także religijne, m.in. ołtarz boczny w kościele św. Krzyża w Warszawie, gdzie w katakumbach znajduje się grobowiec artysty. W warszawskim Muzeum Narodowym przechowywane są jego dwa rysunki: „Zamek w Ojcowie" i „Biwak Grenadierów".

Najstarsze siedziby

Jak głoszą archiwalne źródła, do najstarszych posiadłości należących do Zabiełłów na Litwie należał Łabunów usytuowany, tak jak Opitołoki, w dolinie rzeki Niewiaży w powiecie kiejdańskim. Na miejscu krzyżackiego zamku w XVII w. cześnik żmudzki Mikołaj Zabiełło wzniósł drewniany dwór. Budowla „czysto polskiego smaku" miała ogromny, łamany dach i obszerne salony, w których według pamiętnikarzy znajdowały się „bardzo ciekawe malowidła i różne z czasów ubiegłych pamiątki". W XIX w. Zabiełłowie większość czasu spędzali w Opitołokach, dwór w Łabunowie został zaś dość zaniedbany i w końcu rozebrany. Na jego miejsce Henryk Zabiełło (1841–1900) wraz z małżonką Jadwigą z Komarów h. własnego postanowili zbudować nowy murowany pałac według projektu architekta Karola Kozłowskiego (1847–1902). Nigdy niezamieszkany pałac był budowlą dwukondygnacyjną o mocno zróżnicowanej bryle z portykiem na osi i boczną wieżą. I wojna światowa całkowicie zniszczyła nową budowlę, łabunowskie ziemie liczące blisko 5 tys. ha w 1920 r. przejęło zaś państwo litewskie.

W XVII w. Zabiełłowie posiadali również w pow. kiejdańskim majątek w Orwistowie z drewnianym dworem (sprzedany w 1803 r. rodzinie Medekszów), który w stanie prawie niezmienionym przetrwał do II wojny światowej. Dziś stanowi on jedyny zachowany o tradycyjnej drewnianej konstrukcji zabytek na Litwie, mimo że był rozebrany i zrekonstruowany na nowo. Obecnie mieści się tam Litewskie Muzeum Ludowe.

Salony... bez klamek

Pierwszy raz powiat kiejdański zwiedzałem w latach 90. ubiegłego wieku, dużo było wtedy gruntowych dróg i niewiele aut. W tym zaniedbanym krajobrazie raptem w miejscowości Opitołoki, zza wjazdowej bramy i zza zielonych drzew, ukazał się, wyglądający imponująco, neorenesansowy duży pałac. Wjechaliśmy na dziedziniec i naszego fiata 125p natychmiast otoczyła gromada dziwnych postaci, ubranych w najrozmaitsze stroje i prosząca po rosyjsku o cukierki czy kawałek chleba. Byli to pacjenci leczeni w zamienionym na szpital psychiatryczny dawnym pałacu Zabiełłów. Pałac w Opitołokach został wzniesiony niewiele później niż Orwistów, z tym że tym razem projektantem nie był zawodowy architekt, lecz przypuszczalnie sam właściciel Karol Zabiełło (1868–1937), syn Henryka i Jadwigi Zabiełłów z Łabunowa. Ze sprowadzonych z Rygi materiałów powstała budowla dwukondygnacyjna z niskim, przeznaczonym na cele gospodarcze parterem i wysokim reprezentacyjnym piętrem. Elewację frontową wyróżniały trzy symetrycznie rozmieszczone ryzality, z których środkowy poprzedzony był tej samej szerokości portykiem wspartym na czterech doryckich kolumnach. Bogato zdobiona była górna kondygnacja środkowego ryzalitu z trzema półkoliście zamkniętymi oknami, dzielącymi je pilastrami i bocznym boniowaniem oraz kartuszami herbowymi (herby Topór i Lis).

Dekorowane równie obficie były ryzality boczne wyposażone w liczne płyciny, gzymsy, naczółki nadokienne, rzeźbione popiersia oraz kosztowną sztukaterię. Część drobniejszych elementów elewacyjnej dekoracji nie została do dziś zachowana po zniszczeniach pałacu w czasie II wojny światowej i dość pobieżnej odbudowie powojennej. Oczywiście przepadło całe bogate wyposażenie wnętrz, nieliczne uratowane meble oglądać obecnie można w muzeum krajoznawczym w Kiejdanach.

Orzechowno na Białorusi i Wilga pod Garwolinem

Po sprzedaży Czerwonego Dworu Tyszkiewiczom głównym majątkiem starszej linii Zabiełłów stało się Orzechowno gub. witebska, obecnie Białoruś. W domowym archiwum Stanisława i Wandy z Zabiełłów Mossakowskich do dziś znajduje się pełna administracyjna dokumentacja ziemskiej posiadłości w Orzechownie, nie zachowała się jednak ani jedna fotografia pozwalająca przypomnieć sam miejscowy dwór, którego ostatnim właścicielem był dziad Wandy Władysław (1870–1932). Okazały modrzewiowy dwór wypełniony dawnymi meblami i obrazami został w 1918 r. ograbiony i zniszczony, pozostawiony po traktacie ryskim poza granicami Polski uległ zaś całkowitej ruinie i dziś nie ma po nim śladu.

Po wojnie polsko-bolszewickiej Zabiełłowie znaleźli się w Warszawie i w 1933 r. stali się właścicielami ziemskiej posiadłości w Wildze w pow. garwolińskim, którą im odebrała i zniszczyła dopiero reforma rolna Polski Ludowej.

FOT. JERZY SAMUSIK

eprasa.pl e761a75206

PIĘKNA HELENA,

czyli aktorka doskonała i wielka patriotka

WIELKI TALENT MODRZEJEWSKIEJ OBJAWIŁ SIĘ W KRAKOWIE, BY NIEBAWEM ROZBŁYSNĄĆ W WARSZAWIE I ZAJAŚNIEĆ PEŁNYM BLASKIEM W AMERYCE, GDZIE JAKO MODJESKA STAŁA SIĘ ŻARLIWYM HEROLDEM ODRODZENIA POLSKI

JERZY MIZIOŁEK

Helena Modrzejewska, właściwie Jadwiga Helena Misel (1840–1909), kojarzona w Polsce przede wszystkim z Krakowem i występami w Ameryce, grała w Warszawie przez siedem sezonów, od 4 października 1868 (tego dnia pojawiła się po raz pierwszy przed stołeczną publicznością w roli Adrianny Lecouvreur) do czerwca 1876 r. Parafrazując wypowiedzi teatrologów, można powiedzieć, że warszawski październik teatralny 1868 r. nie miał swojego odpowiednika w całej wcześniejszej historii teatru w Polsce. Na niespotykany wcześniej poziom wzniosło się zainteresowanie jedną aktorką. Kasa teatru pozostawała w stanie oblężenia, bilety zdobywano w pokątnej sprzedaży, parokrotnie je przepłacając,

eprasa.pl e761a75206

widownia Teatru Wielkiego stała się celem powszechnej pielgrzymki wyczekujących scenicznego cudu. Dla wielu ówczesnych mieszkańców Warszawy i przede wszystkim dla większości aktorów warszawskich zaproszenie na gościnne występy Modrzejewskiej, aktorki „prowincjonalnej", było czymś w rodzaju rewolucji pałacowej i stawało na drodze tradycji. W świecie teatru zawrzało, a w prasie pojawiły się artykuły mówiące o sprowadzeniu do stolicy „wydmuchanej wielkości". Ale polemika ta rzucona na łamy gazet tylko rozbudziła ciekawość, stała się znakomitą reklamą dla „przybłędów z Krakowa" (Helena przybyła do Warszawy ze swym mężem Karolem Chłapowskim). W dniu pierwszego z jej udziałem przedstawienia Teatr Wielki zapełnił się do ostatniego miejsca, a tłum studentów opanował galerię. Podziw dla jej gry wzrastał z każdą sceną i niebawem przyszło prawdziwe – jak pisał jeden z krytyków – „opętanie".

Po pierwszej serii występów 12 grudnia 1868 r. ukazała się w „Tygodniku Ilustrowanym" ciekawa i niezwykle trafna charakterystyka aktorki: „Pani Modrzejewska jest bardzo hojnie obdarzoną od natury. Wzrostu średniego, chociaż jako kobietę do wysokich już ją zaliczyć można, regularnych, lubo wyrazistych rysów, w których oczy i uśmiech, zdolne przyjąć wszelkiego rodzaju odcienie, główną grają rolę. Posiada ona wielką harmonię kształtów, którą sztuka grecka za najpożądańszy zewnętrzny powab kobiecy poczytywała. Głos jej, niezbyt silny ani rozległy, posiada jednak ten przymiot srebrnego, czystego dźwięku, który od razu jedna sobie słuchaczów. Z wielką łatwością i znakomitym – względnie do tak krótkiego pobytu na scenie – wyrobieniem przechodzi ona całą gamę uczuć, od łez aż do naiwnego, prawie dziecinnego śmiechu [...]. Zdaje się, że jednym z głównych przymiotów tej artystki jest dziwna estetyczność ruchów. [...] Niema gra doszła u niej do wysokiego stopnia udoskonalenia. Gest jest okrągły, miękki, wyrobiony, nigdy nie przekracza linii, jaką surowe prawo zasad scenicznych zakreśla; ręce znajdują się zawsze na właściwym miejscu, a wygięcie w tył kibici, którego dość często używa, nadaje wielki wdzięk całej postawie. [...] Pierwszorzędnym zresztą przymiotem gry pani Modrzejewskiej jest naturalność. [...] Życia ma wiele i umie je przelewać w postacie przez siebie odtwarzane, dlatego też te postacie są z krwi i ciała. I w tym właśnie leży tajemnica wrażenia, jakie budzi".

Za swoje występy piękna Helena otrzymywała ogromne honoraria, bo potrafiła nie tylko się cenić, ale i pertraktować. Kontrakt podpisany 23 listopada gwarantował jej zarówno wysokie gaże, jak i liczne przywileje – zapewnione siedem występów w miesiącu, swobodny dobór ról, czteromiesięczny urlop. Ale czy mogło być inaczej w przypadku aktorki, którą niejednokrotnie krytyczny Rapacki tak opisał: „Co oprócz swej piękności wnosiła Modrzejewska na scenę? Powiadają o Goethem, że patrzał nie tylko oczami, ale wszystkimi porami swego ciała. Ten dar wysoki posiadała

18 82.
WIELKI TEATR
№ 11183 Dziś w Poniedziałek, dnia 6 (18) Lutego 1882 r.
Występ
Pani Heleny Modrzejewskiéj.
Abonament zawieszony.
MARJA STUART
Początek o godzinie 7½ wieczorem.

TA OBYWATELKA ŚWIATA, JEDNA Z NAJZNAKOMITSZYCH ODTWÓRCZYŃ SZEKSPIROWSKICH DRAMATÓW W CAŁEJ HISTORII TEATRU I PRAWDZIWIE WIELKA POLKA, NIEZWYKLE WPROST POLUBIŁA WARSZAWĘ

i Modrzejewska. Ona widziała to, co dla innych było niedostrzegalne. Swymi pięknymi i głębokimi oczyma zdawała się przebijać mury, aby wszystko dostrzec, jak w jasnowidzeniu. Każdy ruch, każdy szczegół jej toalety, zaczesanie głowy – wszystko to było zaobserwowane, zbadane i właściwie użyte. Żadna dotąd artystka nie pomyślała o tym, jak scharakteryzować można daną postać niewieścią jej kostiumem. Ubranie Modrzejewskiej było całą epopeją; dodam nawiasem, że nigdy nie polegała na kostiumerce, ale nierzadko własnymi rękami szyła swoje kostiumy i ubrania: od atłasów i jedwabi księżnych i hrabin aż do perkalikowych sukien panien i ubogich dziewczyn". Warto nadmienić, że jej kostiumy są obecnie eksponowane we foyer Teatru Wielkiego i nadal wzbudzają ogromny podziw oraz zainteresowanie.

Warszawski repertuar Modrzejewskiej i sztuki J.S.

Jednak w Warszawie, którą Modrzejewska szczerze pokochała, jej życie nie zawsze było usłane różami, nie zawsze też sztuki z jej udziałem były oblegane przez publiczność. Po występach w Teatrze Letnim w 1871 r. przeziębiła się i zapadła na tyfus. Choroba była na tyle groźna, że kraj obiegła nawet pogłoska o jej śmierci. W efekcie tej groźnej choroby aktorka na jakiś czas utraciła swe piękne włosy. Wyleczył ją znany wówczas lekarz – doktor Tytus Chałubiński. Gdy po trzech miesiącach wróciła na scenę, euforia widzów długo nie pozwalała jej rozpocząć przedstawienia, a scenę zasypało mnóstwo kwiatów, pośród których przebiegał cały pierwszy akt.

Modrzejewska grała nie tylko dramaty wielkich i uznanych autorów, jak Szekspir i Dumas syn (w sztukach pierwszego wystąpiła 95 razy, drugiego – 50 razy), lecz również sztuki stosunkowo mało wówczas znanego Juliusza Słowackiego, występując w nich aż 39 razy. Za ten gest szczerze patriotyczny, wspierany przez Marię Kalergis, przyszło jej surowo zapłacić, bo mieszkańcy Warszawy niekiedy zupełnie nie dostrzegali głównego celu jej zabiegów. 1 maja 1872 r. po raz pierwszy w Teatrze Wielkim wystawiono dramat Słowackiego „Maria Stuart". »

ZDJĘCIA: BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl e761a75206

W ciągu 11 dni Modrzejewska grała w tej sztuce sześć razy. Wbrew oczekiwaniom widownia nie była zapełniona. 12 maja, w czasie koncertu charytatywnego w Teatrze Wielkim, odbyła się prapremiera III aktu „Mazepy" – przy widowni w połowie pustej. Publiczność bowiem wybrała benefis dyrektora warszawskiego cyrku. Podobnie było dwa dni później; widzów było jeszcze mniej! Spodziewano się raczej manifestacji patriotycznej związanej z tym jakże antycarskim autorem, duchowym patronem patriotów polskich, a nie takiej klęski! Na afiszach nie figurowało nazwisko wielkiego poety – cenzura zezwoliła na umieszczenie samych inicjałów: J.S. Czy opisana klęska to tylko zbieg okoliczności, czy brak stosownego rozpropagowania przedstawienia?

Na ironię losu zakrawa, że „Mazepę" przyszedł zobaczyć znienawidzony namiestnik Berg, który był wtedy 82-letnim starcem. Za bilet ofiarował wielką na owe czasy kwotę 100 rubli, a następnie rozsiadł się w swojej loży, dziwiąc się i ciesząc jednocześnie, że na widowni było tylko nieco ponad 330 osób. W tym samym 1872 r., gdy odbywał się proces wprowadzania dramatów Słowackiego na scenę, Modrzejewska grała Sewerynę w „Księżnie Jerzowej" Aleksandra Dumasa syna. Po tym przedstawieniu krytyk teatralny jednej z gazet pisał: „Artystka napełnia sobą scenę, teatr cały i jeśli się godzi tak wyrazić, przenika ona fibry całej masy oczarowanych widzów. Pod jej grą potężną nikną nawet wszystkie psychiczne pustki i przeskoki w sztuce i wygładzają się wszystkie jej chropowatości, sytuacje naciągnięte stają się naturalnymi, niemożliwe na możebne się zamieniają".

Następnie przyszły role Desdemony w szekspirowskim „Otellu", Eboli w „Don Carlosie" Schillera i rola tytułowa w „Marion Delorme" Wiktora Hugo. Powszechnie uważano, że kreując Ebolę, Modrzejewska stworzyła arcydzieło jedyne w swoim rodzaju. Specjalnie dla niej w 1874 r. wprowadzono na scenę: „Czarne diabły" Victoriena Sardou, „Przechodnia" Françoisa Coppé'ego, „Kaprysy Marianny" Alfreda de Musseta, „Sfinksa" Octave'a Feuilleta. O tej ostatniej roli jeden z krytyków pisał: „Była to gra prawdziwie mistrzowska, głęboko obmyślana, oszlifowana misternie, a tak idealna, głęboka i bogata, że zasługiwałaby na osobne studium".

Widownia Teatru Wielkiego w Warszawie, lata 80. XIX w.

W obronie Polski

W ostatnim roku występów Modrzejewskiej w Warszawie, przed jej wyjazdem za ocean Teatry Rządowe zaprezentowały kilka polskich nowości: „Gałązkę heliotropu" Adama Asnyka, „Przesądy" Edwarda Lubowskiego i „Koniec Stuartów" Juliusza Falkowskiego. Wyjazd artystki za granicę w 1876 r. nie oznaczał zupełnego zerwania więzów z krajem, pomimo wielkiej sławy, jaką osiągnęła w Ameryce i Anglii, grając w licznych sztukach Szekspira; w 1880 r. jej portret ukazał się w nakładzie 200 tys. egz. w „Illustrated London News" (il.). Tego samego zaszczytu dostąpiła również Sarah Bernhardt. Modrzejewska co dwa-trzy lata przyjeżdżała do Polski, występując w różnych miastach, w tym w Warszawie. W 1882 r. miał miejsce w Teatrze Wielkim jej benefis, na który przygotowano jedną ze sztuk Ibsena. Jednak od momentu, gdy w Stanach Zjednoczonych i w Anglii aktorka zaczęła występować publicznie w sprawach Polski, władze carskie czyniły wiele trudności. Pomimo wielkiej sławy odwołano w 1895 r. jej występy w Petersburgu, zabroniono też wstępu na deski teatrów w Warszawie. „Pani Modjeska – donosił telegraficznie w kwietniu 1895 r. »The World« – udała się do Warszawy, wiedząc, że prawdopodobnie nie będzie wolno jej tam zagrać. Jej obrona Polski w Chicago. Policja nie pozwoliłaby jej dać benefisu na rzecz polskich więźniów politycznych".

Słowa: „Jej obrona Polski w Chicago" odnoszą się do przemówienia, jakie wygłosiła na Światowym Kongresie Kobiet w Chicago w 1893 r., gdzie przedstawiła dolę kobiet w zniewolonej Polsce. Mówiła, prezentując niezbite fakty, o wszystkich trzech zaborcach, ale surową karę (dożywotni zakaz wjazdu na teren Imperium Rosyjskiego) nałożył na nią tylko car. Modrzejewska w swoich wspomnieniach relacjonuje, jak w Warszawie jej mąż został wezwany przez szefa policji gen. Kleigla, który poinformował go o wspomnianym zakazie. „W czasie rozmowy – relacjonuje dalej aktorka – generał wyraził swój żal, »że pani Modrzejewska, która cieszyła się takim podziwem u Rosjan zamieszkałych w Warszawie, tak się potem o nich źle wyraziła«". Odpowiedź Chłapowskiego zawierała takie słowa: „Pan się myli, panie generale, ani słowa nie powiedziała przeciw Rosjanom jako takim, ona nie żywi najmniejszego uprzedzenia w stosunku do narodu rosyjskiego i ma bardzo wielu przyjaciół wśród pańskich współziomków. Mówiła tylko o rządzie. [...] »Mój mąż wyjaśnił mu, że nigdy nie byłam rosyjską poddaną, a teraz jestem drogą naturalizacji obywatelką amerykańską i jako taka mam prawo swobodnego wyrażenia krytyki zarówno swego własnego rządu, jak i wszystkich rządów zagranicznych«. Poza tym pan przecież wie, że ona nie powiedziała niczego, co by nie było prawdą. [...] W dwa tygodnie później został opublikowany carski ukaz,

eprasa.pl e761a75206

zabraniający »Helenie Modrzejewskiej, głośnej aktorce, żonie Karola Bodzenty Chłapowskiego, obywatelce amerykańskiej, wjazdu do którejkolwiek części terytorium rosyjskiego«".

Modrzejewska o Warszawie

O tym, jak krakowianka, którą była Modrzejewska, odnalazła się w Warszawie, jak wyglądało jej życie w tym mieście i co myślała o teatrze, wiemy całkiem sporo z jej obszernych „Wspomnień i wrażeń". Przede wszystkim jednak są w nich zawarte niezwykle piękne i wzniosłe myśli o heroicznym mieście. „Warszawa – pisze Modrzejewska – jest nazywana sercem Polski i żadna inna nazwa nie odpowiada tak trafnie temu miastu, pulsującemu nigdy niewygasającą miłością ojczyzny i wzajemną miłością ludzi do siebie, a to z powodu okowów, odniesionych ran i stałego terroru, który łączy tę wrażliwą, dobrego serca i bujnej wyobraźni masę ludzką jak gdyby w jedno ciało; na przekór śmiertelnym ranom, żyje ono i zawsze jest gotowe do podejmowania nowych ciężkich doświadczeń. »Serce Polski« – naprawdę, gdyż cios wymierzony w Warszawę odbiera władzę całemu organizmowi kraju".

Ta obywatelka świata, jedna z najznakomitszych odtwórczyń szekspirowskich dramatów w całej historii teatru i prawdziwie wielka Polka, niezwykle wprost polubiła Warszawę. Świadczy o tym ten oto passus ze „Wspomnień i wrażeń": „Warszawa jest piękna na wiosnę! Ulice, place i parki roją się od ludzi; widzi się – męską młodzież o roześmianych twarzach, modele najnowszej mody i tę niedbałą elegancję, którą można oglądać tylko w wielkich miastach; śpieszące dokądś ładne kobiety o małych stopach, doskonale obute, z parasolkami w ręku, którymi ocieniają oczy, często używając ich także jako tarczy przeciw zbyt natarczywym spojrzeniom mężczyzn; białowłose matrony o dobrodusznych twarzach eskortujące swoje córki; dzieci, mężczyzn i kobiety rozmaitych stanów, bogatych i biednych; a wśród tego tłumu tu i ówdzie świetne mundury rosyjskich żandarmów. Ale w taki wspaniały wiosenny dzień komuż to może przeszkadzać? Niechby nawet milion czujnych urzędowych oczu myszkowało dokoła! Weseli i pogodni są warszawiacy, a przynajmniej tak się prezentują na ulicy. Wielka burza, która zaledwie sześć lat temu wstrząsnęła całym narodem aż do samych podstaw, jak widać, nie pozostawiła na jego żywotności żadnych śladów. Słowo »żyć« – zdaje się być wypisane na każdej twarzy i dochodzić do głosu jako prymarna zasada w każdej sytuacji; całe miasto mieni się tą radością życia, jego atmosfera stoi tak pod znakiem wzajemnej ludzkiej sympatii, że obcy spotykając się na ulicy, mają ochotę przemówić do siebie po imieniu". Po tych słowach następuje piękny opis Łazienek i znajdującego się w nich teatru Na Wodzie.

Helena Modrzejewska jako Maria Stuart w spektaklu „Maria Stuart"

Piękna kobieta

W 1871 r. odwiedził Modrzejewską w jej warszawskim mieszkaniu włoski autor dramatyczny Domenico Galati i w takich oto słowach ją opisał: „Postaci dość wysokiej, poruszała się z wdziękiem i godnością. Była w pełnym rozkwicie swej młodości i urody. Głowa ładnie osadzona, twarz w konturze delikatna, uduchowiona, miała wyraz dobroci i namiętności. Rysunek nosa i ust powabny. Jej wielkie, ciemne oczy, ocienione długimi rzęsami, błyszczały aksamitnie i przejmująco. Kiedy stawały się poważne, powlekała je melancholia. Nie było to znużenie teraźniejszością, lecz – wierzę – nieokreślone wybieganie w przyszłość". Włochowi wtóruje Władysław Bogusławski: „...niezwykła piękność artystki, uplastyczniona w rysach posągowych, postać estetyczna, w kształtach zharmonizowana, ruchy pełne wytworności; smak wyszukany w strojach, obejście wielkiej damy [...]. Wszystko skojarzone w nieprzepartym, osobistym wdzięku, który z kobiety spływał na artystkę, od artystki promieniował na każdą kreację".

Taką właśnie, jak w przytoczonych opisach, widzimy ją na znanym, całopostaciowym portrecie namalowanym przez Tadeusza Ajdukiewicza w 1880 r. Modrzejewskiej, ubranej w białą atłasową suknię z długim trenem, ukazanej we wnętrzu salonu, na tle gobelinu ze scenami figuralnymi towarzyszy duży pies. Aktorka trzyma w lewym ręku lekko otwartą książkę, w prawej zaś tren sukni. To w tej sukni grała rolę szekspirowskiej Julii. Nic w tym obrazie nie jest przypadkowe: pies nadaje portretowi artystki arystokratycznej nobilitacji, książka symbolizuje intelektualny wymiar jej osobowości, a motywy na gobelinie, m.in. twarz Kleopatry i kilka scen całopostaciowych, to wizualizacje, ukazane nieco w duchu komiksu, sztuk Szekspira, które przyniosły Modjeskiej ogromną sławę nie tylko w USA, ale także w Anglii.

Piękna Helena, podobnie jak Henryk Sienkiewicz, z którym się przyjaźniła, nie doczekała odrodzenia Polski, ale ogromnie się do tego przyczyniła. Doczekał tej chwili Paderewski, który jak Modrzejewska był w Ameryce gwiazdą pierwszej wielkości; ona oczarowała jej mieszkańców interpretacjami sztuk Szekspira, on – grając utwory Chopina. Warto tu nadmienić, że Modrzejewska ogromnie wsparła Paderewskiego na jego drodze do wielkich sukcesów za oceanem.

eprasa.pl e761a75206

RAFAŁ ŁATKA

Biuro Badań Historycznych IPN

W KRĘGU KLIO

Wojciech Roszkowski, „Historia chrześcijaństwa. Świętości, upadki i nawrócenia. Tom 2: od XVI do XXI wieku", Biały Kruk, Kraków 2021

Wojciech Roszkowski w ostatnich latach opublikował wiele prac dotyczących historii chrześcijaństwa oraz oceny stanu współczesnego świata z perspektywy katolickiej i konserwatywnej. Wśród tych publikacji wspomnieć szczególnie należy o znakomicie przyjętej trzytomowej monografii „Świat Chrystusa" wydanej w latach 2016–2017 oraz książkach odnoszących się wprost do stanu naszej cywilizacji: „Roztrzaskane lustro" i „Bunt barbarzyńców. 105 pytań o przyszłość naszej cywilizacji". Kontynuacją zainteresowań warszawskiego historyka jest świeżo wydana „Historia Chrześcijaństwa". Recenzowana w tym miejscu praca to tom drugi obejmujący okres od XVI w. do współczesności. Autor z wielką swadą porusza się po dziejach pięciu ostatnich wieków. Syntetycznie omawia najważniejsze zjawiska, z jakimi musiało się borykać chrześcijaństwo w tym okresie, poczynając od reformacji aż do ruchów gender i LGBT. Szczególnie cenne jest to, że Roszkowski przyjął postawę obiektywnego badacza, nie unikał tematów trudnych ani kontrowersyjnych. Równocześnie nie obawiał się także stawiania daleko idących ocen i wniosków. Szczególną uwagę warto zwrócić na: rozważania dotyczące Erazma z Rotterdamu; omówienie teorii Hobbesa z chrześcijańskiej perspektywy; spojrzenia na józefinizm; a przede wszystkim na opis podejścia/reakcji Kościoła na kolejne rewolucje, od francuskiej aż do współczesnych prób realizacji marksizmu kulturowego. Dla mnie najciekawsze są analizy Roszkowskiego z ostatniego rozdziału poświęconego współczesności, czyli okresowi po II wojnie światowej. Autor mimo wszystkich opisanych problemów pozostaje optymistą, wierząc, że chrześcijaństwo ma jeszcze wielką rolę do odegrania.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Andrzej Nowak-Arczewski, „Przykosa. Bohater z AK – zdrajca z UB. Śledztwo śladami Redera", Znak, Kraków 2021

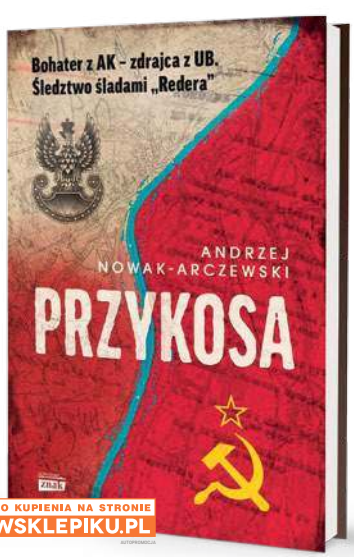

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Literatura na temat polskiego podziemia niepodległościowego jest bardzo obfita i stale się rozrasta. Wynika to zarówno z dużego zainteresowania czytelników, jak i liczby badaczy podejmujących tę problematykę. Nie brakuje wśród prac na ten temat historii nie tylko bohaterstwa, ale też zdrajców, którzy z rozmaitych powodów postanowili wyrzec się swoich ideałów. Najnowszym opracowaniem dotyczącym bohatera z AK, który przeszedł na stronę komunistów, jest książka reporterska Andrzeja Nowaka-Arczewskiego. Została ona poświęcona Dionizemu Mędrzyckiemu, który jako „Reder" wsławił się jako dowódca średniego szczebla mający na koncie wiele skutecznych akcji bojowych. Niestety potem, jak udowadnia autor, z koniunkturalnych przyczyn podjął współpracę z Sowietami oraz bezpieką. Uważał, że należy przystać do zwycięzców i im służyć. Jednakże nie ograniczył się tylko do wykonywania poleceń nowych czerwonych okupantów. Stał się prymusem najpierw w „ludowym" Wojsku Polskim, a następnie już jako donosiciel. Obciążał dawnych dowódców i kolegów z konspiracji niepodległościowej. Wielką zaletą książki Nowaka-Arczewskiego jest atrakcyjne przedstawienie ciekawej historii oraz próba odpowiedzi na pytanie: dlaczego „Reder" przeszedł na stronę wroga? Wśród mankamentów wymienić należy niewystarczającą znajomość literatury przedmiotu oraz kontekstu niektórych z opisywanych wydarzeń. Szkoda, że autor nie skorzystał z profesjonalnej konsultacji historycznej, gdyż to pozwoliłoby uniknąć omawiania kwestii powszechnie znanych oraz przedstawiania wątpliwości tam, gdzie ich być nie powinno.

eprasa.pl e761a75206

Michał Przeperski, „Mieczysław F. Rakowski. Biografia polityczna", IPN, Warszawa 2021

Przed kilkoma laty w środowisku historycznym powszechnie było słychać narzekania na brak rzetelnych, całościowych biografii postaci ważnych dla dziejów okresu PRL. Sytuacja znacząco się poprawiła. Przełomem w tym zakresie była książka Mirosława Szumiły poświęcona Romanowi Zambrowskiemu – bardzo dobrze przyjęta wśród badaczy zajmujących się Polską „ludową". Niemniej jednak w dalszym ciągu nie dysponowaliśmy poważnymi pracami dotyczącymi pierwszych sekretarzy PPR czy PZPR (nie sposób tak traktować prac napisanych na ich temat przez dziennikarzy, bez wykorzystania podstawowych źródeł archiwalnych). Świeżo wydana książka autorstwa Michała Przeperskiego jest w moim przekonaniu drugim ważnym przełomem w polskiej biografistyce historycznej koncentrującej się na okresie po II wojnie światowej. Gdański historyk w syntetyczny i całościowy sposób przedstawił życie i działalność polityczną ostatniego I sekretarza KC PZPR Mieczysława Rakowskiego. Wykorzystał niemal wszystkie najważniejsze źródła archiwalne dotyczące opisywanej postaci (z wyjątkiem dokumentów z archiwów rosyjskich, do których dostęp jest mocno ograniczony). Szczególną uwagę warto zwrócić na kwerendę w Archiwum Uniwersytetu Stanforda w USA, gdzie znajduje się m.in. oryginał dziennika Rakowskiego – jakże różny od tego wydanego drukiem w Polsce. Wielką zaletą książki Przeperskiego jest także pozyskanie wielu relacji świadków epoki, w tym bliskich współpracowników Rakowskiego. Biografia napisana została żywym, wciągającym językiem, autor dość precyzyjnie i ciekawie przedstawił zaś dylematy bohatera swojej pracy – stara się go zrozumieć, ale nie popada w często spotykany grzech biografów, czyli zbyt daleko idącą sympatię dla opisywanej postaci. Praca ma charakter kontekstowy, ale momentami należałoby nieco pogłębić przedstawienie osób z bezpośredniego otoczenia ostatniego I sekretarza KC PZPR – szczególnie tych, dzięki którym Rakowski pokonywał kolejne szczeble kariery. Z pełnym przekonaniem polecam dzieło Przeperskiego nie tylko badaczom zajmującym się dziejami PRL, ale również wszystkim zainteresowanym polską historią. Jest to praca stojąca na wysokim poziomie i w moim przekonaniu analogicznie jak biografia Zambrowskiego stanie się punktem odniesienia dla biografów zajmujących się postaciami wywodzącymi się z komunistycznej elity władzy w Polsce.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

„Listy na czas przełomu. Jan Paweł II, kard. Stefan Wyszyński", oprac. P. Skibiński, R. Kowalczyk, Kraków 2021, Centrum Myśli Jana Pawła II, Wydawnictwo WAM

Truizmem jest stwierdzenie, że Jana Pawła II (a wcześniej kardynała Karola Wojtyłę) łączyły z kardynałem Stefanem Wyszyńskim bliskie i głębokie relacje. Nie zostały one jednak w moim przekonaniu w dotychczasowej literaturze przedmiotu wystarczająco omówione, szczególnie jeśli chodzi o współpracę obydwu hierarchów na forum Episkopatu Polski. Dzięki wydawnictwu źródłowemu przygotowanemu przez Pawła Skibińskiego i Rafała Kowalczyka otrzymujemy wyjątkowe źródło w postaci 45 listów Ojca Świętego i Prymasa pokazujących jak w soczewce, jak wielkim szacunkiem darzyły się te dwie wielkie postacie polskiego Kościoła oraz jak głębokie były ich kontakty. Korespondencja z lat 1978–1981 ma różnorodny charakter, miesza się w niej tematyka z zakresu osobistych relacji, przez najważniejsze zagadnienia działalności Kościoła powszechnego aż do analiz o charakterze geopolitycznym. Widoczna jest ogromna serdeczność, umiejętność wsłuchiwania się w racje interlokutora, a przede wszystkim świętość obydwu hierarchów. Tom poprzedzają słowa wstępne abp. Wojciecha Polaka i kard. Kazimierza Nycza oraz wprowadzenie przygotowane przez Hannę Suchocką, zamyka zaś nota edytorska redaktorów opracowania i notki biograficzne najważniejszych osób występujących w treści korespondencji. Najwięcej uwag krytycznych można mieć do tekstu byłej premier, gdyż nie uwzględnia on najnowszych ustaleń polskiej historiografii oraz miesza rolę świadka i badacza, który powinien dążyć do obiektywnego opisu rzeczywistości. Nota zamieszczona na końcu tomu precyzyjnie wyjaśnia, skąd pochodzi edytowana korespondencja, w jaki sposób powstały listy oraz które ich fragmenty redaktorzy zdecydowali się opuścić. Skibiński i Kowalczyk właściwie oddali również znaczenie prezentowanego źródła i jego wartość dla polskiej oraz światowej historiografii (jakże istotnych w kontekście przygotowania nowych biografii, tych najważniejszych w XX w. dla Kościoła w Polsce osób).

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

REKLAMA

POLECAMY KSIĘGARNIĘ
W-wa ul. Marszałkowska 7
tel. (22) 405 66 30, 501 037 074
e-mail. ksiazkicomax@op.pl

9/0221/F

eprasa.pl e761a75206

Rafał Łatka rozmawia z...

...dr. JAROSŁAWEM DURKĄ, autorem książki „Władze Polski »ludowej« wobec Jasnej Góry w latach 1945–1989", Warszawa 2021

Panie doktorze, jaką funkcję pełniła Jasna Góra w czasach komunizmu?

Jarosław Durka: Jasna Góra to duchowa stolica Polski i najważniejsze sanktuarium maryjne w kraju. Ma znaczenie religijne i narodowe. Słowa usłyszane z jasnogórskiego szczytu na długo zapadają w pamięć. W 1956 r. odbyły się tam Jasnogórskie Śluby Narodu, a potem odegrała kluczową rolę w zaplanowanej przez prymasa Stefana Wyszyńskiego Wielkiej Nowennie.

Jak starano się ograniczyć ruch pątniczy na Jasną Górę?

Były to administracyjne ograniczenia i działania bezpieki. Utrudniano korzystanie z transportu samochodowego, wydawano zakazy wynajmowania pojazdów, jeśli należały do przedsiębiorstw państwowych. Ograniczano liczbę dodatkowych wagonów na kolei. Wprowadzono konieczność uzyskania zgody na organizację pielgrzymki, przy czym terenowe organy administracyjne – wydziały ds. wyznań takich zgód nie chciały wydawać. Początkowo pielgrzymki chciano ograniczyć tylko do tych tradycyjnych, organizowanych od wielu lat. Miało to zahamować rozwój ruchu pątniczego. Najważniejsza pielgrzymka co roku wyruszała z Warszawy. Najpierw zabroniono pątnikom przejścia ulicami stolicy, a w szczytowym okresie represji komuniści próbowali ją zlikwidować. Wprowadzano nakaz dostarczania do wydziałów ds. wyznań imiennych list uczestników pielgrzymek. Domagano się zapewnienia opieki medycznej, przy czym nakładano na lekarzy ograniczenia, jeśli chodzi o możliwość wykonywania zawodu poza terytorium województwa, w którym byli zatrudnieni. Zatrzymywano na trasie tzw. nielegalne pielgrzymki. Pątników legitymowano, filmowano i fotografowano. W przypadku łamania przez nich przepisów kierowano sprawy do kolegiów ds. wykroczeń. Zmieniano trasy przemarszu, tłumacząc to zagrożeniem w ruchu drogowym, ale bardziej chodziło o to, żeby nie przechodzili przez centra miejscowości. Wysyłano z pielgrzymami całe grupy agentów. W latach 80. bezpieka posuwała się do prowokacji, np. podrzucania pornografii, alkoholu, narkotyków czy dewastacji sprzętu.

Czy można wskazać, kto z braci paulinów położył szczególne zasługi, by uchronić zakon przed działaniami władz?

Trudno tu jednoznacznie wskazać pojedynczą osobę. Mijały lata i zmieniały się pokolenia. W poszczególnych okresach byli to różni paulini. W latach 50. niewątpliwym bohaterem był przeor jasnogórski o. Kajetan Raczyński. Później bliskim współpracownikiem prymasa Wyszyńskiego był o. Jerzy Tomziński. Odegrał on szczególnie ważną rolę w czasie organizacji Jasnogórskich Ślubów Narodu i w czasie Wielkiej Nowenny. W latach 70. mieliśmy raczej do czynienia z tworzeniem się całej grupy zakonników, którzy wspólnie próbowali się oprzeć działaniom inspirowanym lub kierowanym przez aparat bezpieczeństwa. W przełomowym momencie, w końcówce lat 70. i na początku 80., bardzo ważną postacią był generał zakonu o. Józef Płatek, który doskonale przejrzał zamiary komunistów.

Na ile skutecznie aparatowi bezpieczeństwa udawało się zinfiltrować zakon paulinów?

Komuniści przez cały czas starali się mieć tam agentów. Początkowo były to działania raczej incydentalne. Bezpieka zainteresowała się bardziej paulinami po Jasnogórskich Ślubach Narodu w 1956 r. i w czasie Wielkiej Nowenny. Zakonników trudno było złamać, dlatego pozyskiwano do współpracy osoby świeckie pracujące na terenie sanktuarium. Z czasem, kiedy odeszło starsze pokolenie paulinów, bezpiece udawało się znaleźć materiały kompromitujące wybranych zakonników, skusić wyjazdami zagranicznymi czy ułatwieniem drogi kariery. Interesowano się zarówno młodymi zakonnikami, którzy rokowali na przyszłość, jak i osobami z kręgów władz zakonu. Szczególnym sukcesem było zwerbowanie ojca definitora. W latach 70. bezpieka starała się wpłynąć na wynik wyborów generała zakonu. Grupa zakonników poprosiła prymasa Wyszyńskiego o interwencję. Przez kilka lat trwał kryzys związany z funkcjonowaniem dwóch generałów, jednego usuniętego ze stanowiska, ale tego nieakceptującego i działającego na szkodę zakonu w Watykanie, a drugiego na Jasnej Górze. Na szczęście wybór papieża Polaka i jego decyzje rozwiązały sprawę.

Państwowy Instytut Wydawniczy

Król nieprzezorny

MICHAŁ KARPOWICZ

Jest w historii kilka zaledwie postaci, o których można powiedzieć, że to ich osobowość kształtowała daną epokę dziejów. Jedną z nich jest niewątpliwie Filip II, król Hiszpanii, który żył w latach 1527–1598. Jego czasy to złoty wiek rozwoju i potęgi imperium hiszpańskiego, pierwszego, nad którym słońce nie zachodziło.

Geoffrey Parker jest od lat uznawany za najwybitniejszego znawcę tej epoki i tej postaci. Biografię króla opracował w 1978, a w 1985 r. ukazała się w Polsce nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

I oto w 2021 r. PIW wydał też biografię Filipa II i też pióra Parkera. Nie piszę „ponownie", bo to zupełnie nowa książka. Oto niedawno dopiero zostały udostępnione badaczom dwa bogate zbiory archiwalne (ponad 3 tys. pozycji) zawierające prywatną korespondencję króla i dokumenty tworzone przez jego osobistych sekretarzy. Część tych odręcznych notatek monarchy, z archiwum rodziny Altamira, była przechowywana w madryckiej Biblioteca de Zabálburu, do której z racji zawiłości spadkowych nie można było zajrzeć do 1987 r. Kolejne zapiski Parker odkrył w podziemiach Amerykańskiego Towarzystwa Hiszpańskiego (Hispanic Society of America) w Nowym Jorku. Zapieczętowane po śmierci Flipa II w 1598 r. przez królewskich sekretarzy, ujrzały światło dziennie dopiero w 2012 r.

Wynikiem kolejnych kilkuletnich studiów stała się zupełnie nowa biografia Filipa II. Autor wiele tez z pierwszej swojej książki o królu przemyślał na nowo, wiele dodał, ale wiele też uległo zmianie, czasem radykalnej. Podtytuł z 1978 r. „król przezorny" teraz brzmi „król nieprzezorny". Nowy materiał pozwolił niezwykle wzbogacić opowieść o sprawy intymne, o rzeczy związane z rodziną, o prywatne przemyślenia i plany samego władcy, ale i o wątki zupełnie nowe w sprawach wielkiej polityki zdawałoby się świetnie już poznanej.

Inną wybitną cechą tej książki jest sposób pisania. Autor przez owe 40 lat dojrzał jako badacz, ale i jako pisarz. Na pewno wielkim plusem tej książki są sposób i forma narracji, bardzo atrakcyjne literacko i niezwykle plastyczne (tu też ukłon w stronę Klaudyny Michałowicz, autorki przekładu). Bo ciekawą historię trzeba opowiadać pięknym językiem.

Geoffrey Parker, „Filip II. Król nieprzezorny", przekład Klaudyna Michałowicz, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2021

Nie wolno nam zapomnieć

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Znakomita, poruszająca trudne tematy, seria książek dla dzieci „Wojny dorosłych – historie dzieci" wydawnictwa Literatura ma w swojej kolekcji pozycję przeznaczoną dla starszej młodzieży – w wieku powyżej 15 lat.

Poruszony w książce „Dzieci, których nie ma" Renaty Piątkowskiej temat jest pełen okrucieństwa. Autorka opowiada mało znaną historię o miejscu, o którym nie każdy słyszał i którego próżno szukać na kartach podręczników.

Mowa o obozie Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt stworzonym przez Niemców w czasie II wojny światowej, a przeznaczonym dla dzieci w wieku 6–16 lat. Funkcjonował on od grudnia 1942 r. Oficjalnie był to obóz wychowawczy dla młodocianych, którym zdarzyły się drobne występki, dokonali kradzieży, zostali przyłapani na włóczęgostwie, nie mieli odpowiedniej opieki.

Rzeczywistość tego miejsca była o wiele gorsza – dzieci pracowały ponad swoje siły, otrzymywały głodowe racje żywnościowe, żyły w przerażających warunkach. A trafiały tam za: „– Chodziłem z chłopakami na tory. Zbieraliśmy węgiel, który spadał z wagonów [...]. W domu nie było czym palić.[...]; – Śpiewałem na dworcu polskie piosenki [...]; – Ukradłem bułkę z piekarni. [...] Byłem strasznie głodny; – Ja pomyliłem wagony w tramwaju i wskoczyłem do tego Nur für Deutsche; – Trafiłem tu, bo mój tata jest polskim oficerem; – Moi rodzice nie żyją".

Czasem sami nie wiedzieli, dlaczego trafili do miejsca, w którym pod nadzorem byli poddawani ciągłym próbom i absolutnie pozbawieni poczucia bezpieczeństwa. Nie wiadomo dokładnie, ile młodych osób przeszło przez to piekło. W chwili wyzwolenia na jego terenie znajdowało się ok. 900 małoletnich.

Książka Piątkowskiej jest zbiorem historii o dzieciach, które trafiły do obozu. Nie mamy tu ciągłej opowieści, ale krótkie, wyraziste formy opisujące rzeczywistość obozową. Znajdziemy w nich informacje o codzienności: o warunkach, w jakich mieszkały; o tym, czym się żywiły, jak pracowały. Wreszcie, jakim próbom były poddawane mimo tak młodego wieku.

Reporterski styl narracji, bardzo konkretny język pozbawiony emocji sprawiają, że treść zawarta w książce mocno porusza czytelnika. Dopełnieniem są metaforyczne ilustracje Macieja Szymanowicza, będące kolejnym bohaterem tej książki.

Jest to jedna z pozycji, po których lekturze warto rozmawiać z młodzieżą o jej odczuciach, bo opisywane tu historie zostaną na zawsze w pamięci.

Renata Piątkowska, „Dzieci, których nie ma", il. Maciej Szymanowicz, Wydawnictwo Literatura, 2020, Wiek: 15+

eprasa.pl e761a75206

Raban się skończył

MAREK JUREK

Papieski list „Traditionis custodes", radykalnie ograniczający prawa tradycyjnej liturgii, mógł być zaskoczeniem tylko dla niezorientowanych.

Już w pierwszym roku swego pontyfikatu Franciszek zakazał odprawiania mszy tradycyjnej Franciszkanom Niepokalanej, znakomicie rozwijającemu się zgromadzeniu, którego kapłani celebrowali mszę w rycie zarówno tradycyjnym, jak i reformowanym. Na początku 2019 r. Ojciec Święty rozwiązał komisję „Ecclesia Dei", ustanowioną przez św. Jana Pawła II dla opieki nad wspólnotami tradycyjnymi. Potem ograniczył możliwość odprawiania mszy tradycyjnej w bazylice św. Piotra. Po drodze było jeszcze wiele wypowiedzi, w których najpierw Franciszek uznawał przywiązanie do tradycyjnej liturgii Kościoła za młodzieżową modę, która przeminie, potem – za przejaw „sztywności duchowej". W tym roku przyszła chwila restrykcji radykalnych: motu proprio zakazuje tworzenia nowych wspólnot tradycyjnych, usuwa je z parafii, wreszcie faktycznie zakazuje nowo wyświęconym księżom odprawiania mszy tradycyjnej (nawet biskup nie może im na to „zezwolić", potrzebna jest bezpośrednia „zgoda" Stolicy Apostolskiej). Zapowiada również, że docelowo liturgia tradycyjna zniknie z życia Kościoła, zastąpiona przez zreformowaną w II poł. XX w.

Kurtyna opada

Tak wygląda bezpośredni sens motu proprio o „zastrzeżeniu Tradycji", o strzeżeniu jej – przed wiernymi. Rzecz ma jednak wymiar nie tylko przedmiotowy (dotyczący zakazów liturgicznych), ale i podmiotowy, odnoszący się do głównych idei obecnego pontyfikatu. Oznacza w istocie ich upadek, a dokładnie – odsłonięcie ich fasadowego, ideologicznego charakteru.

Franciszek od początku wzywał młodzież: „Róbcie raban!". Wielu odbiorcom wezwanie to rymowało się z równoczesnymi papieskimi przestrogami przed klerykalizmem. Wydawało się, że chodzi o budzenie chrześcijańskiej odpowiedzialności, zaufanie do sumienia kształtowanego przez przyjętą z miłością wiarę. O to, że wystarczającym motywem zaangażowania na rzecz zasad katolickich jest ich świadomość i rodząca się z niej odpowiedzialność, że zaangażowanie katolickie nie musi zależeć od duchownej „zgody", a wybory w sprawach dotyczących odpowiedzialności katolików w świecie – od politycznych „wskazań". Z krytyką klerykalizmu zbiegał się trzeci motyw papieskiego orędzia: przestrogi przed formalizmem i legalizmem.

Gdy w czasie dyskusji w „Tak jest" na antenie stacji TVN24, w pierwszych miesiącach obecnego pontyfikatu, prowadzący zapytał mnie, jak przyjmuję papieskie wezwania do rabanu – odpowiedziałem, że najzupełniej bezpośrednio, bo cały czas robimy raban przeciw kontrkulturze śmierci i w obronie praw rodziny. Andrzej Morozowski sceptycznie jednak stwierdził, że chyba nie o taki raban Ojcu Świętemu chodziło. Dziś życie zdaje się przyznawać mu rację.

„Traditionis custodes" wprowadza bowiem skrajne mechanizmy formalistycznej kontroli, rozbudza ducha nieufności do (najczęściej młodych) wiernych, a przede wszystkim przypisuje papieżowi absolutną władzę nad liturgią, której (zgodnie z faktycznym powołaniem swego urzędu) powinien być stróżem i obrońcą. Papieskie zobowiązanie do zastrzeżenia Tradycji obejmuje nawet nałożenie na biskupów obowiązku czuwania, by nie powstawały nowe miejsca, gdzie wierni będą zachowywać klasyczną liturgię rzymskiego Kościoła.

Ideologia od naturalnej sprawiedliwości różni się całkowicie instrumentalnym stosunkiem do głoszonych zasad. Ma charakter funkcjonalny, więc obowiązuje o tyle, o ile służy zamierzonej praxis. Choć ideologia nie opisuje świata, to jednak go projektuje i zmienia, dlatego warto poznawać intencje, które za nią stoją, jej wewnętrzną logikę.

Szczególnie instruktywny dla zrozumienia właściwego sensu „rabanu" może być więc fragment oficjalnego dokumentu przygotowawczego na synod poświęcony młodzieży w 2018 r., mówiący o „młodych LGBT", którzy „decydują się na tworzenie par homoseksualnych, a przede wszystkim chcą być blisko Kościoła". Dokument ten powoływał się na głosy mające się pojawić w przedsynodalnej ankiecie wśród młodzieży świata. Liberalni komentatorzy tryumfalnie ogłosili wtedy, że po raz pierwszy pojęcie LGBT (obejmujące przecież nawet „biseksualistów") znalazło się w dokumencie Kościoła. Inny klucz do „rabanu" to papieskie odwiedziny, zaraz na początku pontyfikatu, w rzymskich domach księży, którzy założyli rodziny i porzucili kapłaństwo. I wreszcie papieska milcząca aprobata dla niemieckiej Drogi Synodalnej, czyli episkopalnej rewizji katolickiego podejścia do Eucharystii, rozwodów i protestantyzmu.

Raban papieża Franciszka to zachęta dla katolików do śmiałego i otwartego wyrażania oczekiwań adaptacji nauki Kościoła do życia we współczesnej, postchrześcijańskiej kulturze, werbalizowanej przede wszystkim w mediach. Ten „raban" (nawet jeśli ledwo dobiega z otchłani domniemanych, bo nieogłoszonych, wyników przedsynodalnej ankiety) może liczyć na „zrozumienie" i ochronę. Stanowi element nowej teologii „towarzyszenia współczesnemu człowiekowi", jest elementem legitymizacji założonych zmian. Nie wszystkie jego roszczenia muszą być natychmiast spełnione, ale prawie wszystkie mają zyskać prawo obywatelstwa w życiu katolickim, nabyć rangę „spraw dyskutowanych", uprawnionego (więc katolickiego) punktu widzenia.

Ten funkcjonalny raban nie oznacza natomiast żadnego uznania dla prawa do sprzeciwu wiernych wobec przejawów współczesnego kryzysu wiary w Kościele. Wręcz przeciwnie – właśnie ów oczekiwany raban współczesnej kultury ma takie głosy zagłuszać, izolować, wykazywać ich niewspółczesność, niereprezentatywność i nieistotność. Podobnie ma się rzecz z „klerykalizmem". Nie oznacza on tutaj lekceważenia znaczenia cywilizacji chrześcijańskiej, wizji Kościoła zredukowanego do stanu duchownego i izolującego się w duchowym separatyzmie. Piętnowany dziś

eprasa.pl e761a75206

FOT. PIGAMA/SHUTTERSTOCK

„Klerykalizm" to odpowiedzialność biskupów i księży za przedstawianie oraz obronę zasad wiary i życia katolickiego, to najpewniejszy punkt oparcia dla praw wiernych

„klerykalizm" to raczej autorytet Kościoła otwarcie przypominający naukę Kościoła, jej obowiązywalność, formułujący jasne „non licet", nastający w porę i nie w porę (por. 2 Tm 4,2), idący nawet tam, gdzie nie chce (por. J 21,18), a gdzie prowadzi Prawda.

Tymczasem tak rozumiany „klerykalizm", czyli odpowiedzialność biskupów i księży za przedstawianie oraz obronę zasad wiary i życia katolickiego, to najpewniejszy punkt oparcia dla praw wiernych. To on przeciwstawia wagę racji – liczbie zwolenników. Dlatego właśnie może być głosem zaangażowanych i przekonanych, więc często będących w mniejszości, katolików. Również wtedy, gdy spotykają się z klerykalną obojętnością, nadużyciem autorytetu albo po prostu z wrogością liberalnego otoczenia. Jednak reakcje Franciszka na nonkonformistyczne głosy kardynałów (szczególnie na głośne pytania do papieża w sprawie zgodności „Amoris laetitia" z nauką Kościoła, przekazaną przez św. Jana Pawła II) pokazują, że w odrzuceniu klerykalizmu nie chodzi bynajmniej o ochronę praw całego Kościoła, o prawo każdego do przypominania każdemu o Prawdzie, w którą wspólnie, w diachronicznej wspólnocie pokoleń, wierzymy. Wręcz przeciwnie – chodzi raczej o uciszenie kardynałów i biskupów, którzy mogą wystąpić w obronie prawdy i wiernych skazanych na klerykalne nadużycia władzy.

Wezwania do bezwzględności

Może najbardziej drastycznie fasadowy charakter ideologii „rabanu przeciw klerykalizmowi i legalizmowi" ujawnia właśnie kwestia legalizmu. Motu proprio o zastrzeżonej Tradycji wzywa bowiem wręcz do bezwzględności władzy. Restrykcje wymierzone w tradycyjną liturgię mają być – jak dobitnie głosi końcowy ustęp listu – „przestrzegane w całości, bez względu na jakiekolwiek argumenty przeciwne, nawet gdyby były godne szczególnej wzmianki".

Co zatem oznacza odrzucenie „legalizmu" właśnie? Z pewnością nie sprzeciw wobec wprowadzania do Kościoła pozytywizmu prawnego, więc przekonania, że prawem jest to, co przez właściwą władzę zostało za prawo ogłoszone. „Nawet najwyższy autorytet w Kościele – przypomina Katechizm św. Jana Pawła II w art. 1125 – nie może dowolnie zmieniać liturgii; może to czynić jedynie w posłuszeństwie wiary i w religijnym szacunku dla misterium liturgii". Dlatego właśnie kardynał Ratzinger mógł wielokrotnie wzywać do debaty na temat tego, czy przeprowadzone po ostatnim soborze zmiany liturgiczne tego kryterium nie naruszyły. Debata liturgiczna, biorąca za podstawę „religijny szacunek dla misterium liturgii", jest w Kościele najzupełniej uprawniona i wręcz niezbędna. Tymczasem „Traditionis custodes" jej faktycznie zakazuje.

Cóż więc oznaczał krytykowany przez Franciszka „legalizm"? O legalizmie papież mówił najczęściej wtedy, gdy przestrzegano go przed rewizją zasad katolickich. Jako „legalistyczne" traktował przekonanie o nienaruszalności zasad wiary i życia katolickiego. Wyraźnie to było słychać w przemówieniu papieża na zakończenie synodu w 2014 r., przeciw „nieprzyjaznej sztywności [...] osób gorliwych, skrupulatnych, troskliwych i tak zwanych – dziś – tradycjonalistów, również intelektualistów". Nowy legalizm, który tak mocno wybrzmiewa w motu proprio o zastrzeżonej Tradycji – właśnie ominąć ma te wszystkie skrupuły Tradycji i racje przypominanych przez nieznośnych, „gorliwych i troskliwych", intelektualistów. Z tego, że należy robić raban, nie wynika bowiem, że wolno robić raban – przeciw robieniu rabanu.

eprasa.pl e761a75206

TAŃCZĄCA MAZURKA

ZACHWYCAŁ SIĘ NIĄ KRÓL, TAŃCZYŁ Z NIĄ KSIĄŻĘ PEPI. JULIA POTOCKA, ŚLICZNA BLONDYNKA, PROMIENNA GWIAZDA SALONÓW STANISŁAWOWSKIEJ WARSZAWY, BUDZIŁA SZCZERY PODZIW I PODBIJAŁA MĘSKIE SERCA

JOANNA PUCHALSKA

Inflantczyk Fryderyk Schulz pisał o niej: „Julia Potocka była niezrównanego wdzięku. Gdy jej maleńka, śliczna nóżka, unosząca zaokrąglone elastyczne kształty utoczonej postaci, zwijała się w mazurku i zdawała ledwie dotykać ziemi, gdy z rąk jednego w objęcia drugiego mężczyzny przelatując, unoszona, porywana, wiedziona – na ostatek wróciła do swego tancerza, który ją gwałtownie porywał i okręcał namiętnie, a jej głowa jak ze znużenia spadała mu na ramię, lub pełna wdzięku rozkosznego, a jednak skromnego na piersi się chyliła, lub jakby zwyciężona uczuciem wylewała je w spojrzeniu na swego towarzysza – otaczające tłumy, wstrzymując oddech, całe oczyma ją pożerające, milczące, wzrokiem sobie tylko czarodziejkę ukazywały jako nieporównaną, a niekiedy wyrwało się im z przepełnionych piersi tylko: »Ah, grand Dieu, que Julie est belle!«".

Nie była pustą salonową lalką. Inteligentna i wrażliwa, uwielbiała teatr i sama występowała na scenie. Teatralną pasję zaszczepił w niej jeden z nauczycieli, wykładowca Szkoły Rycerskiej Joseph de Maisonneuve.

Nie najlepiej dobrane małżeństwo niechcianej córki

Matką jej była słynna księżna marszałkowa Elżbieta z Czartoryskich Lubomirska. Miała ona cztery córki, do których żywiła pretensje, że nie są synami, i otwarcie dawała temu wyraz. Macierzyńsko była, delikatnie rzecz ujmując, chłodna, natomiast wiele mówiło się na temat jej romansów i podobno jednym z jej kochanków był przez pewien czas młody Jan Potocki, którego w 1783 r. ożeniła ze swą najmłodszą córką Julią.

Przyszły autor „Rękopisu znalezionego w Saragossie", erudyta, podróżnik, znawca literatury i historii, jeden z pierwszych polskich archeologów i pierwszy polski aeronauta, był człowiekiem ekscentrycznym i neurastenikiem. Okresy nadmiernego pobudzenia przeplatały się u niego ze stanami melancholii. Stanisław Wasylewski napisał, że Potocki: „Nad miłość oddanej mu żony przenosił miłość nieodstępnego Turka Ibrahima, a p. Julii okazywał tyle samo sentymentu, co jej matka. Nie widywał żony prawie, zagrzebany w foliantach swej biblioteki".

Tak całkiem jej jednak nie unikał, gdyż urodziło się dwóch synów: Alfred i Artur. Małżonków łączyła także patriotyczna postawa. Oboje reprezentowali obóz reform oraz angażowali się w sprawę narodową, zarówno finansowo, jak i w konkretnych działaniach.

eprasa

Prawda, że krążyły o Potockim pikantne plotki, i to nie tylko w związku z teściową i Turkiem. Julia o tym wiedziała, ale taka to już była epoka, że nadmierna swoboda obyczajów nikogo nie dziwiła, a wręcz przeciwnie, była czymś plasującym się w kategoriach normalności.

Julia nie podzielała naukowych i podróżniczych pasji męża, nie towarzyszyła mu w egzotycznych wyprawach. Wolała życie towarzyskie stanisławowskiej Warszawy. Chętnie flirtowała, ale nie do tego stopnia bezpruderyjnie, jak robiła to znaczna część wielkich dam, co Wasylewski skomentował następująco „»Giulietta la bella« miała w opinii pań wytwornych jedną dziwną, niewytłumaczoną dla nich usterkę. Była uparcie i konsekwentnie cnotliwą. Żona takiego dziwaka i wierna!".

Mąż – niemąż

Rok po ślubie Potocki zostawił żonę i wyjechał do Azji i Afryki, a później przebywał we Francji w Holandii, Niemczech. Częściej widywał się wtedy z mieszkającą w Paryżu teściową niż z Julią. Do Polski od czasu do czasu przyjeżdżał. Wkrótce po ustanowieniu Konstytucji 3 maja wybrał się na przejażdżkę balonem wraz z przebywającym w Warszawie pionierem baloniarstwa Jeanem-Pierre'em Blanchardem. W podróż tę zabrał także Turka i białego rzymskiego pudla. Z ogrodu pałacu Mniszchów przy Senatorskiej dolecieli na Wolę.

Latem 1792 r. zjechał z żoną do Łańcuta i tu, w teatrze pałacowym, wystawiono jego napisane niedawno „Parady". Były to jednoaktówki podobne w założeniu do commedii dell'arte, pełne słownych kalamburów, rubasznych żartów i absurdalnego humoru. O tym, że musiały być jakieś zgrzyty w małżeńskim stadle, świadczy fakt, że to nie Julia – mimo doświadczenia scenicznego – zagrała jedyną postać kobiecą, kochliwą Zerzabellę. I to nie żonie autor zadedykował swój utwór, lecz bratowej Annie Teofili z Sapiehów Potockiej.

Amor nie zasypiał gruszek w popiele

Przed insurekcją Julia przebywała we Francji i brała czynny udział w konspiracji mającej na celu przygotowanie powstania. Współdziałała z samym Tadeuszem Kościuszką. Oboje Potoccy wspierali jego działalność finansowo. Następnie zjechała do Warszawy, gdzie na dobre rozpanoszyli się Rosjanie, a arystokratyczne damy, z którymi kiedyś się przyjaźniła, na prawo i lewo romansowały z oficerami i dyplomatami Katarzyny. Gdy zaczęła się insurekcja, damy owe śpiesznie wyjechały, słusznie obawiając się gniewu warszawskiego ludu. Julia została, jej nic nie groziło.

Amor w jej życiu zatrzepotał skrzydłami wcześniej, już w 1791 r. Była to miłość, jak się okazało, sięgająca w sensie dosłownym po grób i absolutnie wyjątkowa w tej frywolnej epoce. Nie żaden banalny romans, lecz wzniosły związek bratnich dusz, dzielnego rycerza i damy jego serca. Zakochani widywali się na balach i spotkaniach towarzyskich, pisali do siebie. O ich uczuciu było głośno. Książę Eustachy Sanguszko po latach wspomni w pamiętniku: „Wtedy uszczęśliwiał mnie wybór osoby, dla której już od kilku lat serce moje najszczerszy niosło hołd przywiązania. Tchnąc godnem powietrzem, którym oddychała, zrzucałem z siebie wady wychowu pierwiastkowego. I lubo uczciwości kawalerskiej nigdy nie uchybiłem i byłem na nią czuły, wszelako i honor miał wstęp gładszy od serca otwartego dla tak pięknej duszy".

CHĘTNIE FLIRTOWAŁA, ALE NIE DO TEGO STOPNIA BEZPRUDERYJNIE, JAK ROBIŁA TO ZNACZNA CZĘŚĆ WIELKICH DAM

Młody, przystojny, szarmancki magnat był podobnie jak ona zwolennikiem Konstytucji 3 maja i gorącym patriotą. W czasach Sejmu Wielkiego zaciągnął się do Kawalerii Narodowej i odbył kampanię 1792 r. Po Targowicy, aby ocalić swoje dobra leżące na terenach objętych drugim rozbiorem, wstąpił do wojska rosyjskiego. W 1794 r. zdezerterował i przeszedł na stronę insurekcji. Pod Szczekocinami uratował życie samemu Naczelnikowi. Walczył w obronie Warszawy i otrzymał stopień generała.

Po grób

Właśnie w roku 1794, w czasie insurekcji, nastąpiło raptowne pogorszenie stanu zdrowia Julii. Najprawdopodobniej były to suchoty, na które chorował też jej ojciec. Z Warszawy, gdzie zrobiło się już niebezpiecznie ze względu na działania wojenne, wyjechała do Łańcuta. Nie dotarła tam. W obecności męża i synów zmarła w Krakowie 26 sierpnia w wieku 27 lat.

Tego samego dnia Eustachy odniósł ranę. Kurowano go w pałacu Pod Blachą, odwiedzali go sam król i książę Józef. Gdy mu doniesiono o śmierci Julii, przezwyciężył słabość i w przebraniu mieszczanina wyruszył do Krakowa, niebaczny, że może wpaść w ręce wroga, a przecież jako dezerterowi wojsk carskich groziłyby mu srogie represje, nawet stryczek. Napisze później: „A ponad Wisłą nocą przedzieram się przez straże nieprzyjacielskie. Oświeca kroki moje jeszcze żar już zgasłej dla mnie pochodni. Chęć zapalczywa dojścia swego celu, narażając mnie na wszystko, czyni mnie coraz ostrożnym w niebezpieczeństwach, wpośród których dobijam się do Krakowa".

Kiedy tam dotarł, ukochana spoczywała już w podziemiach rodowej kaplicy. Książę przekupił dozorców, zszedł do katakumb i otworzył wieko trumny. Jeden z pamiętnikarzy tak zapisał jego późniejszą relację: „Słaby promyk dzienny, wpadający przez zakratowany otwór, oświecał śliczną jej twarz i tę gracyjną kibić, niemającą nic równego na świecie. Bladość zmieniła jej zwykłą cerę, zresztą wydawała mi się żywą, tylko uśpioną. Wołałem ją po imieniu, najtkliwszymi budziłem zaklęciami, pewny będąc, że głos mój ją ożywi. Nie ożywiła się, a ja w szale rozpaczy przytknąłem usta do jej ust, westchnąwszy do Boga, żeby moją połówką duszy jej zwłoki ożywił. Prośba aczkolwiek gorąca, nie została wysłuchaną. I wtedy dopiero pojąłem, co to jest śmierć [...] zrozumiałem marność życia".

Dalszy ciąg tej miłosnej historii jest taki, że osłabiony niedoleczoną raną, trudami podróży i wzruszeniem zemdlał. Nieprzytomnego wynieśli z kościoła słudzy. Duch Giulietty widać czuwał nad nim, bo nie wpadł w ręce czekających na niego Prusaków, których ktoś powiadomił o obecności generała kościuszkowskiego w mieście.

Książę Eustachy Sanguszko żył długo, zmarł dopiero w 1844 r. w wieku 76 lat. Cztery lata po śmierci Julii ożenił się z Klementyną Czartoryską. Ale i tak wielka młodzieńcza miłość zachowała się i w jego, i w ludzkiej pamięci. Podobnie jak postać pięknej Julii z Lubomirskich Potockiej, kobiety skromnej, wiernej ojczyźnie, utalentowanej aktorsko, a mazurka tańczącej tak, że „otaczające ją tłumy wstrzymywały oddech".

FOT. WIKIMEDIA COMMONS, SHUTERSTOCK

eprasa.pl e761a75206

CZYSTA HISTORIA

NASZE POJMOWANIE SŁOWA „HIGIENA" ORBITUJE WOKÓŁ TAKICH POJĘĆ JAK ŁAZIENKA, TOALETA, KOSMETYKI, ODŻYWKI, MYCIE

KRZYSZTOF ŻARYN

Omawiając tematykę zdrowia, najczęściej zwracamy uwagę na aspekty związane z medycyną, lekami, dietą, aktywnością fizyczną oraz innymi alternatywnymi metodami leczenia.

Zaleca się ograniczenie stresu, spożywania alkoholu, palenia papierosów czy odpowiednio długiego czasu na pełnowartościowy sen. Ogólnie nazywamy to higieną życia codziennego. Składają się na nią powyższe elementy i wpływ środowiska na nasze zdrowie psychiczne i fizyczne. Potocznie stosowane owo wyrażenie zaś określa, czy i jak często zdarza się nam myć ręce. I właśnie na przykładzie mycia rąk możemy na przestrzeni lat prześledzić zmiany naszych obyczajów higienicznych. Pandemia spowodowała, że umycie dłoni po powrocie do domu nie tyle jest dobrym zwyczajem, ile wręcz obowiązkiem społecznym. Jeszcze trzy lata temu za zaniechanie ablucji po powrocie do domu nikt nie skazywałby nas na ostracyzm społeczny. Teraz już możemy się na taką banicję narazić.

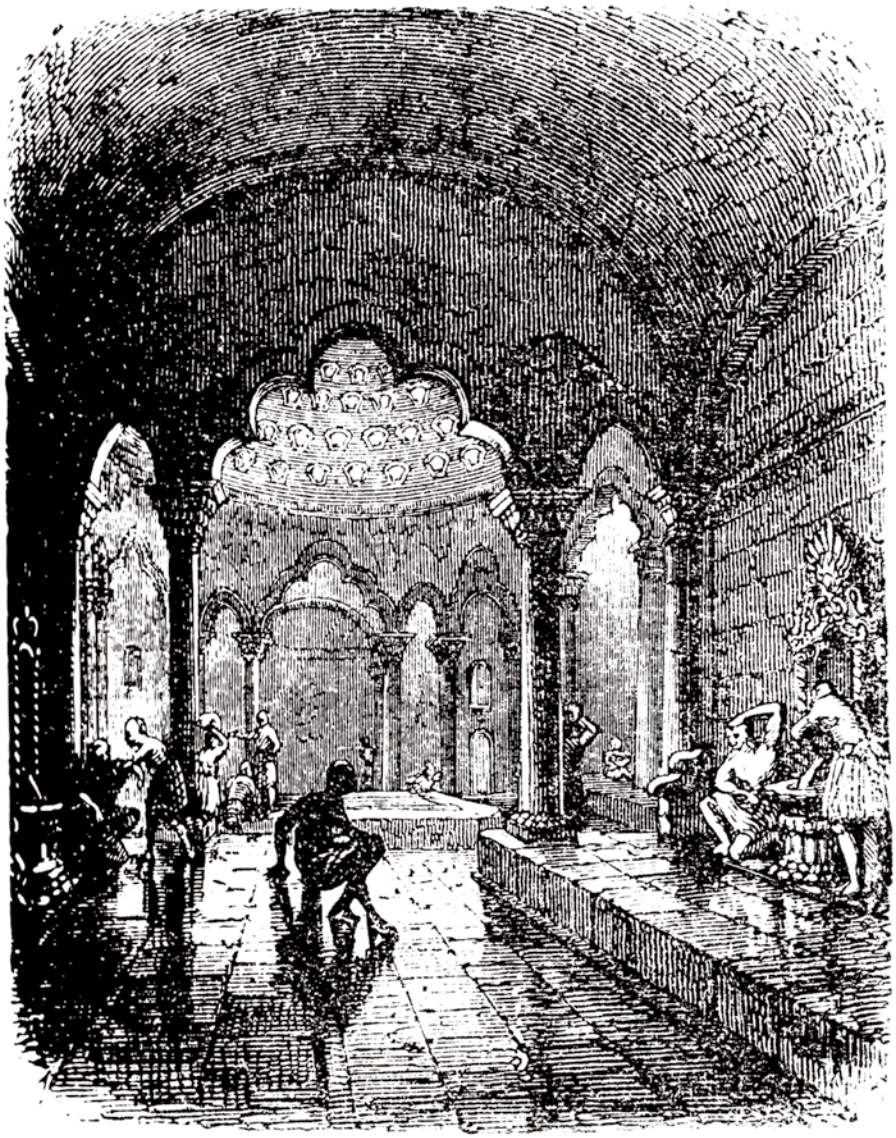

Antyczna czystość

Paradoksalnie czasy starożytne, najbardziej nam odległe, są jednocześnie najbliższe naszemu współczesnemu postrzeganiu czystości. Nie mówię oczywiście o najstarszych cywilizacjach, jak Mezopotamia, ale o kulturze Grecji i Rzymu. Chociaż, żeby być uczciwym wobec faktów, to cywilizacja chińska znała już od dawien dawna ubikację, a Egipcjanie lubowali się w kąpielach, masażach czy sztuce makijażu. Dotyczyło to jednak głównie elit. Tylko najbogatsi i najlepiej sytuowani mogli sobie pozwolić na tego typu doznania. Sytuacja dla antycznego Kowalskiego poprawiła się w kulturze europejskiej. Grecy pierwsi uczynili kult higieny osobistej dostępnym również dla ludzi spoza najważniejszych kręgów.

Dla starożytnych Greków higiena osobista była poniekąd czymś zdobycznym. Raz, że odziedziczyli wiedzę, która napływała do nich od innych kultur, a dwa, że podbijali miejsca, w których już nad higieną panowano. Na przykład Mykeńczycy w II tysiącleciu przed narodzeniem

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e761a75206

Chrystusa zastali na Krecie systemy gwarantujące bieżącą wodę, kanalizację oraz łaźnie zaopatrzone w wanny. Te i inne zdobycze znacznie ułatwiły i uwrażliwiły Greków na przestrzeganie czystości. Znaczenie wpływu higieny na zdrowie doceniali również uczeni i filozofowie. Hipokrates, uważany za ojca medycyny, wymieniał ją jako jeden z filarów utrzymania ciała w dobrej kondycji. Spowodowało to duże zapotrzebowanie wśród ludu na infrastrukturę konieczną do stosowania tych praktyk. Ludzie bogaci mieli w domach swoje prywatne łaźnie, w których mogli zażywać uciech kąpieli. Biedota musiała jednak poprzestać na dobrodziejstwie korzystania z łaźni publicznych. Zapotrzebowanie na tego typu przybytki było bardzo duże, więc powstawało ich coraz więcej. Różnice klasowe jednak nie zginęły. Oprócz prywatności własnych łaźni arystokraci mogli się cieszyć ciepłą wodą. Biedocie musiała wystarczyć możliwość opłukania się w zimnej kąpieli.

Popularność łaźni już wtedy była w rozkwicie. Jednak lata świetności tych przybytków przypadają na czasy starożytnego Rzymu. Idea łaźni wtedy znacznie się wzbogaciła. Rzymianie bowiem zaczęli traktować je jako ośrodki życia towarzyskiego oraz rozrywkowego. Były one na tyle ważne dla obywateli, że wielu cesarzy stawiało te budynki po to, by zaskarbić sobie przychylność ludu. Powstawały domy łaziebne, które oprócz możliwości umycia dawały możliwości skorzystania z sal gimnastycznych, bibliotek czy ogrodów. Częstym zjawiskiem było występowanie domów publicznych w bliskim sąsiedztwie łaźni ogólnodostępnych. Z tego powodu na kobiety chcące skorzystać z uciech term nałożona została opłata. Można się domyślić, że mężczyźni starali się zniechęcić niewiasty do tego miejsca, dzięki czemu sami mogli swobodnie cieszyć się z „higienicznej" oferty. W łaźniach publicznych zaczęły się mieszać grupy społeczne. Z różnorodnych atrakcji chętnie też korzystali patrycjusze.

Średniowiecze wcale nie brudne

Wieki średnie często określane są jako czasy lekkiego regresu różnych dziedzin życia. Można by sądzić, że higiena ludzi tamtych lat też pozostawiała wiele do życzenia. I rzeczywiście w porównaniu ze starożytnymi Grekami czy Rzymianami można zanotować lekki spadek zainteresowania tą tematyką. Wynikała ona głównie z przekonań. Patrząc jednak na to, co działo się w późniejszych czasach, średniowiecze nie wypada tak źle. Mimo że łaźnie kojarzono z rozpustą i grzesznym życiem, nie zaprzestano całkiem korzystania z nich. Najzamożniejsi mieli swoje własne komnaty kąpielowe. A także pozostawały publiczne miejsca przeznaczone do tych czynności.

WYMAGANO MYCIA RĄK PRZED POSIŁKIEM, A NAWET POJAWIŁ SIĘ NOWY ZAWÓD – „ISKIERKI". BYŁA TO OSOBA, KTÓRA ISKAŁA WSZY

W Polsce pierwszą łaźnię odkryto na terenach Gniezna, a datuje się ją na czasy panowania Bolesława Chrobrego. Na przestrzeni trwania epoki średniowiecza miejsc tych przybywało coraz więcej. W XIV w. w samym Krakowie naliczono ok. 12 łaźni publicznych. Nie były one tak mocno oblegane ani uznawane za miejsca rozpusty, ale możliwość umycia się pozostawała. Pierwsza odkryta łaźnia mieściła się w ziemiance, gdzie stawiano piece ulepione z gliny.

Kąpiele również zmieniły się w swoich rytuałach. Tak jak starożytni Rzymianie korzystali z saun i ciepłych kąpieli, zwieńczonych namaszczeniem olejkami, tak średniowieczni ludzie zażywali szybkiego zanurzenia w zimnej wodzie. Często nawet w ubraniach. Pojawiały się jednak inne zwyczaje, które uznamy za przejaw poprawy zasad higieny. Naturalne było proponowanie podróżnym zanurzenia w balii u gospodarza. Wymagano mycia rąk przed posiłkiem, a nawet pojawił się nowy zawód – „iskierki". Była to osoba, która iskała wszy.

Zapyziały Wersal

Upadkiem obyczajów związanych z higieną był kres epoki średniowiecza. Już pod jego koniec zaczęła się coraz większa nagonka na łaźnie publiczne. Mimo że ich wykorzystanie nie było aż tak bezpruderyjne jak w czasach starożytnych, to nadal zwierzchnicy Kościoła katolickiego uważali je za przybytek nierządu. Z tego względu zaczęto masowo zamykać te miejsca. Dodatkowym bodźcem była niosąca śmiertelne żniwo epidemia dżumy panująca w XIV-wiecznej Europie. Jednym z głównych miejsc, którym przypisywano rolę głównego sprawcy tej tragedii, były właśnie ogólnodostępne łaźnie, gdzie gromadziły się duże skupiska ludzi otoczonych gorącą parą wodną. Paradoksalnie miejsca, gdzie starano się wprowadzać higienę osobistą, przyczyniły się do wybuchu pandemii, która spowodowała, że tej higieny nie przestrzegano już prawie wcale.

Symbolem tego upadku czystości stał się Wersal. Miejsce kojarzone z blichtrem, pompatycznością i bogactwem. Jednak w epoce nowożytnej stał się on przede wszystkim synonimem brudu i smrodu. Częste mycie ponoć mogło doprowadzać do chorób, osłabienia i głupoty. Te wierzenia ówczesnych ludzi spowodowały, że Ludwik XIII nogi pierwszy raz umył w wieku sześciu lat. Z kolei Ludwik XIV zamiast się myć, wolał wymienić koszulę na świeższą. Problem był również z odprowadzaniem nieczystości. W Wersalu pierwszą toaletę zainstalowano dopiero w 1768 r. Pojawianie się większych skupisk ludzi w miastach, jak również początki urbanizacji nie sprzyjały utrzymaniu higieny.

Dopiero XIX w. przyniósł zmiany w podejściu do czystości. Wiąże się to z rozwojem wiedzy na temat naszego ciała. Odkryto wpływ skóry na nasze zdrowie, jej niektóre funkcje typu oddychanie. Na początku XX w. wykryto bakterie i wirusy. Znajomość naszego organizmu przyczyniła się do zwiększenia nacisku na nasze codzienne czynności związane z higieną osobistą. Zaczęły się pojawiać różne środki czystości, udoskonalono systemy sanitarne. Wiele wydarzeń historycznych miało duży wpływ na zmianę podejścia człowieka do higieny osobistej. Również teraz jesteśmy świadkami dużego zwrotu w tej dziedzinie. Pandemia koronawirusa już spowodowała, że zaczęliśmy się częściej myć, odkażać czy dezynfekować, a zmiana ta na pewno będzie mocno zauważalna na kartach historii.

eprasa.pl e761a75206

ARISAKA TYP 99, CZYLI KARABIN SAMURAJÓW

KARABINY ARISAKA STANOWIŁY PODSTAWOWE UZBROJENIE JAPOŃSKICH ŻOŁNIERZY W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

KACPER GROCHOCKI

W XIX w. armia japońska zaczęła się modernizować na wzór europejski. Nadal jednak stanowiła interesujące połączenie nowoczesności z tradycjami samurajskimi, co rzutowało na wojsko w sferze mentalnej i materialnej. Z jednej strony wychowywano żołnierzy zdyscyplinowanych, bezgranicznie oddanych i gotowych do poświęceń, jednocześnie nadal uznawano walkę wręcz i „duchową przewagę" za ważny element szkolenia i taktyki na polu walki.

Pod względem uzbrojenia indywidualnego piechurów Japonia już pod koniec XIX w. zaczęła naśladować najlepsze europejskie wzorce. Pierwszą konstrukcją japońskiego pochodzenia był jednostrzałowy karabin opracowany w 1880 r. przez mjr. Murata, oznaczony jako Typ 13. Do 1945 r. w Japonii stosowano różną nomenklaturę modeli i typów uzbrojenia, bazując na kalendarzu imperialnym, liczonym od 660 r. p.n.e. bądź stosując tzw. ery, czyli okresy panowania danego władcy. W przełożeniu na język europejskich oznaczeń wojskowych Typ 13 oznaczałby wz. 1880 (wz. 80), ponieważ rok 13. ery Meiji (panowania cesarza Mutsuhito) oznaczał rok 1880 kalendarza gregoriańskiego. Karabiny Murata były udoskonalane do czasu wojny japońsko-chińskiej z lat 1894–1895. Doświadczenia z niej wyniesione oraz rozwój karabinów powtarzalnych na Starym Kontynencie przyczyniły się do podjęcia decyzji o zastąpieniu wysłużonej broni nowym modelem.

Komisja, którą nadzorował pułkownik Nariake Arisaka, opracowała przyjęty do uzbrojenia w 1897 r. karabin Typ 30, wykorzystujący wzorce zapożyczone z wielu europejskich konstrukcji. Czerpano głównie z niemieckiego Mausera wz. 88 i austriackiego Mannlichera wz. 95 oraz „odmian" tych modeli. Aby uniknąć opłat licencyjnych, Japończycy zastosowali również własne modyfikacje i pomysły, a także zmniejszyli kaliber broni do 6,5 mm. Zastosowanie mniejszych pocisków ograniczało odrzut broni oraz, co ważniejsze ze względu na braki w surowcach, wymagało niższych nakładów do ich produkcji. W 1905 r., po doświadczeniach wojny rosyjsko-japońskiej, karabin przeprojektowano – zmiany dotknęły zamka broni, dzięki czemu poprawiono jego niezawodność, oraz celownika. Wersja ta otrzymała oznaczenie Typ 38. Typy 30 i 38 produkowano również w skróconych wersjach (karabinki) na potrzeby kawalerii, artylerii i służb tyłowych.

Toczone przez Japonię w latach 30. walki w Chinach i Mongolii uwydatniły jednak wady pocisków kalibru 6,5 mm – głównie zbyt niską siłę przebicia i moc obalającą, ale również małą stabilność naboju w locie i jego podatność na podmuchy wiatru. W związku z tym w 1939 r. karabin Typ 38 poddano modyfikacji i dostosowaniu do nowego pocisku kal. 7,7 mm. Przemodelowana konstrukcja otrzymała oznaczenie Typ 99. Szybko zrezygnowano z produkcji jej długiej wersji i skupiono się na wytwarzaniu „karabinu ujednoliconego" o długości pośredniej pomiędzy karabinem a karabinkiem.

Arisaka Typ 99 był karabinem powtarzalnym z zamkiem tłokowym, ślizgowo-obrotowym, czterotaktowym. Magazynek o pojemności pięciu pocisków był schowany w łożu. Niezaładowana broń ważyła 3,8 kg, a jej całkowita długość wynosiła 111,7 cm. Do tak istotnej dla Japończyków walki wręcz przeznaczony był bagnet o długości ostrza blisko 40 cm i całkowitej 51 cm. Co ciekawe, broń posiadała celownik ramkowy z dodatkowymi, rozkładanymi „ramionami" dla ułatwienia strzelania do samolotów.

Karabiny Arisaka były podstawowym wyposażeniem japońskich żołnierzy od przełomu XIX/XX w. W wersji Typ 99 nie ustępowały jakością i parametrami europejskim odpowiednikom. Ogromną ich zaletą był prosty i dobrze wykonany zamek, składający się tylko z pięciu głównych części. Z kolei do wad można zaliczyć klejoną wzdłużnie kolbę, co wynikało z charakterystyki zastosowanego drewna – orzecha japońskiego – i zwiększało jej podatność na uszkodzenia. Łącznie, do 1945 r., wyprodukowano ok. 10 mln egzemplarzy wszystkich modeli karabinu.

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl e761a75206

CENTRALNE LABORATORIUM OCHRONY RADIOLOGICZNEJ

Odtajnienie technologii nuklearnych w 1955 r. otworzyło drogę dla zastosowania ich do celów cywilnych w państwach bloku wschodniego. Z ZSRR zaczęto importować urządzenia i dokumentację, tworząc podwaliny krajowego przemysłu jądrowego.

W 1958 r. w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku pod Warszawą zaczął działać pierwszy badawczy reaktor jądrowy „Ewa". Wkrótce powstały następne, w tym pracująca do dziś „Maria". W wielu zakładach przemysłowych zaczęto używać urządzeń stosujących źródła promieniotwórcze, takich jak czujniki poziomu, gęstości, wilgotności i grubości, defektoskopy wykorzystujące promieniowanie do prześwietlania spawów i odlewów czy izotopowe wagi taśmociągowe, jak ta widoczna na zdjęciu ze zbiorów NAC. Ponadto świecącą farbą na bazie radu malowano wskazówki wojskowych kompasów i zegarów lotniczych. W służbie zdrowia izotopy radioaktywne stosowano natomiast do radioterapii nowotworów oraz diagnostyki.

Izotopowa waga taśmociągowa w kopalni węgla na Śląsku, 1962

Coraz szersze zastosowanie źródeł promieniowania jonizującego stworzyło konieczność kontroli jego wykorzystania. 13 lipca 1957 r. Zarządzeniem nr 164 Prezesa Rady Ministrów powołano w tym celu Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej (CLOR). Siedzibą placówki były początkowo pomieszczenia udostępnione przez Elektrociepłownię Żerań. Dopiero 1970 r. przyniósł instytucji własną siedzibę przy ul. Konwaliowej, zajmowaną przez CLOR do dziś. Jednostka ta prowadziła ewidencję źródeł promieniotwórczych i kontrolę warunków ich eksploatacji. Monitorowano także dawki promieniowania pochłaniane przez pracowników oraz prowadzono poszukiwania zagubionych i skradzionych źródeł.

Ten niezwykle ciekawy wątek działalności CLOR wiąże się z brakiem świadomości zagrożeń wynikających z promieniowania, który towarzyszył początkom techniki jądrowej w Polsce. Źródła promieniotwórcze padały łupem złodziei, którzy wiedzieli, że są cenniejsze od złota, choć często przypłacali taką zdobycz chorobą popromienną i śmiercią. Świecącą farbą na bazie radu, wynoszoną z fabryk, malowano spławiki wędkarskie i inne przedmioty, narażając się na skażenie tym silnie radiotoksycznym izotopem. Próbowano też wyłudzać dodatki za narażenie na promieniowanie przez celowe zawyżanie wskazań indywidualnych dozymetrów, kontrolujących pochłonięte dawki. Z kolei osoby świadome skutków promieniowania czasem próbowały używać źródeł radioaktywnych do celów przestępczych, głównie skrytobójczych. Pewien pracownik naukowy próbował otruć swoją byłą żonę roztworem kobaltu-60 – na szczęście nieskutecznie, choć spowodował silne skażenie jej mieszkania i wywołał u niej poważne problemy zdrowotne. Odnotowano nawet przypadek, w którym sprawca chciał pozbawić płodności sąsiada z uwagi na jego wielodzietną rodzinę, jednak niosąc źródło w kieszeni, sam stał się bezpłodny.

Zagubionych źródeł poszukiwano przykładowo w przypadku katastrof lotniczych – konieczne było wytropienie wmontowywanych w samoloty izotopowych czujników oblodzenia, w których radioaktywny element emitował promieniowanie 5 tys. razy silniejsze niż tło naturalne. Często źródła były gubione podczas transportu lub uszkadzane podczas różnych prac w przemyśle – by szybko reagować na tego rodzaju sytuacje, powołano patrol dozymetryczny z własnym samochodem wyposażonym w aparaturę pomiarową. CLOR prowadziło też bieżący monitoring skażeń promieniotwórczych atmosfery, szczególnie silnych podczas masowych testów broni jądrowej w latach 50. i 60. 28 kwietnia 1986 r. sieć wykrywania skażeń, koordynowana przez CLOR, zarejestrowała skażenia napływające nad Polskę po awarii w Czarnobylu. Umożliwiło to podjęcie relatywnie szybkich, choć i tak spóźnionych, działań profilaktycznych – akcję podania płynu Lugola dzieciom, młodzieży i kobietom w ciąży. Przez wiele lat po katastrofie monitorowano poziom promieniowania i kontrolowano skażenie powietrza, gleby i wody. W ramach prac przygotowawczych przed budową pierwszej polskiej elektrowni jądrowej w Żarnowcu prowadzono pomiary naturalnego tła promieniowania w rejonie planowanej budowy, używając w tym celu samolotu PZL An-2 z aparaturą dozymetryczną.

Do zadań CLOR należało (i nadal należy) również wydawanie atestów dla aparatury dozymetrycznej i prowadzenie jego okresowego wzorcowania, zapewniającego rzetelność wskazań. Aparatura początkowo była sprowadzana z ZSRR lub wytwarzana w tzw. gospodarstwach pomocniczych przy instytutach badawczych i katedrach wyższych uczelni, np. w Katedrze Budowy Aparatury Elektromedycznej Politechniki Warszawskiej. Następnie urządzenia te produkowano w Zjednoczonych Zakładach Urządzeń Jądrowych „Polon" w Bydgoszczy i ich filiach.

Niedawno CLOR obchodziło 60. rocznicę istnienia. Główne zadania laboratorium pozostają te same, choć ogromna przepaść dzieli pionierski etap z lat 50. od współczesności, naznaczonej udziałem w międzynarodowych projektach badawczych i posługiwaniem się nowoczesnym, skomputeryzowanym sprzętem.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

FOT. L. ZIELASKOWSKI, NAC, SYGN. 3/53/0/10/721

eprasa.pl e761a75206

Narada Napoleona z kapitanem huzarów (Piotr „Klemens" Zawada, Piotr Torłop)

Od lewej: Cezary Wieruszewski (kapitan fizylierów) i Piotr „LOBO" Gański (grenadier)

Jeżeli chcesz świetnego odtwórcę Napoleona, to polecam „Klemensa" – powiedział Maciej Flis, kierownik Twierdzy Wisłoujście oddziału Muzeum Gdańska. Taka rekomendacja spowodowała, że bez wahania z fotografem Andrzejem Wiktorem wtaszczyliśmy torby ze sprzętem do sesji zdjęciowej do pociągu i ruszyliśmy w kierunku Trójmiasta.

„Klemens", a tak naprawdę Piotr Zawada, swoją karierę rekonstrukcyjną rozpoczął w 2002 r. w GRH Pułku 12. Piechoty Księstwa Warszawskiego od zwykłego szeregowego fizyliera. Jak sam mówi, „przez te wszystkie lata grupa przechodziła wszelkie możliwe przeobrażenia, wzloty i upadki, ale cały czas niezłomnie trwała i obecnie liczy około 50 osób". Choć członkowie grupy rekrutują się z całego kraju, na rekonstrukcjach bitew i innych imprezach napoleońskich zawsze można liczyć na obecność wszystkich w umówionym miejscu w Polsce (m.in. Lidzbark Warmiński, Nysa, Kamieniec, Raszyn) czy za granicą (m.in. Somosierra, Borodino, okolice Austerlitz, Lipska czy Waterloo). Podczas tych wydarzeń rekonstruktorzy mieszkają na biwaku pod namiotami, co o dziwo jest większym wyzwaniem niż sama bitwa. „Klemens", który obecnie jest dowódcą grupy w stopniu kapitana, od 2010 r. wciela się też w rolę Bonapartego. Od 2015 r. ze swoimi przyjaciółmi ruszył z projektem „Namiot sztabowy Napoleona", którego celem jest przedstawienie szerszej publiczności, jak wyglądała praca sztabu armii francuskiej podczas kampanii wojennych Cesarza na zasadzie żywej lekcji historii.

– W realizacji tego projektu kładziemy szczególny nacisk na wierne odtworzenie realiów i detali historycznych oraz odpowiedni poziom komentarza – dodaje Piotr „Klemens" Zawada. – Staraliśmy się jak najwierniej odtworzyć szczegóły wyposażenia namiotu sztabowego Napoleona, a także zwyczaje, zachowanie i sposób pracy Cesarza oraz jego sztabu podczas wojny. Przypominamy, że po latach niewoli to właśnie Napoleon częściowo wskrzesił Polskę pod nazwą Księstwa Warszawskiego, co stało się również dzięki istnieniu Legionów Polskich we Włoszech generała Jana Henryka Dąbrowskiego i wtedy właśnie powstał nasz narodowy hymn zwany „Mazurkiem Dąbrowskiego", do którego słowa napisał Józef Wybicki – podkreśla Piotr „Klemens" Zawada.

MICHAŁ KORSUN

Układanie włosów grenadiera Kacpra Sikorskiego przed „bitwą"

Ostatnie poprawki dyrektora artystycznego Michała Korsuna

e-prasa.pl e7[illegible]75206

Od lewej: Kacper Sikorski, Cezary Wieruszewski, Piotr „Klemens" Zawada, Piotr Torłop, Piotr „LOBO" Gański

Sztućce Cesarza

Fotograf Andrzej Wiktor „Groźny"

Jak wąs, to od Asi Wasilewskiej

Wojny wymagają pieniędzy

Piotr Torłop

Już po sesji...

GÓRNA PÓŁKA

Korea nieznana

ANTONI DUDEK

Polacy najczęściej kojarzą Koreę z totalitarnym państwem, rządzonym przez groteskowo wyglądającego dyktatora, pozdrawiającego wiwatujące na jego cześć tłumy i odbierającego kolejne parady wojskowe. To zaskakujące, bo większość z nas ma w domu (albo w garażu) produkty pochodzące jednak z drugiego z państw koreańskich, jakie wyłoniły się po II wojnie światowej. Kraju nie tylko większego pod względem liczby ludności, ale przede wszystkim bez porównania potężniejszego gospodarczo.

Korea Południowa, bo o niej oczywiście mowa, to bohaterka znakomitej książki Romana Husarskiego. Nie jest to jednak reportaż historyczny, ambicją autora było bowiem nakreślenie wielowymiarowego portretu współczesnej Korei. Jednak kreśląc go, bardzo często sięgał do jej burzliwej historii, w tym zwłaszcza do dramatycznego okresu japońskiej okupacji, która nie trwała – jak się często błędnie uważa – jedynie w czasach II wojny światowej, ale od 1910 r., a zatem przez 35 lat. Wcześniej zaś Korea przeszła przez jeszcze dłuższy okres zależności od sąsiednich Chin. Jednak to rozliczenia z Japończykami, w tym zwłaszcza sprawa wykorzystywania seksualnego tysięcy Koreanek (nazywanych wianbu), budzą obecnie w tym kraju największe emocje. O tym, jak są one silne, świadczą nie tylko stawiane w ostatnich latach w całym kraju pomniki, upamiętniające krzywdę wyrządzoną tym kobietom, ale powtarzające się przypadki samospalenia podejmowane przez młodych ludzi, domagających się w ten drastyczny sposób zadośćuczynienia od władz Japonii. Wprawdzie te ostatnie wypłaciły już ostatnim żyjącym wianbu 6 mln dol., ale w Korei uznawane jest to za niewystarczające, a przeprosiny wygłaszane przez japońskich polityków za nieszczere.

Paradoks relacji koreańsko-japońskich polega wszakże na tym, że to właśnie inwestycje ekonomiczne Tokio, zapoczątkowane jeszcze w końcu lat 60. minionego stulecia, były fundamentem południowokoreańskiego cudu gospodarczego. O wpuszczeniu Japończyków, tym razem już jako inwestorów, zadecydował dyktator gen. Park Chung-hee. Autorytarnych rządów Koreańczycy pozbyli się dopiero w latach 80. I tu jeszcze jedna niespodzianka, sprawiająca, że z tym odległym narodem łączy nas więcej, niż by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Otóż bardzo istotną rolę w procesie demokratyzacji Korei odegrał tamtejszy, całkiem spory liczebnie, Kościół katolicki. Kto się chce dowiedzieć, dlaczego koreańską Solidarnością bywa nazywana neogotycka katedra Myenondong, położona w centrum Seulu, koniecznie powinien sięgnąć po książkę Husarskiego.

Roman Husarski, „Kraj niespokojnego poranka. Pamięć i bunt w Korei Południowej", Wołowiec 2021

POLSKIM OKIEM

Dziedziczenie wolności i niewoli

RYSZARD CZARNECKI

Opowiadał mi rodak, który był na delegacji w Związku Sowieckim A.D. 1982. Jego praca wiązała się z przemieszczaniem się po olbrzymim terytorium ZSRS. Gdy przyleciał do Moskwy, właśnie zmarł I sekretarz KC KPZR Leonid Breżniew i w stolicy Sojuza wieszano gigantyczne żałobne artefakty.

Następnego dnia był w Leningradzie – i z kolei tam wieszano portrety Breżniewa spowitego kirem. Dawna stolica carskiej Rosji w żałobnym rozdzielniku była przewidziana na jeden dzień po Moskwie. Kolejnego dnia samolotem poleciał do Irkucka na Syberii. Jadąc do hotelu, zobaczył... jak wieszają podobizny Breżniewa w samym centrum miasta. Kolejnego dnia znalazł się w małym miasteczku nad Jenisejem. Gdy opuścił jedyny w mieście hotel, zobaczył, jak tam, trzy dni po Moskwie, dwa dni po Leningradzie, dzień po Irkucku wieszają monstrualne podobizny zmarłego I sekretarza. Nie mógł się powstrzymać i na głos się roześmiał. Towarzysze z bezpieczeństwa spojrzeli na niego groźnie. Tylko Jenisej płynął swoim rytmem nieczuły na zgony szefów partii komunistycznej...

Morał tej historii jest następujący: wydarzenie historyczne jest jak kamień rzucony w wodę – kolejne kręgi stopniowo powstają na tafli i rozchodzą się w określonym tempie.

Historia ta działa się w Związku Sowieckim, a więc „czerwonej Rosji", żeby użyć terminologii Jana Kucharzewskiego. Charakterystyczne, że choćby nie wiadomo ilu „białych Rosjan" zginęło z rąk „czerwonych Rosjan", to w praktyce stosunek do jednostki, do praw człowieka, relacja między władzą a obywatelami była i za caratu, i za komuny jakże podobna. Oczywiście mniej ludzi zginęło za carskiej władzy niż za władzy komunistycznej, lecz nie o skalę tu chodzi, tylko o stosunek wyrażony przez poetę Włodzimierza Majkowskiego: „jednostka – zerem, jednostka – bzdurą". Pewnie nie przypadkiem bojarzy, poddani cara, choć jednocześnie możnowładcy, zakosztowawszy trochę wolności i autonomii, uciekali na ziemie Rzeczypospolitej, bo tam wolność była gwarantowana przez króla. W Rosji car też gwarantował – ale niewolę. Minęło paręset lat: po sowieckiej rewolucji do Rzeczypospolitej trafiła kolejna fala („białych") Rosjan...

Zmarła dziewięć lat temu prof. Anna Sucheni-Grabowska pisała, jak bardzo Polacy w II połowie XX w. prezentowali cechy swoich przodków z XVI czy XVII stulecia – te z okresu I Rzeczypospolitej, szlacheckiej złotej wolności i „neminem captivabimus" („nikogo nie uwięzimy bez wyroku sądowego"). Bardzo często chodziło o współczesnych Polaków, którzy nie mieli żadnego szlacheckiego pochodzenia, ale przyjęli jako część narodowego dziedzictwa wartości i wolnościową spuściznę.

A przecież w Rosji też jest ciągłość. U nas dziedziczy się wolność, tam niewolę i poczucie, że władza może zrobić z jednostką wszystko – bo jest władzą.

eprasa.pl e761a75206

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

Henryk Śmigacz w czasie pracy

HENRYK ŚMIGACZ: Z APARATEM NA WOJNIE I W TEATRZE

KATARZYNA ADAMÓW

We wrześniu 1939 r., gdy wybuchła II wojna światowa, Henryk Śmigacz miał 28 lat i pracował jako fotoreporter „Kuriera Warszawskiego". Wraz z kolegą z redakcji, również fotografem, Janem Rysiem, uzyskał od prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego i gen. Juliusza Rómmla pozwolenie, dzięki któremu obaj mogli swobodnie się poruszać po oblężonej przez Niemców stolicy i fotografować.

Zdjęcia przekazywali do ratusza, który chciał zebrać dokumentację wojennych losów miasta. Henryk Śmigacz swoim aparatem uwiecznił m.in. bombardowanie Zamku Królewskiego i Starego Miasta. Po latach wspominał: „Robiłem zdjęcia, gdy mieszkańcy Starówki, wśród nich moi sąsiedzi, próbowali gasić płonący Zamek, nie zważając na niebezpieczeństwo, ratowali bezcenne zabytki. To dzięki nim część zamkowych eksponatów ocalała. Utrwaliłem na szklanych kliszach 9×12 cm swego aparatu Zeiss Ikon Nettal hitlerowskie samoloty zrzucające bomby na Zamek. Wykonałem wiele zdjęć z ulicy Podwale, skąd obiektyw obejmował widok całego Zamku. Na moich oczach waliły się stropy zamkowe, wylatywały okna z futrynami, impet darł na strzępy wspaniałe kobierce".

W latach 1942–1944 Śmigacz prowadził zakład fotograficzny w kamienicy przy Złotej 24. W czasie powstania warszawskiego jako fotograf cywilny wykonywał zadania na zlecenie Delegatury Rządu na Kraj, głównie na obszarze północnego Śródmieścia. Po kapitulacji powstania, nim opuścił miasto, ukrył w piwnicy domu przy Złotej ok. 2 tys. negatywów. Niewiele z nich udało się później odnaleźć w stanie pozwalającym na ich wykorzystanie.

Po wojnie fotograf wraz z rodziną przeniósł się do Łodzi. Tam, przy ul. Piotrkowskiej 43 prowadził studio fotograficzne. Od końca lat 40. do lat 60. XX w. stał się głównym kronikarzem łódzkiej sceny teatralnej. Przed jego obiektywem stanęli tacy artyści jak: Jadwiga Andrzejewska, Jan Kiepura, Adolf Dymsza, Klemens Mielczarek czy Henryk Szwajcer. Zmarł 24 marca 1972 r.

Przez wiele lat fotografie Henryka Śmigacza były mało znane. W sierpniu 2021 r. córka fotografa, pani Aleksandra Szczygielska, oraz jego wnuczka, pani Małgorzata Szczygielska-Scott, przekazały spuściznę po artyście do zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Klisze, szklane negatywy i odbitki pozytywowe zostały poddane konserwacji, zabezpieczone i zdigitalizowane. Można na nich zobaczyć m.in. strażaków gaszących pożar zbombardowanego we wrześniu 1939 r. Zamku Królewskiego, powstańców warszawskich ze zgrupowania „Gurt" na barykadzie w okolicy hotelu Astoria przy ul. Chmielnej, rannych w szpitalu polowym przy ul. Złotej 22, czyli tuż przy budynku, w którym mieściło się studio artysty, oraz zniszczenia zabudowy miasta. Są też kadry pokazujące przyjaciół i bliskich fotografa, życie towarzyskie, formy spędzania czasu wolnego, dzieci i zwierzęta. Ważną część zbioru stanowią portrety i unikatowa kolekcja szklanych negatywów prezentująca aktorów oraz sceny z przedstawień łódzkich teatrów.

FOT. AIPN 4111/12/19

eprasa.pl:a761a75206

Pomnik Powstańców Wielkopolskich w Poznaniu

POWSTANIE WIELKOPOLSKIE

W 1918 r. Polska, po 123 latach niewoli, odzyskała niepodległość. Po ponad wieku represji, wynarodowiania, nieudanych powstań, zsyłek, branek i kontrybucji żadnemu z trzech zaborców nie udało się zniszczyć nieustannie żywotnej tkanki narodu polskiego. Polacy nadal nazywali samych siebie Polakami i niezmiennie robili to w swoim języku.

Wybuch wielkiej wojny, w której niewolące naszą ojczyznę imperia stanęły naprzeciw siebie, był dla nas długo wypatrywanym uśmiechem losu. Dotychczas zaborcy ramię w ramię zwalczali wszelkie próby restytucji państwa polskiego. W nowej rzeczywistości, po 1914 r., o współpracy między Rosją a Austro-Węgrami i Niemcami nie mogło być mowy. Polscy patrioci instynktownie wyczuli, że stanęli przed od lat wyczekiwaną szansą na wskrzeszenie Rzeczypospolitej. Legiony Piłsudskiego, namiastka naszej przyszłej armii, nie były wystarczającą siłą mogącą samodzielnie dźwignąć Polskę z grobu. Nikt nawet w najśmielszych snach się nie spodziewał, że I wojna światowa zakończy się przegraną dla wszystkich naszych zaborców. Jednak zrządzenie losu utorowało nam drogę do niepodległości. Trwająca jedynie w sercach Polska znów mogła zaistnieć na mapach świata. Dzięki tysiącom patriotów wydzierających ziemie spod panowania okupantów Józef Piłsudski 16 listopada 1918 r. mógł wysłać w świat depeszę notyfikującą powstanie niepodległego państwa polskiego.

Walki o ostateczny kształt granic II Rzeczypospolitej trwały jeszcze przez kilka lat. W 1918 r., gdy znaczna część Polaków mogła się już cieszyć na nowo kiełkującym państwem polskim, dla Wielkopolan trwała noc pruskiego zaboru. Niemcy nadal rządzili tymi ziemiami, na poznańskim rynku nadal przed odwachem stały i były demonstracyjnie zmieniane butne, niemieckie warty. Napięcie, i tak już dawno podniesione kolejnymi falami germanizacji oraz oporem przeciw nim, nieustannie rosło. Prawdziwą erupcję patriotycznych emocji wzbudził jednak przyjazd Ignacego Paderewskiego do Poznania.

26 grudnia 1918 r. o godz. 21.10 na poznański dworzec boczny (cesarski) wjechał pociąg, którego obawiali się Niemcy. Przyjechał nim nasz genialny pianista, człowiek znany na całym świecie. Na nic się zdały ostatnie próby zatrzymania Paderewskiego – niemieccy oficerowie, którzy mieli to zrobić, zostali powstrzymani przez szczelny szpaler skautów, a wyłączenie świateł w całym mieście dało możliwość przywitania dostojnego gościa przez wiwatujące tłumy w niepowtarzalnej atmosferze w blasku kilkuset pochodni. Jeszcze tego samego wieczora Paderewski przemówił z okna hotelu Bazar do odprowadzających go tysięcy Polaków. Głośno powiedział, że Wielkopolska należy do Polski! Te słowa stały się iskrą do wybuchu powstania wielkopolskiego. Następnego dnia odbyły się polskie manifestacje, Niemcy zorganizowali kontrmanifestacje... Zamieszki szybko przerodziły się w otwarte walki. O 16.40 padł pierwszy strzał. Nie wiadomo, z której strony, ale poprowadził on Polaków do boju.

Wielkopolanie szybko się zjednoczyli. Młodzież i dzieci drużyn skautowych zorganizowały pocztę polową, a kobiety zabrały się do szycia mundurów, biało-czerwonych opasek, a także do tworzenia jadłodajni. Mężczyźni zgłaszali się do służby w powstańczych oddziałach. Zapanowało poczucie braterstwa i wspólnoty. Powstanie wielkopolskie osiągnęło sukces. Na mocy podpisanego 16 lutego 1919 r. rozejmu w Trewirze zakończył się konflikt polsko-niemiecki, a opanowana przez powstańcze oddziały Wielkopolska siłą rzeczy została przyłączona do Polski. Byłoby to niemożliwe bez wcześniejszych przygotowań, m.in. gromadzenia broni i amunicji, ale uważam, że trudno byłoby nam wygrać, nie odkładając naszych typowo polskich waśni na bok. Jakże silnym bylibyśmy państwem, gdybyśmy potrafili jednoczyć się nie tylko w chwili próby.

Ignacy Paderewski odegrał jeszcze jedną bardzo ważną rolę w odtwarzaniu państwa polskiego – 28 czerwca 1919 r. w imieniu narodu i władz państwowych złożył podpis pod traktatem wersalskim. Tym samym, będąc delegatem Polski podczas obrad wersalskich, potwierdził postanowienia dotyczące niepodległej Polski z wyzwoloną wcześniej Wielkopolską.

1 października 2021 r. polski sejm ustanowił nowe święto państwowe – Narodowy Dzień Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego. Będzie ono przypadać w rocznicę wybuchu zrywu – 27 grudnia. Z tego względu w tym roku, o ile pandemia na to pozwoli, obchody rocznicowe pod pomnikiem Powstańców Wielkopolskich w Poznaniu powinny być wyjątkowo uroczyste.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

FOT. AJKMAN/SHUTTERSTOCK.COM

eprasa.pl e761a75206

KATARZYNA UTRACKA

ROZKAZY DOWÓDZTWA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W TYM ROKU MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO WYDAŁO PUBLIKACJĘ „ROZKAZY DOWÓDZTWA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO" POD REDAKCJĄ KATARZYNY UTRACKIEJ, RAFAŁA BRODACKIEGO, ANDRZEJA CHMIELARZA I GRZEGORZA JASIŃSKIEGO. TOM ROZPOCZYNA SERIĘ „ŹRÓDŁA POLSKIE DO POWSTANIA WARSZAWSKIEGO". JEST TO ZBIÓR NAJWAŻNIEJSZYCH ŹRÓDEŁ DO BADANIA HISTORII WALK Z SIERPNIA I WRZEŚNIA 1944 r.

Publikacja zawiera dokumenty wytworzone w sztabie komendanta Okręgu Warszawa Armii Krajowej i dowódcy powstania warszawskiego płk. (od 14 września 1944 r. – generała brygady) Antoniego Chruściela „Montera". Prezentowana pierwsza część obejmuje rozkazy organizacyjne i operacyjne wydane jeszcze przed rozpoczęciem powstania oraz w pierwszym miesiącu walk. Datą graniczną jest tu 2 września 1944 r., czyli dzień upadku Starego Miasta. Część druga (w przygotowaniu) będzie zawierać dokumenty ilustrujące zmagania powstańcze we wrześniu oraz w pierwszych dniach października 1944 r. – do momentu zakończenia powstańczej epopei. Tom drugi wypełnią meldunki i raporty sytuacyjne, obwieszczenia i zarządzenia „Montera" oraz korespondencja wytworzona przez pozostałe komórki Komendy Okręgu. W następnych zbiorach znajdą się materiały wytworzone w Komendzie Głównej i Komendzie Obszaru Warszawskiego AK, archiwalia dotyczące grup „Śródmieście", „Południe" i „Północ", w tym Grupy „Kampinos", oraz dokumenty dotyczące poszczególnych oddziałów powstańczych. Planujemy również wydawanie zbiorów tematycznych (problemowych), m.in. dokumentów dotyczących bezpieczeństwa i porządku publicznego w powstańczej Warszawie, nastrojów panujących wśród ludności cywilnej, spraw wywiadowczych, kwatermistrzostwa, aprowizacji powstańczej Warszawy, opieki społecznej i współpracy AK z administracją cywilną.

Blisko połowa dokumentów (60 spośród 135) zamieszczonych w niniejszym tomie nie była wcześniej publikowana – ich oryginały przechowywane są w zasobach Wojskowego Biura Historycznego, Archiwum Akt Nowych, Muzeum Powstania Warszawskiego oraz Studium Polski Podziemnej w Londynie. Dokumenty zostały przepisane i opatrzone bogatym aparatem krytycznym. Całość poprzedzono obszernymi wstępami merytorycznymi i notą edytorską ułatwiającymi lekturę oraz analizę materiałów. Zbioru dopełniają aneksy, w których znajduje się kilka dokumentów stanowiących uzupełnienie do rozkazu operacyjnego wydanego przez płk. „Montera" tuż przed rozpoczęciem walk w sierpniu 1944 r. Dodatkowo zamieszczono schematy organizacyjne sił powstańczych i spis kryptonimów pojawiających się na kartach książki. Tom wieńczy wykaz skrótów, bibliografia selektywna publikacji poświęconych powstaniu warszawskiemu oraz indeksy (topograficzny, geograficzny, nazwisk i pseudonimów).

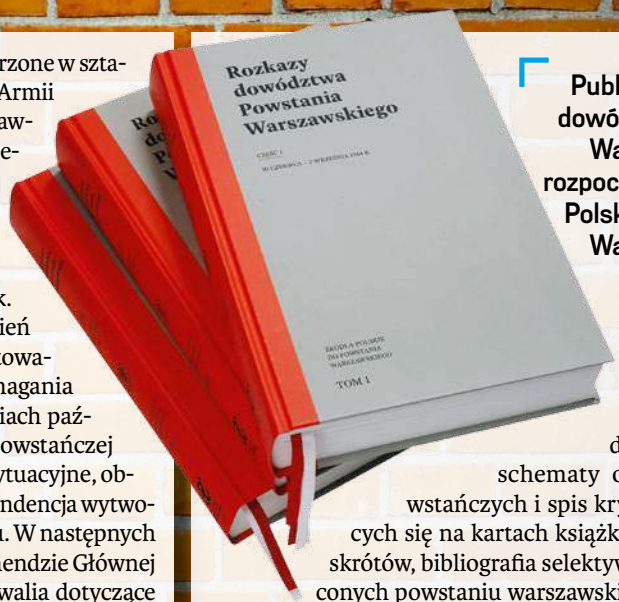

Publikacja „Rozkazy dowództwa Powstania Warszawskiego" rozpoczyna serię „Źródła Polskie do Powstania Warszawskiego"

Prezentowane dokumenty to kopalnia wiedzy o organizacji i funkcjonowaniu powstańczej armii. Czytelnicy znajdą w nich najważniejsze informacje dotyczące zmagań powstańców, działalności poszczególnych służb czy spraw związanych z porządkiem i bezpieczeństwem publicznym w Warszawie. Interesujące są też fragmenty, w których omawiane jest życie codzienne żołnierzy i cywili w ogarniętym walką mieście, w tym kwestie takie jak powstańcze umundurowanie, śluby, aprowizacja czy legitymacje i przepustki. Podobnie warte uwagi są wyroki Wojskowych Sądów Specjalnych działających w powstańczej stolicy.

Mamy nadzieję, że publikowane źródła nie tylko będą doskonałym materiałem badawczym dla historyków, lecz także zainteresują szersze grono czytelników, przyczyniając się do lepszego poznania dziejów powstania warszawskiego. Problematyka powstania bowiem tylko pozornie wydaje się wyczerpana. Wiele wydarzeń z sierpnia i września 1944 r. wymaga ponownego zbadania i opracowania, a mnóstwo tematów nadal pozostaje nieznanych.

FOT. MICHAŁ ZAJĄCZKOWSKI/MPW

Reklama na IV okładce 34/0221/F

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ
IPN

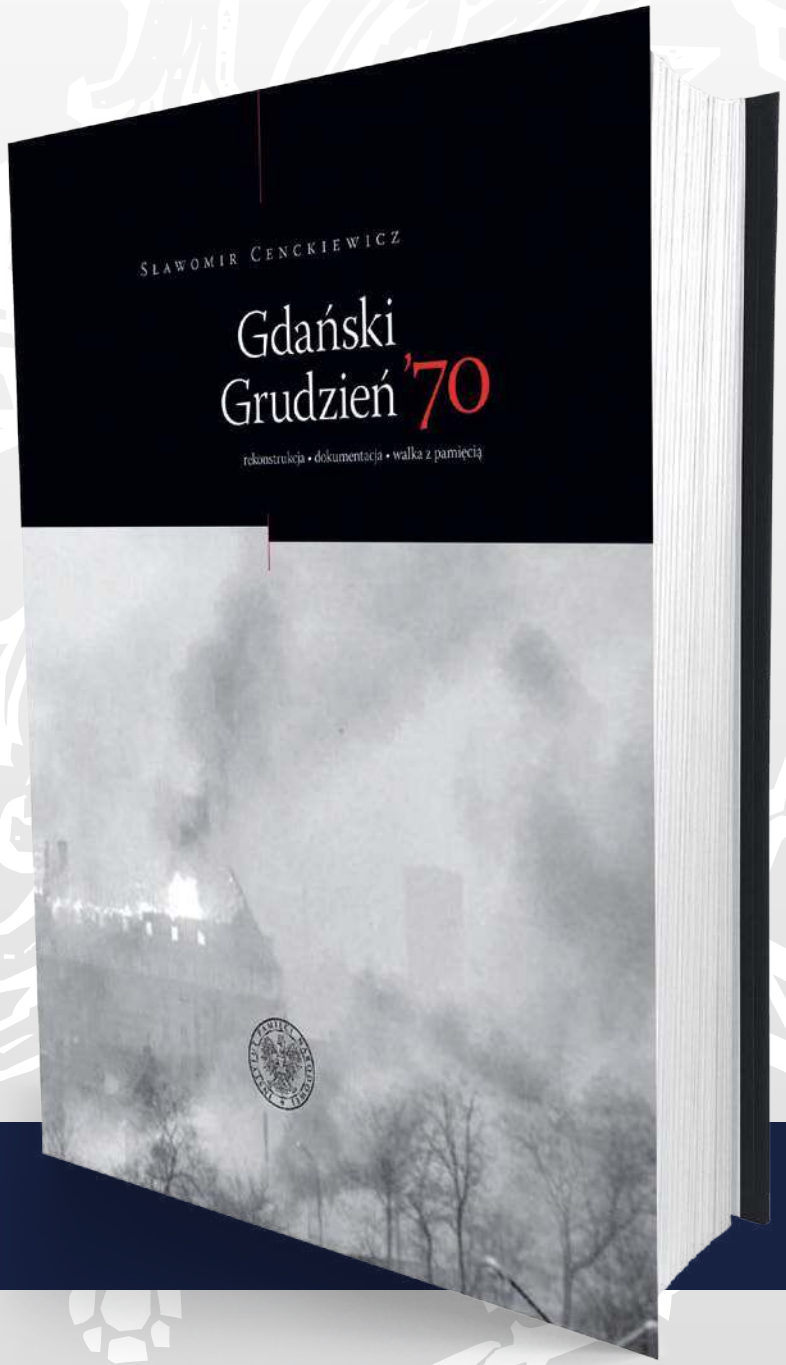

Nowe wydanie!

Wydanie rozszerzone o przedmowę Sławomira Cenckiewicza, który tym razem szczególnie podkreśla rolę Ludowego Wojska Polskiego w masakrze Grudnia '70.

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

ipn.poczytaj.pl

Szukaj w księgarniach IPN
i punktach sprzedaży w całej Polsce.

eprasa.pl e761a75206